

Wybitny literacki kryminał z serii **VERA**  
z ekranizowanej jako serial telewizyjny  
bijący na świecie rekordy popularności w 25 krajach  
W Polsce – w ale kino+

**Tom 2**

Zbrodnie bez motywów  
i zmowy milczenia



**ULICA  
MILCZENIA  
ANN CLEEVES**

  
AMBER

– VERA –

**ANN CLEEVES**

**ULICA** **Tom 2**  
**MILCZENIA**

Przekład  
STANISŁAW REK  
MAŁGORZATA STEFANIUK



Redakcja stylistyczna  
Anna Tłuchowska

Korekta  
Magdalena Stachowicz  
Rafał Gadomski

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce  
© ITV Studios/Helen Turton

Tytuł oryginału  
Harbour Street

Copyright © 2012 by Ann Cleeves

For the Polish edition

Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Opracowanie wersji elektronicznej  
lesiojot

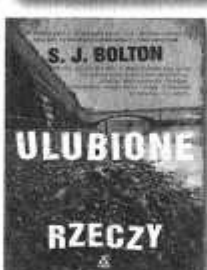
ISBN 978-83-241-5495-1

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 620 40 13, 620 81 62, 691 962 519

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

## WYBITNE LITERACKIE KRYMINAŁY



**Podczas wczesnej, porannej odprawy** skoncentrowali się na George'u Enderbym.

– Dlaczego Enderby przyjeżdża na północ, żeby zatrzymać się przy Harbour Street, skoro nie pracuje? – Vera chodziła tam i z powrotem pod białą tablicą. Odkąd Holly wydobyla tę informację, Vera była zmartwiona. Nie widziała w Enderbym zabójcy, ale nie rozumiała, dlaczego kłamał. Rozejrzała się po sali. Większość członków zespołu miała zaczerwienione oczy, wyglądali marnie. Zero energii. Ściągnęła ich o wczesnej porze.

– Co o nim wiemy? Holly?

– Nic – powiedziała Holly. Ona jedna była rażna i elegancka. – Brak informacji o naruszaniu prawa.

– Uchwyciły go kamery?

– Mamy nagranie, jak idzie Harbour Street w stronę Coble z jakimś facetem, w dniu, kiedy zginęła Margaret, ale to tylko widok od tyłu, z metra, więc nie jest to takie pewne.

Vera zastanawiała się, czy Holly się dzisiaj kładła, czy całą noc spędziła na komisariacie.

– Wiemy, gdzie teraz jest?

– Wczoraj zameldował się w pensjonacie przy Harbour Street. Wieczorem dzwoniłam, odebrała Chloe, córka Kate Dewar. Podobno zapytał, czy mógłby zostać jeszcze jedną dobę, więc nie wymeldowano go dzisiaj. Poprosiłam zespół nadzorujący okolice, żeby uważali na jego samochód, na wypadek, gdyby zmienił zdanie.

Vera zastanowiła się nad tym.

– Dobrze. Ale dlaczego Enderby miałby się włóczyć po Mardle, gdyby był zabójcą? Dlaczego nie uciekł przy pierwszej nadarzącej się okazji?

Charlie podniósł rękę.

– Niektórzy zabójcy odwiedzają miejsce zbrodni. Podnieca ich przyglądanie się śledztwu.

Vera nawet była w stanie to sobie wyobrazić. Enderby ze swoimi szpiegowskimi historyjkami ogląda rozgrywające się przed jego oczami działania, sądząc, że może przechytryć policję. Podjęła decyzję.

– Dobra robota, Hol, kontynuuj. Jeśli są jakiegokolwiek związki między Enderbym i Margaret albo Dee, chcemy o tym wiedzieć. Powiedział mi, że wspierał gotówką dobroczynne akcje Margaret. Czy pomagał bardziej bezpośrednio, czy kiedykolwiek był w Przystani albo spotykał się z Dee Robson? Sprawdźmy powiązania. Joe, jedziesz ze mną.

– Dokąd?

– Do Coble. Skoro Enderby szedł w tamtą stronę w dniu śmierci Margaret, to pewnie tam zajął. Pojedziemy i sprawdzimy.

**Pub był zamknięty.** Na chodniku leżały pety i nawet na zewnątrz, tam gdzie stali, czuć było kwaśnym piwem. W środku mała kobieta sprzątała odkurzaczem podłogę. Był jej wielkości. Vera załomotała w okno, ale kobieta usłyszała ją dopiero wtedy, kiedy wyłączyła maszynę. Pokręciła głową i pokazała na zegarek. Vera podniosła legitymację do brudnego okna i w końcu drzwi się otworzyły.

– Pani prowadzi ten lokal?

– Nie, jestem tylko sprzątaczką. – Była zdenerwowana. Vera podejrzewała, że dostawała gotówkę do ręki, a zasilek brała i tak.

– A kto go prowadzi?

– Lawrence. Mieszka na górze, w mieszkaniu.

– To zawołaj go, kotku. Potem możesz dalej pracować.

– Otworzę drzwi, sami będziecie mogli tam pójść.

Była chuda i patykowata, jak dziesięcioletnia dziewczynka.

Miała nikotyne na palcach i Vera domyśliła się, że rozpaczliwie chce się jej palić. Jak tylko się ich pozbędzie, wyjdzie na dwór i zapali na chodniku.

Poprowadziła ich przez salę barową do tylnego korytarza i wyjęła z kieszeni fartucha pęk kluczy. Verze skojarzyła się ze strażnikiem więziennym w porze zamykania cel.

Lawrence wstał z łóżka przed chwilą. Ubrany był w spodnie dresowe do joggingu i podkoszulek. Stopy miał bose. Vera zastukała do drzwi na szczycie wąskich schodów, Joe stał za nią. Właściciel prawdopodobnie spodziewał się sprzątaczkę żądającej zapłaty albo nowego odkurzacza.

– Kim jesteście? – Ogromne chłopisko, ale przy tym łagodne. Vera klębała jak szewc, gdyby obcy pojawili się w jej domu o tak wczesnej porze. Odsunął się, żeby ich wpuścić. Pokój wychodził na Harbour Street i na port.

– Był pan w barze w ten wieczór, kiedy Margaret Krukowski zamordowano w metrze?

– Pracowałem od rana – powiedział właściciel – ale, kiedy się o tym dowiedzieliśmy, zastąpił mnie inny barman, a ja byłem tutaj, zrobiłem sobie krótką przerwę.

– Wcześniej zrobiło się spokojnie?

– Tak, mało kto został. Zapowiadano opady śniegu i wszyscy spieszyli się do domu. – Oparł się o parapet i odwrócił, żeby wyrzecz na ulicę.

– Zapamiętał pan ludzi w barze?

– Jak mówiłem, tych, co byli wczesnym wieczorem. Później nie. Metro zostało zamknięte i ludzie nie mogli się dostać do miasta. Wszyscy zwalili się tutaj.

– George Enderby – powiedziała Vera. Nie zareagował od razu. – Jest jednym ze stałych gości w pensjonacie Kate Dewar.

Lawrence skinął głową, żeby pokazać, że wie o kim mówią.

– Tak – powiedział. – Był wtedy z kolegą. Starszym. Trochę zaniedbanym.

– Z Malcolmem Kerrem?

– Nie! – zachnął się Lawrence. – Kerr przyszedł później i miał

nieźle w czubie. Tego drugiego nie znam.

– Czy Dee Robson też tu wtedy była? Wiemy, że tamtego popołudnia przychodziła do pubu. Poderwała faceta, niejakiego Jasona. Potem wróciła, trochę później. – Vera przypomniała sobie, że widziała kobietę wychodzącą z pubu. Chwiała się na obcasach, ścigały ją szyderstwa.

Lawrence myślał przez chwilę.

– Nie wydaje mi się, żeby była o tej samej porze, co ci mężczyźni. Siedzieli sami.

– O czym rozmawiali?

Lawrence pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia! Grała muzyka, a oni siedzieli daleko w kącie. Kiedy podszedłem zabrać ich szklanki, przestali gadać.

– Ale rozpoznał pan chyba, w jakim byli nastroju – powiedziała Vera. – To podpowiada nam instykt, prawda? Chwyta się atmosferę w pubie. Żeby uniknąć problemów.

Lawrence cicho zachichotał.

– Nie byliby problemem. Dwóch starych ramoli siedzących nad piwem. Ale jeden był czymś wstrząśnięty. W pewnej chwili zaczął płakać.

– Który?

– Ten, o którego pytaliście. George Enderby.

Mózg Very wszedł na wysokie obroty. George nie mógł płakać po Margaret Krukowski. Wtedy jeszcze żyła, szła do kancelarii adwokackiej w Gosforth, żeby porozmawiać o swoim testamencie. Może rozmawiała z George'em i powiedziała mu, że jest umierająca, ale przecież w takim wypadku nie musiałby okłamywać policjantów. I nadal miałby czas, żeby pojechać samochodem do Gosforth, pójść za Margaret do metra i zabić ją. Potem mnóstwo czasu, żeby zabrać swój wóz, pojechać z powrotem na Harbour Street i pojawić się tuż przed przyjściem Very i Joego. Ale był przecież taki czarujący, taki pewny siebie, taki miły. Tak nie zachowuje się człowiek, który dopiero co popełnił morderstwo. Ani człowiek, który wcześniej siedział w pubie i płakał.



– Naprawdę pan nie wie, kim był ten drugi facet? – To Joe; niecierpliwiał się, kiedy wyglądała przez okno zagubiona w myślach.

– Widywałem go na Harbour Street – powiedział Lawrence. – Wypływał z Malcolmem Kerrem na wyspę. Na jakieś badania.

„Mike Craggs, który też skłamał. Powiedział, że pojechał samochodem do domu w Tyne Valley zaraz po powrocie z Coquet Island”.

Vera uznała, że Enderby i Craggs byli głupcami. Nie widziała w nich zabójców, dlaczego więc nie powiedzieli prawdy? Chyba że to był jeden wielki spisek i wszyscy podejrzani do niego należeli. Uśmiechnęła się na tę myśl. Wróciła do Enderby’ego i jego szalonych fantazji.

– Dziękuję, bardzo nam pan pomógł.

Lawrence nie pytał o śledztwo. Spodobala się jej ta taktowność i brak ciekawości. Lepszy byłby z niego ksiądz niż z Petera Gruskina.

– Wyprowadzę was – powiedział i począł przed nimi. Bose stopy były płaskie i wielkie jak niedźwiedzie łapy.

Na dole było cicho. Sprzątaczką przeniosła się do toalet. W saloniku wisiał obraz przedstawiający grubą starą kobietę. Pochylała się do przodu z łokciami na barze. Obraz nie był wybitnym dziełem sztuki, ale przekazywał wrażenie kogoś silnego i ekscentrycznego.

– Kto to jest? – Vera skinęła głową w stronę obrazu, kiedy przechodzili obok.

– Val Butt. – Lawrence uśmiechnął się. – Całe lata zarządzała tym pubem. Miała charakterek. Ostra damulka. Ludzie do tej pory opowiadają o niej historie.

**Na ulicy poranek przechodził w południe.** W smaźalni były już kobiety, przygotowywały się do otwarcia w porze lunchu. Vera zadzwoniła do Holly.

– Powiedz, że znalazłaś jeszcze jakieś powiązanie między

Margaret a Enderbym. – Popatrzyła w górę ulicy, jego samochód nadal tam stał. Dlaczego zatrzymał się na kolejne dwa dni, zamiast jak zwykle na jeden? Może jest jednym z tych upiórów, które podniecają się śledztwem w sprawie zabójstwa, jeżdżąc od miejsca zbrodni do miejsca zbrodni, jak *groupies* za gwiazdą rocka.

– Nic, co miałyby jakieś istotne znaczenie. Już wiemy, że kilka tygodni temu poszedł z nią na zimowy jarmark w Przystani. Podarował im kilka książek na sprzedaż i wystąpił jako święty Mikołaj. Według kierowniczkii ośrodka wydał fortunę na bilety loteryjne, a kiedy wygrał, nagrodę odstawił na stragan.

– Zdobyłaś listę pensjonariuszek, które wtedy tam były?

– Oczywiście. – Holly nadal pyszniła się tym, że odkryła prawdę o Enderbym. – Ta sama paczka, która tam jest teraz, nie licząc kobiety przyjętej w krytycznej sytuacji. Bił ją mąż. Dostała nakaz sądowy i wróciła do domu rodzinnego. – Przerwała. – W tanto popołudnie była tam także Dee Robson. Margaret przyprowadziła ją na ucztę.

Vera przypomniała sobie słowa Jane Cameron. „Nie chodziło o ucztę. To była propozycja”.

– Szefowo? – Holly nadal była na linii, niecierpliwiła się.

– Sprawdź, czy uda ci się znaleźć profesora Craggsa – powiedziała Vera. – Z nim też musimy porozmawiać.

Wyłączyła telefon i ruszyła ulicą. Joe Ashworth dogonił ją. Szli teraz obok siebie.

– Chyba nie sądzisz, że Enderby i Craggs planowali morderstwo? – Pomyślał, że zwariowała.

– Okłamali mnie – powiedziała. – Obaj.

– Ludzie okłamują policję z rozmaitych powodów.

– A nie powinni. – Gwałtownie się zatrzymała, żeby złapać oddech. – Mnie nie wolno okłamywać.

**Kate piła w kuchni kawę ze Stuartem**, kiedy rozległo się stukanie do drzwi, tak głośne, że aż podskoczyła. Spędzili leniwy poranek. George Enderby przyszedł jak zwykle na śniadanie do jadalni, a potem zniknął. Dzieci wyszły. W domu było cicho i spokojnie; rzadko tak bywało. Pomyślała, że w przyszłości ich życie takie będzie, spokojne i proste. Wtedy rozległo się stukanie do drzwi. Stuart podniósł wzrok znad gazety trzymanej na kolanach i zmarszczył brwi.

– Mam pójść?

Ale widać było, że jest mu tutaj wygodnie, a w ostrym świetle kuchni wyglądał jakby starzej, więc Kate wstała i przechodząc obok niego pocałowała go w czoło. Na wargach poczuła, że skóra Stuarta jest bardzo sucha.

Zanim otworzyła drzwi, popatrzyła przez okno w holu i zobaczyła tęgą panią detektyw, a obok jej pomagiera.

– Wybacz, kotku, że ci przeszkadzam. Pozwolisz, że wejdziemy? – I już była w środku, a młody mężczyzna wszedł w ślad za nią. Kate zastanawiała się przez chwilę, jak musi się czuć, zawsze w cieniu tej grubej baby.

Vera stanęła w holu zacierając ręce z zimna, jakby na zewnątrz czekali godzinami, a nie zaledwie kilka minut.

– Ciekawe, czy moglibyśmy dostać śniadanie – powiedziała. – Oczywiście zapłacimy. Musimy. W dzisiejszych czasach darmowa smażenina może zostać opacznie zrozumiana. Przekupstwo i korupcja.

Błysnęła szerokim uśmiechem, aż Kate zaczęła się zastanawiać, czy to jedyny powód wizyty – czy zniszczyli jej doskonały poranek tylko po to, by usmażyła im jaja na bekonie? A może to jakiś dziwaczny dowcip? Przypomniała sobie

przyptyw adrenaliny, kiedy usłyszała bębnienie do drzwi, i poczuła złość. Co za bezczelna baba! Trudno uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – dziwna kobieta nachodzi jej dom i żąda śniadania. Ale trudno też uwierzyć, że w miasteczku zabito dwie kobiety.

Vera nie przestawała mówić.

– Nie jesteś sama, prawda? Wydaje mi się, że nadal masz tu gości.

– Tylko George’a – powiedziała Kate. – George’a Enderby’ego.

– Ach, to chyba jego samochód widziałam na ulicy. Nie przeszkadzalibyśmy ci, gdybyśmy wiedzieli, że planujesz sobie wolny dzień. – Weszła głębiej do domu, rozglądając się. – Czy pan Enderby jest tu gdzieś? – Zadała pytanie zdawkowo, ale Kate domyśliła się, że to ważne.

– Wszedł – odparła.

– O? – Nadal to udawanie, że nie chodzi o nic ważnego. – Ale jego samochód wciąż tam stoi.

– Pojechał metrem do miasta.

– Mówił, dokąd jedzie? – Vera miała oczy ostre jak szpileczki i już nie wspominała, że Kate ma jej zrobić śniadanie. To był chyba tylko pretekst, żeby wejść do środka.

– Do jakiejś biblioteki... Coś o spotkaniu, o wizycie w miejscu, gdzie książki są wysoko cenione, zanim wyjedzie jutro na południe. – George wspomniał o tym przy śniadaniu, ale Kate nie bardzo zwracała uwagę na jego słowa.

– Lit & Phil Library?

– Tak! – Kate pomyślała, że inspektor to jakaś wiedźma. Od razu zgadła. – Skąd wiedziałaś?

– Tam złażą się miłośnicy książek. – Vera znów błysnęła uśmiechem. – I samotni, i trochę szaleni. Muszę wiedzieć takie rzeczy. Sama do nich należę. – Kolejna przerwa. – Mogłabyś zaprowadzić Joego do pokoju Enderby’ego? Ja muszę wracać do pracy.

Kate zawahała się. Trudno jej było sprzeciwić się grubej

detektyw.

– Nie mogę tego zrobić. To naruszenie jego prywatności.

– Dom jest twój, kotku. Daj nam zgodę, a nie będziemy potrzebowali nakazu.

Stali przez chwilę, patrząc na siebie, w końcu Kate ustąpiła. Niczego nie była winna George'owi Enderby'emu, a jeśli był zamieszany w te morderstwa, to jej obowiązkiem jest pomóc policji. Zastanawiała się, jak podszedłby do tego Stuart. Na pewno też by się zgodził. Było w nim coś dziwnego, trochę niepokojącego.

Kate poszła do kuchni, żeby przynieść klucze, ale kiedy wróciła, Vera Stanhope zniknęła. Trudno sobie wyobrazić, że ta wielka kobieta porusza się tak szybko, tak lekko. Sierżant poszedł za Kate po schodach i czekał w milczeniu, kiedy otwierała drzwi. Myślała, że ją odeśle, ale skinął na nią głową, żeby weszła pierwsza. Może potrzebna mu była jako świadek. Kate jeszcze tu nie wchodziła posprzątać, ale pokój był czysty jak zawsze, kołdra zwinięta, łóżko się wietrzyło, kubek stał na tacy obok czajnika.

Torba podróżna George'a leżała otwarta w kącie na podłodze. Chyba tym razem niezbyt się śpieszył z rozpakowaniem, a to było dla niego niepodobne. Normalnie wieszał w szafie koszulę do pracy i marynarkę tuż po przyjeździe. „Kate, jeśli jest się handlowcem, liczy się pierwsze wrażenie”.

Obok torby stała walizka na kółkach, w której George trzymał egzemplarze książek. Sierżant położył ją płasko na ziemi i rozsunął zamek błyskawiczny. W środku Kate zobaczyła dzinsy, gruby sweter, wysokie buty i wodoodporną kurtkę.

– Ale gdzie są książki?

– Jakie książki? – Sierżant podniósł wzrok. Nadal klęczał na podłodze. Lekko zmarszczył brwi.

– W walizce wozi książki. Próbkę do pokazywania księgarzom.

Detektyw nic nie powiedział. Zaczął otwierać szuflady, ale wszystkie ubrania George'a były w torbie podróżnej. Joe Ashworth opróżnił ją ostrożnie, odkładając każdą sztukę na

łóżku, ale nie było tam niczego, co by go zainteresowało. Zajrzał do łazienki, potem zwrócił się do Kate.

– Bardzo nam pani pomogła. Dziękuję. – Po jego minie nie można było niczego poznać. Chciała zapytać, czy uważają George'a za mordercę.

– Mam dzieci – powiedziała. – Córkę. Czy będzie bezpiecznie, jeśli pan Enderby zostanie tutaj na noc? – Słyszała historię we własnym głosie.

Joe tylko chwilę się wahał.

– Nie mamy dowodów przeciwko panu Enderby'emu. Uważamy, że może nam pomóc w śledztwie.

Nie znalazła w tym pocieszenia.

Na dole schodów detektyw wyciągnął rękę i znowu jej podziękował. Jakby był jednym z gości płacących za pobyt.

**Stuart nadal siedział w kuchni.** Usłyszał, jak Kate schodzi na dół i od razu włączył ekspres do kawy.

– Co się dzieje? – Nie patrzył na nią, zadając pytanie i nie wiedziała, czy naprawdę jest tego ciekaw.

– Policja. Chcieli zajrzeć do pokoju George'a.

– Wpuściłaś ich? – Teraz wreszcie się odwrócił, żeby na nią spojrzeć.

– Tak. – Zastanawiała się, czy postąpiła jak tchórz, nie sprzeciwiając się im. – Jeśli to pomoże złapać zabójcę... – Powiedziała to cichnym głosem.

– Myślisz, że George może być mordercą? – Stuart czekał na jej odpowiedź, a ona zrozumiała, że to nie było ciche pytanie. Zobaczyła w nim nauczyciela. Takiego samego tonu użyłby, stojąc przed swoją klasą. „Uważacie, że naprawdę tak należy zagrać ten kawałek?” Był wyjątkowo poważny.

Ona też poważnie podeszła do tego pytania.

– Nie – powiedziała wreszcie, bo mimo swoich wcześniejszych złych przeczuć i wahania w głosie detektywa, nie widziała w spokojnym i łagodnym George'u Enderbym zbrodniarza.

Widziała, jak otwierał okno, żeby wypuścić osę. – Dlaczego George miałby zabijać Margaret? I prawie nie znał Dee Robson. Chyba że próbowała go poderwać w Coble.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Stuart nachmurzył się.

– Dee zawsze próbowała podrywać mężczyzn w Coble. Miejscowi ją znali i śmiali się z niej. – Kate nie mogła się powstrzymać przed wstydliwym uśmiechem, kiedy pomyślała, jak zażenowany byłby George Enderby. Uprzejmy, skrępowany, ale też wystraszony.

– Dee Robson była prostytutką? – Kawa przestała kapać, nalał kubek dla Kate. Widziała, że jest zaszokowany. Nigdy nie myślała o nim jako o świętoszku.

– Właściwie tak. Tylko niezbyt dobrą. – Uśmiechnęła się nerwowo. – Amatorka, nie profesjonalistka. – Potem pomyślała, że ta próba żartu była w złym stylu. Kobiętę dopiero co zamordowano. Zerknęła na Stuarta, ale jeśli nie aprobował jej bezceremonialności, nie pokazał tego po sobie. Wyglądał na zatopionego w myślach.

– Co zrobimy z resztą dnia? – Wyobraziła sobie spacer na wzgórza. Dzieci powiedziały, że nie będzie ich do wieczora, więc nie było niebezpieczeństwa, że znajdą się w domu same z George'em. Chcieli ze Stuartem przejść się po Wale Hadriana. Potem może lunch w pubie, prawdziwy ogień na kominku i rosół domowej roboty. Nagle rozpaczliwie zapragnęła wyrwać się z Mardle i Harbour Street.

– Przepraszam – powiedział. – Chyba będę jednak trochę zajęty. – Oczekiwała wyjaśnień, ale on był nadal zatopiony we własnych myślach. Niespodziewanie wstał, jakby pod wpływem impulsu, żeby od niej uciec. Przy schodach nagle się zatrzymał. – Mogę wpaść później?

– Oczywiście! – Teraz dotarło do niej, że to dziwne zachowanie da się logicznie wyjaśnić: jechał do miasta kupić jej prezent. To dlatego był taki tajemniczy. – Wiesz, że możesz tu przychodzić, kiedy zechcesz. – I odwróciła się, żeby go pocałować.

Kiedy została sama w wielkim domu, odniosła wrażenie, że sprawy wymykają się jej spod kontroli. Teraz żałowała, że w domu nie ma dzieci, że Ryan jeszcze nie wrócił z warsztatu szkutniczego Malcolma, a Chloe zniknęła w mieście z tajemniczym przyjacielem. Chciała, żeby wszyscy byli tutaj, żeby mogła mieć na nich oko. Tu byliby bezpieczni.



**Joe przeszedł przez ulicę**, tak żeby nie było go widać z piwnicy pensjonatu, i zastanawiał się, co robić dalej. Założył, że Vera pojechała do miasta w poszukiwaniu George'a Enderby'ego. Pewnie wzięła ze sobą Holly albo Charliego, świadków, którzy będą mogli potwierdzić, co się działo, gdyby sprawa trafiła przed sąd. Próbował do niej zadzwonić, ale natykał się na pocztę głosową. Stał niezdecydowany z telefonem w rękę, kiedy otworzyły się drzwi pensjonatu i pojawił się Stuart Booth. Zawahał się i obejrzał na dom. Joe spodziewał się, że za nim wyjdzie Kate Dewar, ale Booth zamknął za sobą drzwi i stał jeszcze przez chwilę. Też nie był zdecydowany. Stanowili swoje lustrzane odbicia po obu stronach ulicy. Booth podjął chyba decyzję i przebiegł przez jezdnię, do Joego stojącego przed kościołem.

– Chyba mógłbym z panem porozmawiać, panie sierżancie. Mam pewne informacje, które mogą się okazać ważne w sprawie zamordowania Margaret Krukowski.

Joe zawiózł Bootha nieoznakowanym samochodem na komisariat w Kimmerston. Vera pewnie zrobiłaby to inaczej, przeprowadziłaby jakąś nieformalną pogawędkę przy herbacie, piwie albo chipsach. Ale Joe chciał to zrobić jak należy – nagrać zeznanie tego człowieka. Jadąc do Kimmerston czuł dreszczyk podniecenia. Przyszło mu do głowy, że Booth chce się przyznać do morderstwa: był taki spokojny i poważny.

W samochodzie nie mówił nic. Joe odwracał się od czasu do czasu, żeby na niego zerknąć i zobaczyć, że wpatruje się w okno, bardzo spięty. Mięśnie twarzy mu stwardniały. Joe spotykał takich mężczyzn w wiejskiej części Northumberland. Farmerzy i owczarze ze wzdórz, małomówni, twardzi, żyłaści mężczyźni.

Trudno było wyobrazić sobie Bootha jako muzyka. Joe sprawdził go w Google i dowiedział się, że Stuart gra jazz. Zapewne dopiero wtedy się odprężył. Joe wyobraził go sobie, jak w barze w piwnicy gra na saksofonie, z głową odchyloną do tyłu, półprzymkniętymi oczami, otulony swoją muzyką.

– Na jakim instrumencie pan gra? – zapytał nagle.

Booth nie odwrócił się od okna, żeby odpowiedzieć:

– W szkole na tym, co jest potrzebne. Fortepian na akademie, flet, żeby rozruszać tych małych gnojków. Ale dla przyjemności saksofon altowy.

Joe był zadowolony, że zgadł.

**Na komisariacie Joe przyniósł kawę** z pokoju socjalnego. Dał ją Boothowi w fajansowym, a nie w papierowym kubku, jak zazwyczaj podaje się ją świadkom. Jeden z trików Very. Holly pojechała z Verą do miasta, żeby szukać Enderby'ego, więc to Charlie przyszedł jako milczący obserwator, a Joe zadawał pytania. Usiedli w pokoju przesłuchań, ich słowa odbijały się od błyszczących ścian i spadały z sufitu niby grad. Joe zapytał, czy może nagrywać rozmowę, a Booth skinął głową.

– Zatem powiedział pan, że ma pan jakieś informacje o Margaret Krukowski.

Boothowi zajęło chwilę, zanim zaczął mówić. Może oczekiwał, że policjanci będą mu zadawać proste pytania.

Póki milczał, Joe patrzył na niego i notował wzrokiem szczegóły. Ubranie. Dżinsy z Teksasu, koszula w kratkę i sweter. Wytrzymałe tenisówki, które nadawały się na długie marsze. Na to bluza z zielonego polaru, mimo że w pokoju było ciepło. Nie był z tych, którym ciągle jest zimno, ale musiałby się poruszyć, żeby go zdjąć, a nadal prawie się nie ruszał. Twarz wysmagana wiatrem, oczy jak kawałki łupku.

– Margaret Krukowski była prostytutką – powiedział Booth. – Nie w ostatnich latach, ale dawno temu. Dopiero co się dowiedziałem – powiedziała mi o tym Kate – że Dee Robson też

zajmowała się usługami seksualnymi. I nagle wydało mi się to ważne.

W głowie Joego zaczęło coś świtać. „A więc nie szukamy mężczyzny, który nienawidzi kobiet, ale mężczyzny, który nienawidzi prostytutek”. Ciekawe, co Vera miałaby do powiedzenia na temat tej informacji, ale doszedł do wniosku, że nie zaskoczyłaby jej pobożność Margaret, która kiedyś obsługiwała mężczyzn za pieniądze. Szefowa powiedziała na samym początku, że muszą odkryć tajemnicę Margaret.

– A skąd pan o tym wie?

Booth odetchnął głęboko.

– Bo korzystałem z jej usług. Regularnie, przez kilka lat. – Joe myślał, że Booth na tym skończy, ale on mówił dalej i Joe odniósł wrażenie, że ksiądz wysłuchujący spowiedzi może się czuć tak, jak on teraz – ciekawość zmieszana z zażenowaniem i niesmakiem.

– Byłem młodym nauczycielem, niezręcznym, wstydliwym. Potrzebowałem partnerki, ale nie wiedziałem, jak ją zdobyć. To był żart w środowisku muzyków. Jeden z nich dał mi jej numer. – Nawet teraz czerwienił się, kiedy to wspominał. – Pewnego wieczora upiłem się i zadzwoniłem do niej. – Przerwał. – Oczywiście nie używała imienia Margaret i nigdy nie powiedziała, jak się nazywa.

– Jakiego imienia używała? – Pokój znajdował się na parterze, z zewnątrz dochodził łoskot ruchu ulicznego.

– Anna – odparł Booth. – Powiedziała, że jest Polką, ale jej nie uwierzyłem. Miała angielski akcent. Może myślała, że dzięki tej historyjce będzie się wydawała bardziej egzotyczna.

– Była żoną Polaka. – Joe poczuł impuls, żeby bronić tej kobiety mimo zawodu, jaki wybrała. – Więc to była niemal prawda.

– No, nie powiedziała mi, że była kiedyś mężatką.

– Małżeństwo długo nie potrwało – wyjaśnił Joe. – Tylko parę lat.

– Pewnie byłem z nią dłużej niż jej mąż. – Booth rozparł się na

krzesła i zamknął oczy. Ta uwaga chyba dawała mu jakąś satysfakcję.

– Gdzie mieszkała?

– Tam, gdzie w dniu śmierci. – Znowu otworzył oczy. – To mieszkanie przy Harbour Street. Wtedy dom wyglądał inaczej, ale jej pokoje były zawsze czyste i przyjemne. Szło się po schodach, obok płakały dzieci, czuć było zapachy z kuchni i wkraczało się do jej mieszkania. Całkowity spokój, ciepło. Jakby się weszło do innego świata. Pociągało mnie to nie mniej niż seks. Ucieczka od rzeczywistości.

– Pracowała u siebie w domu? – Joe był zaskoczony. Wszystkie zawodowe dziewczyny, które znał, ostro broniły swojej prywatności.

– Chyba szukała miejsca, gdzie mogłaby prowadzić swój proceder, ale powiedziała, że trafiała na zdzierców. Wolą zaufać klientom niż rekinom żerującym na dziewczynach z miasta. A klientów nie miała wielu. Dobrze płaciliśmy. Była tego warta.

Joego nagle zainteresowało, co zaszło między tym dwojgiem ludzi. Wbrew swoim zasadom wyobraził ich sobie w pokoiku na poddaszu przy Harbour Street: nieśmiałego młodego nauczyciela i nieco starszą od niego kobietę, która brała pieniądze za seks. Uznał, że potrzebuje szczegółów. Booth chyba domyślił się, o czym Joe myśli, bo wymijająco odpowiedział na niezadane pytanie.

– Anna była zachwycająca. – Przerwał. – Liczyłem dni, kiedy znowu ją zobaczę. Chociaż, kiedy patrzę wstecz, niewiele trzeba było, żeby mnie zadowolić. Byłem młody i niezgrabny, ona była starsza i bardziej doświadczona. Uprzejma. I zawsze ten dreszczyk owocu zakazanego. Nikomu nie mówiłem o tych spotkaniach, nawet przyjacielowi, który dał mi jej numer. Uwielbiałem myśleć, że nasze spotkania są potajemne, że następnego dnia pójdę do szkoły jako szanowany, odpowiedzialny nauczyciel i nikt nie będzie miał pojęcia, co robiłem poprzedniego wieczoru.

– Dlaczego to się skończyło? – zapytał Joe. Zakładał, że musiało się skończyć. Nie mógł sobie wyobrazić tego mężczyzny przed sześćdziesiątką wchodzącego po schodach do Margaret, kiedy Kate nie patrzyła.

– Znalazłem sobie dziewczynę, panie sierżancie. Nie był to ktoś, na kim mi zależało tak, jak na Kate, ale miałem z kim chodzić do łóżka. To było mniej podniecające niż wizyty na Harbour Street, ale wydawało się bardziej stosowne. A kiedy się postarzałem, opuściła mnie odwaga. Bałem się, że ktoś mnie zobaczy. Nie zniósłbym, gdyby się wydało, że korzystałem z usług prostytutki.

– Czy spotkał pan kiedyś innych klientów Margaret? – Ta myśl szybko pojawiła się w głowie Joego. Nagły przebłysk nadziei.

Booth pokręcił głową.

– Nie. Tak jak mówię, byliśmy chyba dobraną paczką. Margaret także prezentowała światu godne szacunku oblicze. Parę razy, kiedy przychodziłem, widziałem plecy mężczyzny niknące w mroku Harbour Street. Ale żadnych twarzy. Nic, co moglibyście wykorzystać.

– Kiedy dowiedział się pan, że Margaret wciąż mieszka w tym samym domu? – Joemu wydawało się, że Stuart jest teraz prawie odprężony. Ulżyło mu, że pozbył się tajemnicy. To łagodziło napięcie.

– Dopiero, gdy Kate nas sobie przedstawiła. Lunch w słoneczny dzień w ogrodzie. Zaintrygowało mnie, kiedy się dowiedziałem, że Kate mieszka na Harbour Street. Był w tym jakiś omen, kiedy okazało się, że to ten sam dom. Może miałem nadzieję, że powróci młodzieńcze podniecenie. I rzeczywiście coś poczułem, chociaż dom zmienił się nie do poznania. Kate mówiła o Margaret, przyjaciółce pomagającej jej w kuchni, a ja oczywiście nie miałem żadnych skojarzeń. Kobieta, którą znałem, miała na imię Anna i ostatni raz widziałem ją ponad trzydzieści lat temu.

– Ale rozpoznał pan Margaret?

– O tak, natychmiast. – Nachylił się do przodu nad podrapaną

powierzchnią stołu, żeby to podkreślić. – Nadal była bardzo piękną kobietą.

– A czy ona rozpoznała pana?

Zanim odpowiedział, przez chwilę się zastanawiał.

– Chyba tak. Mam nadzieję. Odniosłem wrażenie, że daje mnie i Kate swoje błogosławieństwo. Nie rozmawialiśmy o przeszłości, nawet te parę razy, kiedy byliśmy sami.

**Joe odwiózł Stuarta do Mardle.** Był zadowolony, bo znalazł wymówkę, żeby wyjechać z Kimmerston, zresztą podobnie jak Vera uważał, że osią śledztwa jest Mardle. Nadal nie rozmawiali. Booth skierował go do małego osiedla przebudowanych budynków gospodarczych na skraju miasta, gdzie mieszkał. Osiedle było położone po zachodniej stronie miasta i Joe pomyślał, że do Przystani idzie się stamtąd tylko kawałek przez otwarte pola. Kiedy samochód się zatrzymał, Booth przez chwilę nie wysiadał. Odwrócił się do Joego, jakby chciał uzyskać pociechę.

– Wydaje mi się, że teraz stałem się podejrzanym. Bo Margaret mogła powiedzieć Kate o mojej przeszłości. Miałem więc swego rodzaju motyw.

Joe nie był pewien, co powiedzieć.

– Sprawa jest otwarta – odezwał się wreszcie. – Jak zawsze. Każdy, kto znał Margaret Krukowski, jest potencjalnym podejrzanym. Ale jesteśmy wdzięczni za informację. To bardzo przydatne.

Stuart zmarszczył brwi.

– Myśli pan, że powinienem powiedzieć Kate? Podczas procesu i tak wszystko wyjdzie na jaw. Chyba będzie lepiej, jeśli powiem jej teraz. – Przerwał. – Zastanawiałem się, czy domyśla się, że znałem Margaret. Miałem w portfelu jej zdjęcie. Margaret dała mi je na pamiątkę, kiedy powiedziałem, że więcej nie przyjdę. Zniknęło. Myślałem, że może to Kate je znalazła, ale szperanie w cudzych rzeczach nie jest w jej stylu. Pewnie

musiało wypaść. – Nagle przerwał; zrobił się bardzo smutny, że już nie będzie miał żadnej pamiątki po Margaret.

Teoretycznie Joe był zwolennikiem uczciwości w stosunkach między ludźmi. Ale przecież były pewne sprawy w jego przeszłości, o których nigdy z Sal nie rozmawiał. Tym razem jednak było to śledztwo w sprawie zabójstwa, a informacja to potęga. Wyobraził sobie minę Very, kiedy będzie jej przekazywał nowiny i pomyślał, że część tej potęgi spływa także na niego. Co najmniej zaliczy kilka sprawności harcerskich.

– Wolelibyśmy, żeby na razie zachował to pan dla siebie.

Stuartowi ulżyło. Niespodziewanie uśmiechnął się promiennie do Joego i wysiadł z samochodu.

**Vera stała przed georgiańską symetrią budynku** Lit & Phil Library w centrum Newcastle, czekała na Holly i rozmyślała. Pasażerowie z Central Station przechodzili obok niej, samochody piszczały na światłach, ale Vera, zatopiona w myślach, nie zwracała na to uwagi. Dwie kobiety: Margaret Krukowski, mądra i elegancka, urodzona w dostatku, chce ułożyć swoje sprawy, bo dowiaduje się, że jest chora; Dee Robson, rozbitek życiowy, ktoś, kim trzeba się opiekować od urodzenia, chociaż póki nie zjawiała się Margaret, nikt się tym specjalnie nie przejmował. Mieszkały niedaleko siebie, od strony morza przy linii metra i obie jechały tym samym pociągami po południu dnia, kiedy zginęła Margaret. Tak jak Joe Ashworth. I jego córka Jessie. Vera zastanawiała się, czy Joemu nie przyszło do głowy, że on i Jess też mogli być w niebezpieczeństwie. Może i dobrze, że Joe ma tak mało wyobraźni.

Pojawiła się Holly; przeciskała się przez tłum, nadal nienagannie umalowana. Weszły do środka i stanęły u stóp wielkich kamiennych schodów.

– Znasz Lit & Phil? – Vera była członkiem klubu. Hector przyproceedzał ją na wykłady o ptakach i owadach. Fascynacja tym budynkiem była jedną z nielicznych rzeczy, jakie po nim odziedziczyła.

– Oczywiście. Wspaniała, prawda?

„Zna tę bibliotekę. Holly w ogóle nie ma obszarów niewiedzy. A przynajmniej tak jej się wydaje”.

– Enderby pewnie jest w środku. Wyjechał z Harbour Street zaraz po śniadaniu i powiedział Kate, że idzie tutaj. Sprawdźmy, co ma na swoją obronę.

Weszły po schodach do biblioteki na pierwszym piętrze i



otworzyły drzwi do sali, zalanej światłem ze szklanych kopuł. Ściany obstawione były książkami. Enderby'ego nie było nigdzie widać, ani przy stolikach przy drzwiach, ani przy okienku, gdzie wydawano kawę. Czytelnicy na chwilę podnieśli wzrok, ale nie wykazali zainteresowania. Bibliotekarka pokiwała zza biurka ręką do Vera. Holly wyglądała na zdumioną, że rozpoznano jej szefową – Lit & Phil nie było środowiskiem naturalnym pani inspektor.

Vera szukała na sali Enderby'ego, czując przyptyw paniki. Może był sprytniejszy niż myśleli i wprowadził Kate w błąd. Może właśnie jechał pociągiem na południe. Zajrzała za róg, do drugiej części sali w kształcie litery L. Nadal ani śladu Enderby'ego. Nie zwracając uwagi na Holly, która szła za nią, Vera wróciła do biurka.

– George Enderby – powiedziała. – Duży facet. Łysiejący. Z południa. Kocha swoje książki.

– Ach, George. – Bibliotekarka uśmiechnęła się czule i Vera domyśliła się, że tę kobietę też oczarował. – Tak, przyszedł, jak tylko otworzyliśmy. Jest jednym z członków klubu pochodzących z południa. Pewnie znajdzie go pani w Sali Ciszy. Tam lubi czytać.

Vera powiedziała Holly, żeby została tam, gdzie jest, a sama przeszła przez drzwi z tyłu pomieszczenia i zeszła po schodach. Ciężkie drzwi odcinały odgłosy z biblioteki. Słysząc było szemranie odległej fontanny, poza tym w powietrzu stała cisza. Vera zatrzymała się przed salą. Chwila na zabobon, coś jak mała modlitwa. „Niech on tam będzie”. Otworzyła drzwi.

Sala była kwadratowa, sztucznie oświetlona. Cisza. Oczywiście. Rozmowy zabronione. Nawet kasznięcie wywoływało cmokanie. Z początku wydawało się, że jest pusta, ale regały z książkami ustawione były pod kątem prostym od ścian, tworząc małe nisze i nie mogła zobaczyć, kto w nich siedzi. W jednej kobieta w średnim wieku pisała wściekle na laptopie. W drugiej siedział George Enderby, pochylony do przodu, z głową na stoliku, jakby spał.

Zasada zachowywania ciszy była w niej zakorzeniona od dzieciństwa, nie mogła się zmusić, żeby coś powiedzieć. Podeszła bliżej. Nadal miał na sobie płaszcz i musiało mu być bardzo ciepło. Poklepała go po ramieniu. Przez krótką chwilę nie było reakcji i naszła ją szalona myśl, że Enderby być może nie żyje. Kolejna ofiara. Potem obudził się wystraszony. Już chciał coś powiedzieć, ale przytknęła sobie palec do ust. Kiwnęła, żeby poszedł za nią i opuściła salę.

Na rozmowę wykorzystali jeden z pokoi na górze. Vera polubiła Enderby'ego od pierwszego spotkania, ale nawet wtedy czuła, że prowadzi on jakąś grę. Cała ta historyjka o Margaret Krukowski jako szpiegu. Teraz patrzyła, jak pije kawę, i pozwalała mu siedzieć w milczeniu. Napięcie rosło. Był przyzwyczajony do słów, ale nie dawał sobie rady z milczeniem. Odezwał się pierwszy. Wiedziała, że tak będzie.

– To bardzo miłe, pani inspektor, ale muszę przyznać, że byłem zaskoczony pani widokiem. – Wstydlivy, chłopięcy uśmiech. – Sprytnie mnie pani wysłedziła! Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Panie Enderby, znał pan Dee Robson? – Pytanie wywołujące dreszcze jak śnieg z deszczem na skórze. Nie spodziewał się go.

Milczał długo.

– Tę biedną kobietę, która prawie zamieszkała w Coble? Oczywiście, widywałem ją i słyszałem okrutne uwagi. – Znowu się zawahał. – Raz czy dwa razy kupiłem jej drinka. Zawsze siadywałem w saloniku, ale gdy przechodziłem przez bar, rozumie pani, czułem dla niej litość. Może dlatego, że była jedną z podopiecznych Margaret, a ja zawsze uważałem, że dla dobroczynności tej kobiety powinienem mieć szacunek.

– Nie słyszał pan, że ją zamordowano? – Pytanie zadała Holly. Enderby odwrócił się do niej, wyglądał na zaskoczonego tą uwagą. Jakby niegrzeczne dziecko przerwało rozmowę dorosłych.

– Nie – powiedział po chwili. – W ostatni wieczór nie poszedłem do Coble. Wcześniej zjadłem spory lunch, wróciłem

na Harbour Street i wystarczyła mi kanapka w pokoju. Gdzie miałbym o tym usłyszeć?

– Panie Enderby, muszę wiedzieć, dlaczego pan nas okłamał. – Vera nachyliła się do niego nad stołem. W pokoju było bardzo ciepło. Odpowiedź nie nadchodziła. Enderby wstał, zdjął płaszcz i starannie przewiesił go przez oparcie krzesła.

– No, panie Enderby? – Vera potrafiła pokazać, co to znaczy władza. – Po co te kłamstwa?

– Niezupełnie rozumiem, pani inspektor.

– Powiedział nam pan, że przyjechał tutaj, żeby sprzedawać książki. Ale nawet nie zbliżył się pan do żadnej księgarni, odkąd pan się tu pojawił. Czy zechciałby nam pan powiedzieć, o co tutaj chodzi?

Jakby zapadł się od środka. Vera pomyślała, że był jak lśniący karton z winem, kiedy cały alkohol został wypity. Cała dżentelmeńska uprzejmość była osłoną przed światem, a teraz, kiedy nie działała, okazał się pusty. Sądziła, że się rozplacze, ale on podniósł wzrok z cichą rozpaczą.

– Nikogo nie zabiłem – powiedział.

– Więc po co te wszystkie kłamstwa?

– Pani nie zrozumie, sam tego nie rozumiem.

– Niech pan spróbuje.

Zaległa cisza. Vera pomyślała, że Enderby potrzebuje czasu, żeby ułożyć jedną ze swoich historyjek, ale w końcu słowa popłynęły niepowstrzymanym strumieniem. Ten sam miły głos, ale wyczuła, że wypowiedź jest osobista, a nie jak zwykle udawana.

– Na uniwersytecie byłem leniwy – nie intelektualnie leniwy, rozumie pani. Zawsze znajdowałem czas na pracę. Ale uczuciowo. Można być uczuciowo leniwym? – Popatrzył na nie, ale chyba nie oczekiwał odpowiedzi. – No więc, w naszej grupie na roku była dziewczyna. Dość miła. Ładna w staromodnym stylu, coś jakby wiejska różyczka. I chyba się jej spodobałem, pomyślałem więc: a może umówić się z nią na randkę? Była z dobrego domu, spodobała się moim rodzicom. A i ja ją

polubiłem. Wszystko szło jak po maśle, mogłem poświęcić energię książkom, co wtedy było najważniejsze. – Przerwał, żeby odetchnąć. – Po studiach jakoś tam doszło do ślubu. Wiedziałem, że jej nie kocham, nic z tych rzeczy, ale wszyscy się tego spodziewali i byłoby bardzo nieładnie, gdybym ją rzucił, skoro się zaręczaliśmy. No i po prostu to zrobiłem. Jak wyjaśniałem, coś w rodzaju uczuciowego lenistwa. Albo tchórzostwa. To chyba lepsze słowo. – Znowu przerwał. Vera naląła mu kawy. Widziała, że Holly zastanawia się, do czego to wszystko prowadzi. Korciło ją, żeby kazać mu przejść do sedna sprawy, ale wolała nie przerywać w obecności Very.

George Enderby mówił dalej:

– Wszystko układało się jak najlepiej. Diana nie musiała szukać pracy. Pieniądze nigdy nie były dla nas problemem. Dostała spadek po zamożnej babce. Uwielbiała konie: ujeżdżanie. Jest w tym naprawdę bardzo dobra. Parę lat temu o mały włos nie zakwalifikowała się na olimpiadę. Podziwiam ją. Oboje chcieliśmy mieć dzieci i tu nastąpiło rozczarowanie. To znaczy, nie mieliśmy. – Przerwał, zapatrzył się w okno, na samochody tłoczące się na Westgate Road.

– To jest tło – powiedziała Vera. – I to bardzo interesujące. Ale zupełnie nie wyjaśnia, dlaczego pan jest w Northumberland i udaje, że pracuje.

– Diana mnie porzuciła. – Spodziewały się kolejnego potoku słów, ale znowu przerwał i dalej mówił już wolniej. – Chyba chciałem uciec, a tutaj czuję się prawie jak w domu. – Znowu oparł głowę na dłoniach. – Parę razy myślałem, żeby ją zostawić. Nasz związek nigdy nie był całkowicie satysfakcjonujący. Więc dlaczego czuję się tak koszmarnie? Taki zraniony?

– Męska duma – powiedziała energicznym tonem Vera. Zaciekawilo ją to dziwne małżeństwo, chciałyby się dowiedzieć więcej. Na przykład, czy dzielili łożę? Czy uprawiali seks, kiedy stwierdzili, że nie będzie dzieci? Ale wiedziała, że to raczej nieistotne dla śledztwa i można by to nazwać wścibstwem.

– Musimy wiedzieć, gdzie pan był, kiedy udawał pan, że

pracuje. Gdzie pan był wczoraj?

– Chce pani powiedzieć: wtedy, kiedy zabito tę biedną Dee Robson? – Wydawał się wstrząśnięty, że Vera nadal uważa go za podejrzanego po tym, jak obnażył przed nią swoją duszę.

– I wcześniej, kiedy zasztyletowano Margaret Krukowski. – Vera pomyślała, że George przemknął się przez życie, używając jako ochrony swojego uroku. Teraz musiał stawić czoło konsekwencjom uczuciowego lenistwa. Albo tchórzostwa.

– Wtedy nawet mnie tutaj nie było – powiedział. – Przyjechałem tu z Londynu. Przybyłem tuż przed panią, pamięta pani.

– Nie! – Vera prawie wykrzyczała to słowo. – Żadnych kłamstw więcej. Po południu był pan w Coble. Właściciel pana zapamiętał. – Zaczęła w duszy przeglądać ewentualności. George Enderby śledzi Margaret idącą z wizytą do Dee, potem wsiada do metra do Gosforth. Łatwo zmieszalby się z godnymi szacunku mieszkańcami eleganckiego przedmieścia. Potem idzie za nią przez śnieg, z dłonią na rękojeści noża w kieszeni płaszcza. – Czy zabił pan Margaret Krukowski?

– Oczywiście, że nie! To śmieszny pomysł. Dlaczego miałbym zabijać Margaret?

„I to jest najważniejsze pytanie w tej sprawie”, pomyślała. „Dlaczego ktoś miałby zabijać Margaret Krukowski?”

– Gdzie pan był wczoraj?

Wzruszył ramionami.

– Czy to naprawdę ważne? Czy może teraz oskarża mnie pani, że i Dee Robson zabiłem? Nedorzeczny pomysł.

– Nie, proszę pana. Nedorzecznością jest odmowa odpowiedzi na moje pytania. Szczególnie po tym, jak wcześniej mnie pan okłamał. – Znowu nachyliła się nad stolikiem, prawie go dotykała. – Może wolałby pan pojechać z nami na komisariat? Areszt policyjny zapewniłby doskonałą izolację od problemów domowych.

Tym razem odpowiedział natychmiast.

– Poprzedni wieczór spędziłem z przyjacielem, który mieszka

w Tyne Valley. To nie było zaplanowane. Nic nie było zaplanowane. Ale gdy tylko przyjechałem, w dniu, kiedy zabito Margaret, Kate uznała, że jestem w pracy i że będę robił to, co zwykle. Dwa wieczory tutaj, jeden poza pensjonatem, potem powrót na noc. Nie chciałem się jej tłumaczyć. – Popatrzył tęsknie za okno. – Miałem nadzieję, że nadal będzie padał śnieg i zostaną odcięty w Mardle.

– A jak nazywa się ten przyjaciel? – Ale Vera domyślała się, że już wie. Osią tego śledztwa była Harbour Street i wszystkie osoby dramatu łączyło to miejsce.

– Michael Craggs. – Enderby podniósł wzrok i uśmiechnął się. Vera pomyślała, że uśmiech to u niego zwyczaj, odruch, jak tik nerwowy. – Jest biologiem morskim z Newcastle University. Spotkałem go w pensjonacie w Mardle. Jest tam stałym gościem, kiedy przyjeżdża na wybrzeże prowadzić badania. Właściwie to zawsze mu zazdrościłem. Ma chyba wszystko, doskonałe małżeństwo i doskonałą rodzinę, zadowolenie z pracy. Zazdrościłem mu tak bardzo, że chciałem go przestać lubić. Ale profesorka nie da się nie lubić.

– I jak z tym było? – zapytała Vera. – To znaczy, z tym zaproszeniem. Po prostu zadzwonił pan do niego? „Udaję przed światem, że nadal jestem szczęśliwym małżonkiem. Przenocuj mnie przez jedną noc, żebym mógł się schować”.

– Nie trzeba było do niego dzwonić. – Enderby popatrzył na nią. – Tego popołudnia, kiedy przyjechałem, był tutaj, na Harbour Street. Wtedy, kiedy tak padał śnieg.

„Wtedy, kiedy zamordowano Margaret”. Znów przerwa. Vera zastanawiała się, czy Enderby rozumie ukryte znaczenie swoich słów. Może z rozmysłem wskazuje na Craggsa jako na ewentualnego podejrzanego. Enderby zaczął się stawać irytujący. Był śliski i samolubny.

Mówił dalej:

– Mike szedł ulicą, żeby wsiąść do swojego samochodu, kiedy nadjechałem. Zapytał, co tam u mnie. Powiedziałem, że właściwie to parszywie. Musiał zrozumieć, że jestem kompletnie

rozbity. Zabrał mnie do Coble, postawił drinka i powiedział, że mogę u niego zostawać, kiedy chcę. – Enderby smutno się uśmiechnął. – Nie bardzo mi się to spodobało. Naprawdę nie byłem w nastroju na wizyty u szczęśliwych rodzin. Ale nie chciałem tłumaczyć Kate, że Diana mnie opuściła. – Przerwał, a Vera domyśliła się, że szykuje się kolejne wyznanie. – Właściwie, to zawsze mnie pociągała. Już miałem powiedzieć, że ją kocham, kiedy na scenie pojawił się Stuart. Nigdy nie potrafię zdążyć. Zapytałem profesorka, czy mogę u niego przenocować, kiedy niby to będę w Szkocji.

Enderby popatrzył, jakby spodziewał się kolejnego pytania, a przynajmniej komentarza, ale Vera myślała o profesorze Craggsie, który znał Margaret, pijał od czasu do czasu w Coble, musiał więc też znać Dee Robson. Założyli, że kiedy rozstał się z Malcolmem Kerrem, pojechał prosto do domu w dniu pierwszego morderstwa. Na pewno takie wrażenie odniosła Holly, kiedy rozmawiała z nim w Dove Laboratory w Cullercoats. Co więc robił na Harbour Street później tego samego dnia? Jak spędził godziny między pożegnaniem z Kerrem a spotkaniem z Enderbym?

– Wesoly miał pan wieczór, prawda? – spytała. – Wtedy, w Tyne Valley, kiedy myśleliśmy, że sprzedaje pan książki w Szkocji. Pan, profesorek i jego żona? – Nigdy do końca nie ufała szczęśliwym rodzinom. Joe zawsze uważał ją za cynika. Nie zmienił zdania.

– Mary Crabbs nie było. – Enderby jakby stracił zainteresowanie rozmową, może dlatego, że już nie było mowy o dramatycznym opuszczeniu go przez żonę. – Opiekowała się wnukiem u jednego ze swoich dzieci i została tam na noc. Ale owszem, dziękuję, było bardzo przyjemnie. Następnego dnia pojechałem po Hexam. Piękne miasteczko. A potem wróciłem na Harbour Street. Rano złapałem metro do miasta. Zawsze uwielbiałem Lit & Phil. Pomogło mi, miałem czas, żeby w spokoju wszystko przemyśleć. Jeszcze jedna noc i będę w stanie wrócić do domu i stanąć twarzą w twarz ze światem.

– Tak pan planuje, prawda? – Vera zastanawiała się, co to znaczy stawać twarzą w twarz ze światem. Może Enderby będzie musiał zaakceptować fakt, że już nie ma dostępu do pieniędzy żony, że już nie będzie dworku na wsi. Może dlatego był taki załamany. Gardził kobietami, odkąd się z nią ożenił, traktował je protekcjonalnie i ogólnikowo. Vera zastanawiała się, dlaczego żona potrzebowała tyle czasu, żeby go zostawić.

– Tak – powiedział. – Taki był plan. Diana powiedziała, że po Bożym Narodzeniu mogę zostać w domu jeszcze na trochę, ale będę musiał się rozejrzeć za własnym kątem.

„Co znajdziesz? Kawalerkę na strychu. Jak Margaret Krukowski”.

– Oczywiście, musimy potwierdzić tę wersję u pańskiej żony. – Ale Vera uważała, że tym razem Enderby mówił prawdę, albo był tak blisko prawdy, jak tylko mógł to znieść.



**Vera wróciła wczesnym popołudniem do Kimmerston.**

Nadzwyczajne spotkanie zespołu, żeby omówić nową informację Joego. Kiedy wyszła z Lit & Phil, odebrała od niego wiadomość. Nie podawał szczegółów, ale wyczuwała jego podniecenie. Stłoczyli się w jej gabinecie, ze stosu pustych pudeł po pizzy wepchniętych do kosza na śmieci dolatywał zapach cebuli i czosnku. Holly wyglądała, jakby miała zamiar wymiotować.

Vera oparła się o biurko. Wołała patrzeć na nich z góry.

– No, Joe, to posłuchajmy jeszcze raz.

– Stuart Booth powiedział, że Margaret pracowała jako wysokiej klasy dziwka w swoim mieszkaniu na Harbour Street. Nie była chciwa. Miała tylko kilku dobrze płacących klientów. Ale jednak była prostytutką. – Zmarszczył brwi.

Vera pomyślała, że czuł się zawiedziony. Uwierzył w świętą Margaret, ucieleśnienie kobiecych cnót.

– I Booth był jednym z jej klientów? Nie pomyślał, że powinien powiedzieć nam o tym wcześniej?

Joe wzruszył ramionami.

– Jest w nowym związku. Na pewno nie zależałoby mu na upublicznieniu tego, prawda? Dopiero kiedy dowiedział się, że druga ofiara zajmowała się tym samym, doszedł do wniosku, że powinniśmy się dowiedzieć.

– Bardzo prospołecznie – oceniła Vera. – Albo bardzo sprytnie.

– Myślisz, że kłamie?

– Ludzie kłamią, kotku. Ma motyw, prawda? Skoro znalazł miłość swojego życia w tym wieku, ostatnia rzecz, jakiej by chciał, to żeby Margaret Krukowski to zepsuła. – Vera zauważyła plamkę stopionego sera na swetrze i spróbowała ją zdrapać. –

Pogrzebmy w przeszłości pana Bootha, zobaczymy, co uda się znaleźć. Charlie, przez resztę dnia tym się zajmiesz.

Nowy, szczęśliwszy Charlie nawet się nie skrzywił.

– I byłoby wskazane wysledzić innych ludzi, którzy znali Margaret przed laty. – Vera nie wiedziała, co zrobić z nową informacją; nie potrafiła się zdecydować, czy to ważne czy odsuwa ich od głównego wątku. – Jakież propozycje?

– Starsza pani, sąsiadka Dee na Percy Street, mówiła o jednym z wielbicieli Margaret. – Joe podniósł wzrok znad notatek. – O chłopaku, który się nazywa Ricky Butt. Teraz byłby w mocno średnim wieku, ale może ją pamiętać. Jego matka była właścicielką Coble.

Vera przypomniała sobie portret nad barem.

– Charlie, to też sprawdź, dobrze? Zobacz, czy można znaleźć jego adres.

– Jak ci poszło z George'em Enderbym? – Joe niecierpliwiał się. Uważał, że teraz, kiedy skończyli jeść, powinni wziąć się do roboty, a nie siedzieć i gadać. Znowu protestancka etyka pracy.

– Hol, co o nim sądzisz? – Holly dęsała się, kiedy nie dostawała swojej porcji zainteresowania. Poza tym należało dać jej możliwość wyrażenia opinii. To ona odkryła, że Enderby ich okłamywał.

– Sądzę, że jest trochę żaloszny. Nawet nie lubił swojej żony, więc po co robi tyle hałasu, że go opuściła? – Holly przeciągnęła się. Vera pomyślała, że dziewczyna jest za młoda, żeby poczuć, jak doskwiera samotność. Nie przyjdzie jej nawet do głowy, młodej i zdrowej, że mogłaby umrzeć w samotności.

– Jak sądzisz, czy Enderby jest potencjalnym mordercą?

– Hm, miał okazję, prawda? Jeśli sprawdzić czas, był w Mardle wystarczająco wcześnie, żeby znaleźć się w metrze razem z Margaret, a póki nie sprawdzimy jego alibi u Craggsa, mamy tylko jego słowo, że był daleko od okolicy, w której zabito Dee Robson.

– Motyw?

Milczenie.

– Jest dziwaczny, prawda? – powiedziała Holly. – I nienawidzi kobiet.

Ale Vera wiedziała, że to za mało.

– Joe, nie pamiętasz, czy widziałeś go w metrze?

– Nie, ale był tłok. Co nie znaczy, że go tam nie było. – Przerwał. – W walizce na kółkach, w której zwykle nosi książki, była zmiana ubrania. Wodoodporna kurtka, dżinsy, wysokie buty. Opłacałoby się może zabrać je i sprawdzić. Tylko na wypadek, gdyby były na nich ślady krwi. Tak czy inaczej, ciekaw jestem jego reakcji, kiedy go o to poprosimy.

– Tak zrobimy. – W pokoju było ciepło i Verze nagle zachciało się spać. Czas wyjść i złapać trochę świeżego powietrza, bo skończy się drzemką z głową na biurku. Jak George Enderby w Sali Ciszy. Czas zagnać zespół do pracy.

– Hol, chcę, żebyś dziś po południu wybrała się do Przystani. Powiedziałam Cameron, że przyjedzie Joe, ale chcę, żebyś to była ty. Czy któraś z kobiet wie o przeszłości Margaret? Ta nowa informacja pomaga nam zrozumieć, dlaczego tak współczuła Dee Robson, prawda? A dziewczyny nic nie powiedzą, dopóki ich nie zapytamy. Niby, że nie wolno źle mówić o zmarłych. Sprawdź, czy któraś znała Margaret, zanim zajęła się wolontariatem. Wszystkie pochodzą z tych stron. I chciałabym usłyszeć twoją opinię na temat Jane Cameron i tych kobiet. – Przerwała, żeby zaczerpnąć oddechu. – Joe, ty weźmiesz się za profesora Craggsa. On też wprowadził nas w błąd. Dlaczego był w Mardle tamtego popołudnia, a Holly powiedział, że pojechał prosto do Hexham? Poszperaj dzisiaj trochę, a jutro od razu jedź do niego do domu. Weź z sobą Charliego. Bardzo dobrze mu zrobi dzień w terenie po tylu dniach za biurkiem.

Charlie uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

– Widzisz w Craggsie podejrzanego? – Joe był sceptyczny. Zawsze nabierał się na ludzi z wykształceniem.

– Dlaczego nie? Okłamał nas. A jest w odpowiednim wieku, żeby być jednym z klientów Margaret. I jako ojciec szczęśliwej rodziny miał mnóstwo do stracenia, gdyby chciała opowiedzieć

ludziom o swojej przeszłości. Wiedziała, że jest umierająca i to mogło ją skłonić do uporządkowania spraw. – „Dzięki temu Margaret mogłaby poczuć się lepiej, pomyślała Vera, ale byłoby to okrutne wobec innych”.

– A szefowa? – spytała Holly. – Jakie masz plany? – Jakby to była jej sprawa.

– Wracam do Mardle. – Nie rozwodziła się nad tym, a oni wiedzieli, że lepiej nie pytać.

**Pozostałą część popołudnia** Vera krążyła po Mardle; nie była w stanie się uspokoić, uporządkować myśli. Informacja, że chodząca do kościoła, zaangażowana w dobroczynność kobieta sprzedawała swoje ciało za pieniądze, już zdążyła zmienić podejście zespołu do śledztwa. Odmieniła ich spojrzenie na Margaret. Pojawiło się zagrożenie, że nagle dochodzenie okaże się dla nich proste. Zaczną szukać zabójcy prostytutek. Sprawa zostanie do tego zredukowana.

Ale Vera uznała, że informacja tylko skomplikowała sprawę morderstwa i uczyniła je bardziej misternym. Na przykład pojawił się związek z Malcolmem Kerrem. Czy wiedział, jak Margaret zarabiała na życie? Z pewnością musiał wiedzieć. I jak to na niego zadziało, skoro w tak oczywisty sposób był w niej zakochany? „Nawet teraz broni jej honoru”, pomyślała Vera, chociaż nie udało się jej określić, jaki był to związek. Wreszcie: „Kto jeszcze wiedział?”

Od jakiegoś czasu nie dostrzegała tego, co się wokół niej dzieje i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że stoi przed budynkiem liceum. Obrzydliwe cegły i beton, i płot, który nadawał temu wszystkiemu wygląd więzienia. Kraty w niektórych oknach też. Prawdopodobnie była to próba zapobiegania wandalizmowi, ale Vera na ten widok miała ochotę ciskać cegłami. Tu była zewnętrzna granica sprawy. Profiler naszkicowałby mapę i powpinał w nią szpilki. „Tutaj mieszkają wszyscy główni aktorzy. Nie licząc Przystani”, pomyślała nagle. Stara proboszczówka

była poza miastem, ale też leżała w centrum dochodzenia. Wiele osób wplątanych w tę sprawę było tam po południu na zimowym jarmarku. Margaret chciała przedyskutować jakiś problem z Jane Cameron. Swoją chorobę, czy coś innego? A może któraś z rezydentek uprawiała tę samą profesję i rozpoznała ją? Vera miała ochotę osobiście pojechać do Przystani. Byłaby cierpliwa wobec kobiet, wyciągałaby z nich wspomnienia. Ale jak Holly ma rozwinąć swoje umiejętności detektywistyczne, jeśli Vera nie pozwoli jej na samodzielność?

Odwróciła się i poszła z powrotem w stronę Harbour Street, wybijając butami na płaskich obcasach rytm na chodniku. Przy metrze zatrzymała się i skręciła w uliczkę prowadzącą do Percy Street. Kryminaliści nadal byli w mieszkaniu Dee Robson. Taśma policyjna rozwinięta na zewnątrz wyglądała dziwnie świątecznie na tle szarego budynku. Vera zapukała do drzwi Malcolma Kerra. Żadnej odpowiedzi. Prawie natychmiast znowu się odwróciła; prowadził ją ten sam impuls, te same myśli huczały jej w głowie.

Dzień był tak ciemny, że w piwnicznej kuchni pensjonatu włączono światło i scena z życia domowego rozwijała się jak opera mydlana na oczach przechodniów. Kate Dewar przy stole, nabiera chochlą zupę z wazy. „Boże, ale jestem głodna”, pomyślała Vera. A obok Kate stoi Stuart, jej kochanek. Czy wyznał swoje młodzieńcze grzechy, mimo że Joe prosił go, żeby tego nie robił? „Gdybym znalazła takiego dobrego mężczyznę, byłoby mi obojętne, co wyprawiał przed trzydziestu laty”. Wyglądał poważnie, ale on zawsze wyglądał poważnie. Nie dało się poznać, o czym rozmawiają. Ale ani śladu dzieci, a przecież odesłałby je, zanim by zaczął mówić.

Nagle Vera uświadomiła sobie, że Hector bywał na Harbour Street w czasach, kiedy Margaret uprawiała swoją profesję w tym domu. Znał Malcolma Kerra i wynajmował jego łódź, żeby rabować ptasie jaja. W Coble obsługiwała go zapewne tłusta właścicielka z obrazu nad barem. Czy był jednym z klientów Margaret? Czy przemykał się w cieniu warsztatu skutniczego i

szedł do wielkiego domu na rogu? Czy pukał do jej drzwi?

Nagła zmiana trasy, obejście. Przez jezdnię w stronę kościoła, gdzie usłyszała muzykę organową. Powolną i ponurą. Na wpół zapomniane kolędy zarzynane przez organistę. Bez towarzyszącego śpiewu, więc to nie nabożeństwo. Być może ćwiczenie. Chryste, ten organista naprawdę go potrzebował!

Vera pchnęła drzwi. W środku było ciemno, jeśli nie liczyć światła nad organami. Hałas ustał ze skrzypieniem i odezwał się wystraszony głos bardzo starej kobiety:

– Hej, to ty, ojczy? – Jasne, że miała czego się bać, zamordowano już dwie.

Vera odchrząknęła.

– Nie, ja tylko szukam księdza.

– Ojciec Gruskin wyszedł. – Kobieta nadal była podejrzliwa, ale strach ustąpił miejsca ciekawości. – O co pani chodzi?

– Wie pani, gdzie on jest?

– Wyjechał do domu dla upadłych kobiet. – Wypluła te słowa z pogardą.

Vera zastanawiała się, jak Margaret mogła się tutaj modlić, w otoczeniu wszystkich tych złośliwych cnotek. W końcu łatwo być cnotliwym, jeśli nie ma się pokus. Powinna o tym wiedzieć. Vera wyszła z kościoła, pozwalając, żeby drzwi zamknęły się z nią z zadowolającym traskiem. Hałas zaprowadził ją na drugą stronę ulicy, do warsztatu Kerra.

Podwójne wrota nie były zamknięte na kłódkę. Ryan, chłopak Kate Dewar, piaskował kadłub dinghy; zgrzytliwy dźwięk maszyny drażnił nerwy i sprawiał, że nie mógł jej usłyszeć. Podeszła do niego i pomachała mu ręką przed twarzą. Wyłączył urządzenie.

– Szukam Malcolma – powiedziała.

– Tutaj go nie ma. – Uśmiechnął się do niej. – Przykro mi. – Przejechał dłonią po gładkim kadłubie łodzi, prawie jakby ją pieścił.

– Cholernie zimno na dworze – powiedziała. – Chodź na minutkę do szopy. Wystarczy na pogawędkę.

Chyba niechętnie opuszczał dinghy, ale poszedł za nią.

– Podoba ci się twoja praca? – zapytała.

– Tak. – Wydawał się zawstydzony tym wyznaniem.

– Jest szansa, że Malcolm zatrudni cię, jak skończysz szkołę? –

Przesunęła osmalony czarny czajnik na fajerkę.

– Może. – Przerwał. – Ale nie wiem, jak to będzie. Mam plany. Chciałbym być szefem. Prawdziwe pieniądze można zarobić poza tym miastem.

Uniosła brwi. Pieniądze nigdy jej nie motywowały.

– Herbaty? – Skinęła głową w stronę czajnika.

– Hej – powiedział. – Czy to nie kradzież?

– Daj spokój. – Nie mogła powstrzymać uśmiechu. – Nie wydaje mi się, żeby tu gdzieś było mleko. – Podniosła na niego wzrok. – Gdzie jest Malcolm?

– Wyłynął łodzią. Jakiś facet chciał dostać się na wyspę.

– Profesor Craggs? – Może zaczeka i porozmawia z uczyńm. Zaoszczędzi Joemu jazdy przez pól hrabstwa.

– Nie, jakiś gość od zaopatrzenia. To ma coś wspólnego z zakwaterowaniem strażnika.

– Nie mogą poczekać, aż pogoda się poprawi? – Vera napiła się herbaty. Najlepsze, co można było powiedzieć o napoju, to że jest gorący. – Teraz nikt tam nie zamieszka.

– Niech mnie pani nie pyta! Nikt niczego mi nie mówi.

– Ale ty wiesz to i owo, prawda? – Bo dla Very chłopak był jak gąbka. Ludzie z nim rozmawiają. On nasiąka informacjami, zwierzeniami i luźnymi fragmentami plotek. – Mieszkasz na tej ulicy niemal całe życie. Widziałeś różne rzeczy.

– Mam koszmary – powiedział. – Źle sypiam. A potem gdzieś chodzę. Mama tego nie znosi; uważa, że wplączę się w kłopoty na mieście. No, to prawda, widzę różne rzeczy.

– A co widzisz? – zapytała Vera. – Co widzisz, jak chodzisz po Harbour Street w środku nocy? – Przerwała. – Ryan, jakie tajemnice możesz mi zdradzić?

Popatrzył na nią, jakby zaskoczony, że może być taka spostrzegawcza. Już miał odpowiedzieć, kiedy zadzwoniła jego

komórka. Popatrzył na identyfikator dzwoniącego i twarz mu się zmieniła, zrobiła się pusta i twarda.

– Przepraszam – powiedział. – Muszę odebrać. – Wstał i wyszedł na dwór.

Kiedy wyszła za nim po paru minutach, piaszczarka znów była włączona. Pomachał do niej przyjacielsko, ale domyśliła się, że teraz niczego z niego nie wydobędzie.

Po wyjściu z warsztatu uznała, po rozważeniu wszelkich możliwości, że może zrobić tylko jedno: usiąść we frytkarni Mardle i zjeść łupacza z frytkami.



**Holly przyjechała do Przystani** wczesnym popołudniem. Płaski nadmorski krajobraz, drzewa powyginane od wiatru. Wielkie szare niebo. Dom też był szary, kamienny i kwadratowy, ale nadkruszony z zaniedbania. Łuszcząca się farba na framugach okien i rynnach, z których wyrastało zielsko, brakujące dachówki. Za niewielkie pieniądze można by z tego zrobić coś wspaniałego. Holly widziała ten dom jako elegancki wiejski hotel, ewentualnie przebudowany na luksusowe apartamenty. Była fanką telewizyjnych programów na temat przebudów i przeróbek, a u fryzjera czytywała magazyny poświęcone wnętrzarstwu. Zastanawiała się, dlaczego organizacja dobroczynna nie sprzeda domu i nie kupi w mieście czegoś, co bardziej nadawałoby się na schronisko. I tak sporo by im zostało.

Zaparkowała obok czarnego volvo, a ledwie wysiadła z wozu, wiatr przewiał ją na wylot. Gdzieś czekał pies. Zapukała do drzwi; niemal natychmiast otworzyła je chuda dziewczyna, prawie dziecko.

– Pani jest pracownikiem socjalnym? – Słowa były gorliwe, oczy szeroko otwarte. Rude włosy miała ściągnięte do tyłu i związane wstążką. Ubrana była jak uczennica, ale uczennica z gustem i pieniędzmi. Holly uznałaby ją za kogoś z personelu, ale dziewczyna była za chuda i zbyt nerwowa. Obskubywała teraz paznokcie.

– Obawiam się, że nie.

– Ach... – rozczarowana dziewczyna cofnęła się. – Miał przyjechać pracownik socjalny i zabrać mnie do domu na święta. Mój opiekun wyjechał na ferie. Matka powiedziała, że chce mi dać drugą szansę.

– Mogłabym porozmawiać z kimś z kierownictwa?

W tym momencie w korytarzu pojawiła się gruba kobieta.

– Emily, mówiłam ci, że nie przyjedzie tutaj przed piątą – powiedziała do dziewczyny. Jakby mówiła do ośmiolatki. – Idź poczekać do kuchni, tam jest ciepło. – Potem wyciągnęła rękę do Holly. – Nazywam się Jane Cameron, prowadzę to schronisko. Pani musi być z bandy Very Stanhope. Rozumiem, że przyjechała pani, żeby porozmawiać z mieszkankami o Dee Robson.

Jane przypominała Holly jej nauczycielkę francuskiego. Dysponowała takim samym dobrodusznym autorytetem i tą samą pewnością, że bez szemrania wydobędzie ze swoich podopiecznych to, czego chce. Taki sam szkocki akcent. Z głębi domu dobiegł hałas i pojawił się ksiądz Peter Gruskin. Jeśli rozpoznał Holly, nie pokazał tego po sobie. Miał ściągnięte brwi.

– No, to już jadę, mogę? Nie sądzę, żebyśmy na tym etapie mogli zrobić coś więcej. – Skłonił się obu kobietom i wyszedł. Wiatr szarpnął go za płaszcz i włosy. Stały i patrzyły, póki nie odjechał.

Holly poszła za Jane do kuchni, gdzie dwie kobiety zakładały buty i rękawice.

– Właśnie planowałyśmy przechadzkę – powiedziała Jane. – Wszyscy utknęli w domu, a prognoza pogody na resztę tygodnia jest koszmarna. Potrzebny nam łyk świeżego powietrza. No, dalej, Em. Włóż płaszcz. Obiecuję, że nie przegapisz spotkania z pracownikiem socjalnym. – Zwróciła się do Holly. – Pójdzie pani z nami? Możemy porozmawiać podczas spaceru. – Holly nie miała wyboru. Były tylko trzy rezydentki – inne najwyraźniej zaproszono do wygodniejszych albo bardziej ekscytujących miejsc na Boże Narodzenie. Chude dziecko, Em, umięśniona młoda kobieta o imieniu Laurie, która szła na przedzie rzucając patyki psu, i Susan, starsza, siwowłosa, która prawie nie odzywała się, kiedy szły.

Z początku Jane pozwoliła, żeby kobiety poszły przodem i sama odezwała się do Holly.

– Spotkała się pani wcześniej z Peterem Gruskinem?

Holly skinęła głową. Myślała, że tylko ona będzie zadawała pytania. Miała wrażenie, że ta asertywna kobieta ciągnie ją za sobą, a ona traci kontrolę nad sytuacją.

– Co pani o nim sądzi?

Holly zawahała się. Nie powinna plotkować o innych świadkach.

Jane nie czekała i odpowiedziała na swoje pytanie:

– To straszny człowiek. Ostatni ksiądz był cudowny. Miły, kobiety go lubiły. Dla Petera jesteśmy nie do zrozumienia. Obawia się, że media wychwyca, że Margaret i Dee były powiązane poprzez Przysań. Jak pani sądzi, może się tak zdarzyć? Wolałby, żebyśmy opuściły to miejsce.

– Nie wiem. My niczego mu nie powiedzieliśmy. – Szły ścieżką wzdłuż pustego pola. Małe stadko jaskrawo upierzonych zięb dziobało suche główki ostu.

– Jak się pracuje u Very Stanhope? – zapytała Jane rozbawionym tonem.

Holly milczała, wahając się między lojalnością, a chęcią wygadania się. W końcu się powstrzymała.

– Interesująco – powiedziała. – Inspektor Stanhope jest świetnym detektywem.

Jane zachichotała, a Holly poszła naprzód, żeby porozmawiać z kobietami. Ten marsz terenowy mógł być dla niej jedyną okazją, żeby znaleźć coś, co mogłaby zanieść Verze.

Emily z początku nie miała niczego ciekawego do powiedzenia. Zajmowała ją perspektywa wyjazdu do domu na Boże Narodzenie.

– Moja matka myśli, że tym razem się uda. Rozmawialiśmy o tym, że wrócę do szkoły i będę miała poprawkę z egzaminów końcowych. – Mówiła to smutnym, niezbyt optymistycznym głosem.

– Gdzie chodzisz do szkoły?

– Do St. Anne w mieście, ale mama myśli, że lepiej miałabym w miejscowym ogólniaku. Mniej stresu. Ale czy ja wiem? To

chyba może być trochę straszne. Nigdy nie chodziłam do szkoły z chłopcami. – Zamrugła i na chwilę ucichła. Holly pomyślała, że ta delikatna młoda kobieta nie przetrwa tygodnia w wielkiej szkole średniej. Rodzice Holly bardzo oszczędzali, żeby mogła pójść do prywatnej szkoły.

– Margaret miała przyjechać z wizytą, żeby zobaczyć, jak daję sobie radę – powiedziała Emily. Zwracała się do Holly proszącym tonem. Może zobaczyła w niej zastępczą zbawczynię.

– Znałaś Dee Robson?

– Nie. – Przerwała. – Hm, spotkałyśmy się raz, na zimowym jarmarku... przysła z Margaret, ale dostałam wtedy lekkiego ataku paniki. Tylu tych obcych. W ogóle z nikim nie rozmawiałam. – I Emily poszła dalej, zostawiając Holly z tyłu. Musiała zdać sobie sprawę, że Holly nie jest kimś, kto jej pomoże. Kiedy Holly ją dogoniła, mówiła dalej o morderstwach. Okazało się, że nie przebywała w Przystani z Dee, bo w schronisku była zaledwie parę tygodni, przeniesiona z oddziału dla nieletnich miejscowego szpitala psychiatrycznego.

– Dziewczyny powiedziały mi o Dee. Zawsze robiły sobie z niej żarty. Ale przecież nikt nie zasługuje na taką śmierć, prawda? – Przez jakiś czas szły w milczeniu, słychać było tylko krakanie gawronów na pobliskich drzewach i silnik traktora w oddali.

– Czy Margaret wspominała o czymś, co nie daje jej spokoju? – Holly pomyślała, że ostatnią osobą, którą Margaret wybrałaby sobie na powiernicę, byłaby Emily, słaba i z tyloma własnymi problemami.

Emily pokręciła głową.

– Miało się wrażenie, że nic nie może jej poruszyć, że widziała już wszystko.

### **Laurie знаła Dee.**

– Była jedną z tych dziewczyn, które kręciły się po Mardle. Ludzie tak się przyzwyczaili, że ciągle robi z siebie widowisko, aż przestali ją zauważać. Jak bezdomnych sprzedających gazety.

Oni są, ale właściwie to się ich nie widzi. – Laurie przeciągnęła kijkiem po krzakach jeżyn przy ścieżce. – Margaret sądziła, że po jakimś czasie w Przystani Dee sporządnieje.

– Ale nie sporządniała?

– Nie. Nie znosiła Przystani, odkąd się tu pojawiła. Ja tam uwielbiam wieś, ale Dee nie miała pojęcia o świecie poza Mardle.

– Gdzie przebywała, zanim przyszła do Przystani? – Holly miała nadzieję, że nie zapomni tych szczegółów przed powrotem na komisariat. Bez iPada była jak bez ręki.

– W więzieniu. Wdała się w bójkę z jakimś facetem w Coble i skazali ją za lekkie uszkodzenie ciała. A już była na warunkowym za kradzież sklepową. Pod koniec kary chciała wrócić i zamieszkać z babcią, ale babcię wpakowali do domu starców, kiedy Dee jeszcze siedziała. Więc kurator przywiózł ją do nas. Jane nie chciała jej przyjąć, ale Margaret przekonała ją, żeby dała Dee szansę. – Laurie wzruszyła ramionami. – Mogłam im powiedzieć, że na nią nie ma rady.

– Czy Margaret знаła Dee wcześniej? – To wreszcie byłaby informacja, na którą czekała Vera.

– Nie wiem. Może. A może znała matkę Dee. Myślę, że tak. – Laurie znowu rzuciła patyk psu i pobiegła za nim. Z nich wszystkich ona najbardziej pasowała do Przystani. – Rodzina Dee zawsze mieszkała w Mardle.

**Wracały do domu inną trasą**, między drzewami, kiedy Holly zaczęła rozmowę z Susan. Starsza kobieta miała problem z dotrzymaniem im kroku i Holly musiała na nią poczekać. Wiatr świsnął w nagich gałęziach nad głowami, a ponieważ Susan słabo słyszała, Holly musiała od czasu do czasu krzyknąć, żeby ją zrozumiała. Inne odeszły już daleko.

– Od dawna mieszka pani w Przystani?

Wydawało się, że to bezpieczny początek rozmowy, ale pytanie wystraszyło Susan.

– Nie będę musiała się wyprowadzić, prawda? Margaret powiedziała, że mogę zostać, jak długo zechcę. Wiem, że w założeniu to jest tymczasowe schronienie, ale ona powiedziała, że jestem przypadkiem specjalnym. – Jej głos zaskoczył Holly. Był nerwowy, ale też łagodny i kulturalny.

– Od dawna ją pani znała?

– O tak, przyjaźniłyśmy się od wielu lat. – Kobieta przerwała. – Ale Margaret zawsze była znacznie silniejsza ode mnie. – Kolejna przerwa. – Nigdy nie miałam silnych nerwów. A teraz i pamięć mnie zawodzi. – Dziwnie zachichotała. – Rozpadam się.

Pozostałe kobiety, które szły przed nimi, zniknęły. W lesie było coraz ciemniej.

– Znała pani męża Margaret? – zapytała Holly.

– Nie, jego nie znałam. Odszedł, zanim się spotkałyśmy. Znałam innego jej mężczyznę. Tego, dla którego pracowała.

– Malcolma Kerra? – Holly pomyślała, że Verze bardzo się to spodoba. Niczego nie lubiła bardziej od niespodziewanych powiązań.

– To tak się nazywał? – Susan rozejrzała się zdezorientowana, jakby zapomniała, gdzie się znajduje. – Nie pamiętam nazwiska.

– Mieszkała pani wtedy w Mardle? – Holly żałowała, że ta kobieta nie jest bardziej wiarygodna. Może to nie są wspomnienia, ale dziwaczne wyobrażenia Susan.

– W Mardle? O, tak. Mieszkałam na Harbour Street, w mieszkaniu na parterze. Margaret mieszkała na strychu. Wie pani, miałam dziecko, ale mi je zabrali. Czasem myślę, gdzie ona może teraz być. Pewnie jest już całkiem dorosła. Ale to było dla jej dobra. Tak, jestem pewna, że dla jej dobra.

– Wie pani, z czego żyła Margaret?

Odpowiedzi nie było. Holly nie była pewna, czy kobieta usłyszała pytanie, więc je powtórzyła.

Ale Susan znów nie odpowiedziała. Zaczęła nucić. Z początku Holly nie wiedziała, co to za melodia, ale potem ją rozpoznała. Kiedyś miała chłopaka zafascynowanego muzyką lat dziewięćdziesiątych. *White Moon Summer* Katie Guthrie.

**Kiedy we dwie dotarły do domu**, Emily znów krążyła przy drzwiach, czekając na pracownika socjalnego. Laurie zniknęła. Susan, nadal nucąc, podreptała do pokoju na końcu korytarza. Słychać było bardzo głośno nastawiony telewizor, w którym leciał jakiś teleturniej. Holly znalazła Jane w kuchni, jak robiła herbatę.

– Dowiedziałaś się tego, co chciałaś? – Jane odwróciła się. Kroiła ciasto i nadal miała nóż w rękę.

– Nie wiem. – „A co ci do tego, paniusiu?” Może to podobieństwo do nauczycielki sprawiło, że Holly nie ufała tej kobiecie. A w każdym razie jej nie lubiła. – Opowiedz mi o Susan.

– Ach, biedna Susan. Ma za sobą historię depresji i epizodów psychotycznych. Ciągłe wraca do szpitala psychiatrycznego. Próbowali wszystkiego, od psychoterapii po elektrowstrząsy, ale nie wiem, czy chociaż przeprowadzili rzetelne rozpoznanie. Teraz jest całkiem stabilna.

– Od dawna tu przebywa? – Holly usiadła na stole, wyjęła iPada i dyskretnie zaczęła notować. Wstukala to, co udało się jej zapamiętać z rozmów z kobietami podczas spaceru. Vera lubiła, żeby powtarzać wszystko słowo w słowo.

– Ponad dwa lata. Z założenia mamy dawać tymczasowe schronienie w nagłych wypadkach i szczerze mówiąc, powinna się wyprowadzić, ale jej się tutaj podoba i chyba nie będę miała serca, żeby kazać się jej wynieść.

Jane nalala herbatę do dwóch kubków.

– Dokąd by poszła?

– Powiedziała, że mieszkała w Mardle przy Harbour Street.

– Naprawdę? Na pewno nie ma bliskiej rodziny. Służby socjalne sprawdziłyby to. – Jane usiadła obok Holly przy stole.

– Powiedziała mi, że przed laty знаła Margaret Krukowski.

– Doprawdy? Nie powinnaś za bardzo zwracać uwagi na to, co mówi Susan. – To była Jane w trybie pani w klasie, znowu ten

protekcjonalny ton. – Ma mętlik w głowie, słyszy, co ludzie mówią i powtarza to albo zamienia w opowieść o sobie. Marny z niej byłby świadek. – Te słowa zabrzmiały prawie jak ostrzeżenie.

Przy drzwiach powstało poruszenie. Zdaje się, że w końcu, i to dość wcześnie, pracownik socjalny przyjechał po Emily. Dziewczyna wpadła do kuchni z torbą podróżną, żeby się pożegnać, a Jane wyszła do samochodu, żeby ją odprowadzić.

– Mam nadzieję, że jej to pomoże – powiedziała Holly, kiedy Jane wróciła.

– Tak, cóż, nie będę wstrzymywać oddechu. Ostatnim razem jej matka dała sobie z nią radę przez jedną noc, a już rano była z nią przed wydziałem socjalnym i czekała, aż go otworzą. Matka ma własne problemy. Nowego partnera, który ma pieniądze, ale nie ma czasu dla Emily. Teraz wydział socjalny będzie zamknięty i spodziewam się, że to ja będę musiała pozamiatać. – Jane musiała sobie zdać sprawę, że to, co powiedziała, zabrzmiało bezdusznie. – Przepraszam. Zmęczenie współczuciem. Po prostu jestem zmęczona.

Holly pomyślała, że i ona jest zmęczona – a spędziła tutaj tylko jedno popołudnie.



**Profesor Craggs mieszkał** w niskiej kamiennej chałupie we wsi niedaleko Hexham i Wału Hadriana. Przez całą drogę Joe Ashworth myślał, że to strata czasu. Telefon załatwiłby sprawę. Ale Vera wolała spotkania twarzą w twarz.

– Znacznie łatwiej jest kłamać przez telefon – wyjaśniła, zanim wyjechał. – A Craggs od dawna zna wszystkich bohaterów tej sprawy. Dowiedz się, co wie o sytuacji na Harbour Street i wygrzeb trochę informacji o Kerrze i Enderbym. Wiem, że Holly z nim rozmawiała, ale ona nie ma cierpliwości; nie zawsze daje ludziom czas, żeby wydobyli z siebie słowa.

Pod koniec jazdy zaczęła mu się podobać. Charlie zasnął, ledwie opuścili Kimmerston i Joe uznał, że ma wszelkie prawa, żeby puścić swoją muzykę. Miał CD z chórem Jessie. Włączył go, kiedy zbliżali się do domu Craggsa. Wybrał drogę, zbudowaną jeszcze przez starożytnych Rzymian. Biegła prosto jak okiem sięgnąć wzdłuż Wału Hadriana, a ruch na niej był niewielki. Wysokie dziecięce głosy pasowały do szerokiego, pustego krajobrazu i tylko trochę psuło je chrapanie Charliego na tylnym siedzeniu. Joe potrząsnął Charliem, żeby go obudzić, kiedy podjeżdżali wąską drogą do niskiej chałupy, której przydałoby się pobielenie. Profesor był w ogrodzie, grabił opadłe liście na niestaranie utrzymanym trawniku. Usłyszał ruch przy bramie, odwrócił się, oparł o grabie, z lekka nastroszony. Joe pomyślał, że według profesora mogą być sprzedawcami albo świadkami Jehowy, więc odezwał się pierwszy:

– Detektyw sierżant Ashworth z policji Northumberland. A to mój kolega Charles Laidler.

Craggs był wielki i barczysty, miał krótko obcięte siwe włosy. Tego dnia nie ogolił się, był w dziurawych spodniach i swetrze.

Szary płaszcz przeciwdeszczowy przewiązany był w pasie kawałkiem szpagatu. Gdyby się go spotkało na Northumberland Street w mieście z wynędzniałym psem, można by go wziąć za dobrze odżywnionego włośczykija. Dla Joego ubranie było czymś ważnym, nie ubrałby się tak nawet do ogrodu. Profesor i Vera należeli do tego samego gatunku. To raczej ona powinna przejechać taki kawał drogi, żeby osobiście przeprowadzić z nim rozmowę.

– Czym mogę służyć, panie sierzancie? – Craggs odstawił grabie.

– Chodzi o morderstwa popełnione na Dee Robson i Margaret Krukowski.

– Widziałem w telewizji, że było jeszcze jedno zabójstwo. Przerażająca historia. Może panowie wejdziecie? I tak miałem zaraz skończyć. Chociaż nie sądzę, żebym mógł podać jakąś użyteczną informację.

Profesor zostawił kalosze na rozklekotanym ganku dobudowanym do tyłu domu. Na parapetach leżały tace z nasionami, sieci rybackie, stało dziecięce wiaderko z łopatką. Joe poszedł za profesorem przez długą wąską kuchnię do salonu. Pod oszklonymi drzwiami stał stół pokryty ceratą we wzory. Leżał na nim stos gazet. Światło wpadające przez okno oświetlało siedzącą tam kobietę, ale w pozostałej części pokoju było ciemno. Joemu rzuciły się w oczy papiery – książki, teczki, notatniki – na półkach, krzesłach, na podłodze, wszystko odkurzone. Kobieta spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

– Moja żona, Mary – przedstawił Craiggs. Było to proste przywitanie, ale Joe domyślał się, że profesor ją uwielbia. Była niska, szczesane do tyłu włosy spinał grzebień. – Ci ludzie są detektywami, moja droga, i chcieliby porozmawiać o tych strasznych morderstwach w Mardle.

– Wobec tego zrobię kawę. – Wstała. Joe zobaczył, że ubrana jest w spłowiałe płócienne dzinsy, sandały i ma na sobie indyjską bawełnianą tunikę w jaskrawych kolorach. Nadal ubierała się tak, jak robiła to zapewne w czasach studenckich.

Pod stołem stała duża skrzynka jabłek, każde z osobna owinięte było w gazetę. Pokój pachniał jabłkami.

– Miał pan szczęście, że mnie pan zastał, sierżancie. Bardzo często zajmujemy się wnukami podczas ferii. – Była to łagodna przymówka, przypomnienie, że detektywi pojawili się bez uprzedzenia.

– Musimy z panem porozmawiać o George’u Enderbym. – Za oknem widać było to, co znajdowało się obok domu. Mały ogród, a za nim wysoki mur z czerwonej cegły, porośnięty bluszczem.

– Ach, biedny George. Obawiam się, że się zamartwia. Kiedy powiedziałem o tym Mary, stwierdziła, że to jego wina i że całe lata musiał okropnie traktować żonę, ale i tak nie mogę mu nie współczuć.

– Zna go pan od dawna? – Joe usłyszał w oddali odgłos gotującej się w czajniku wody i brzęk filiżanek stawianych na spodkach. Charlie w kącie robił notatki.

– Ten dom na Harbour Street stał się dla nas obu drugim domem. Tamtejsze towarzystwo miało w sobie coś bardzo pociągającego. Kate i jej dzieci. Margaret Krukowski, taka przyjazna i ciepła. Stali goście. Teraz, oczywiście, już tak nie będzie, ale myślę, że przecież i tak musiałoby się tam zmienić. Kate znalazła inny obiekt zainteresowania: Stuarta, dzięki któremu jest taka szczęśliwa i odnowiła entuzjazm do muzyki. Z mojego punktu widzenia to dobrze, że się zmienili. To bardzo ułatwi mi decyzję o przejściu na emeryturę. Mniej będę żałował.

– Czy Margaret się zmieniła? – „Umierała”, pomyślał Joe. „Ale to też jest zmiana”.

– Widzi pan, myślę, że zaszła w niej zmiana – powiedział profesor. – Podczas mojego ostatniego pobytu wyglądała na rozkojarzoną, jakby nieobecną duchem.

– Mógłby pan jeszcze raz przypomnieć sobie dokładnie, co pan robił tego popołudnia, kiedy zabito Margaret? – Joe nie wyobrażał sobie, żeby ten człowiek mógł być mordercą, ale Vera znalazła sprzeczności w jego zeznaniach i zabiłaby Joego, gdyby

tego nie sprawdził. – Wyplłynął pan łódką z Malcolmem Kerrem?

– Zgadza się. To część moich stałych prac terenowych u brzegów Coquet Island.

– O której wrócił pan do Mardle?

– Mówiłem o tym tej młodej kobiecie, która przyszła do mnie do laboratorium. – W głosie profesora nie było niechęci, tylko swego rodzaju rezygnacja. – Było około trzeciej.

– I co pan wtedy zrobił? – To ważne pytanie. Craggs powiedział Holly, że pojechał samochodem prosto do domu, ale Enderby twierdził, że później tego samego dnia spotkali się na Harbour Street.

– Poszedłem do Bove Laboratory w Cullercoats. Chciałem podrzucić tam sprzęt.

– A potem? – Joe nachylił się przez stół.

– Potem wróciłem do Mardle. To była przeprawa. Mocno padał śnieg, a ja chciałem jechać do domu. Ale zostawiłem swoją teczkę w warsztacie Malcolma – jedno z tych starczych zakłóceń pamięci, które zdarzają mi się ostatnio coraz częściej – a następnego dnia miałem wykonać ważny telefon. Wiedziałem, że będą mi potrzebne te papiery. Mam klucz do warsztatu i do szopy Malcolma, nie musiałem mu robić kłopotu. Na Harbour Street wpadłem na George'a. Wyglądał tak żałośnie, że nie mogłem zostawić go tam samego. Wypiliśmy po jednym w pubie. Pomyślałem, że jak będzie padać naprawdę bardzo duży śnieg, zawsze będę mógł zostać na noc w pensjonacie Kate. W końcu trochę się przejaśniło i pojechałem do domu.

Słowa wypływały z niego łatwo. Zbyt łatwo? Joe zastanawiał się, czy nie były przećwiczone.

– I zaprosił pan Enderby'ego, żeby spędził noc tutaj?

– Nie tamtą noc, ale dwa dni później. Był zrozpaczony. Na pewno powiedział wam, że opuściła go żona. Uciekł na Harbour Street i udawał, że nadal pracuje, bo nie byłby w stanie powiedzieć Kate, co się stało. Zaprosiłem go na ten dzień, kiedy twierdził, że jest w Szkocji.

Mary przyniosła kawę i dyskretnie się ulotniła.

– Jaki był, kiedy tutaj gościł? – zapytał Joe.

– Zrozpaczony. Wypił za dużo mojej whisky i zaczął być chaotyczny. Oczywiście, wtedy już wiedzieliśmy, że Margaret nie żyje. Jej śmierć zmartwiła go chyba bardziej niż to, że żona go opuściła. Mnóstwo czasu spędziliśmy rozmawiając o niej. – Profesor napił się kawy i rozparł w fotelu.

Joe pomyślał, że odtwarza tamten wieczór w myślach.

– A co dokładnie panu o niej powiedział?

– Że była cudowną kobietą. Nie potrafiliśmy zrozumieć, dlaczego mąż ją opuścił przed laty. I było w niej coś tajemniczego. – Craggs uśmiechnął się. – Obawiam się, że George jest romantykiem. Pewnie czyta za dużo powieści.

– Czy spotkał pan kiedyś męża Margaret? Skoro tak długo pracuje pan z Malcolmem Kerrem, mógł się pan na niego natknąć. – Joe próbował ustalić czas tych wydarzeń. Kiedy wróci do biura, naszkicuje wykres z datami.

– Nie. Wówczas nie zatrzymywałem się w Mardle. Nie było pensjonatu, a Harbour Street nie cieszyła się dobrą opinią. Prawie co wieczór z Coble wylewały się na ulicę bójki. Kiedy musiałem popłynąć na wyspę, przyjeżdżałem z Newcastle. – Przerwał. – Oczywiście, metro otwarto dopiero w 1980 roku, przedtem dojeżdżałem samochodem. Miałem zdezelowany minibus, który co i rusz się psuł. – Uśmiechnął się. – Dobre czasy.

– Znał pan Margaret Krukowski, zanim w domu przy Harbour Street powstał pensjonat? – Joe pomyślał, że przed trzydziestu laty w tej okolicy musiała istnieć mała i zwarta społeczność. Żyli tu ludzie, którzy mieszkali w kawalerkach i ci, którzy pracowali w smażalniach. Zanim dotarło tu metro, ulica odcięta była od reszty miasteczka nieużywanym torem kolejowym. Żałował, że nie ma pojęcia, jak wyglądało miasto w tamtych latach.

– O, tak. Krótce pracowała jako księgowa i recepcjonistka u Billy'ego Kerra, ojca Malcolma. Potem stwierdził, że jej nie potrzebuje. Domyślam się, że miał za mało pieniędzy. Potem widywaliśmy ją czasem w Coble, albo kiedy szła ulicą. – Profesor

uśmiechnął się. – Zawsze dystyngowana. Zawsze nieskazitelnie ubrana. Kate Dewar przejęła ten dom dopiero jakieś dziesięć lat temu i zacząłem bywać tam regularnie, bo robiłem badania do habilitacji. Ale jestem zupełnie pewien, że mąż opuścił Margaret wcześniej. Zawsze znałem ją jako singielkę.

Joe wpadł nagle na pewien pomysł.

– Ma pan jakieś zdjęcia? Interesuje mnie, jak wtedy wyglądała Harbour Street.

– Chyba tak. Skoro pan sądzi, że to ważne. – Wyglądał na zaskoczonego i był trochę sceptyczny. Czy detektywi przejechali taki kawał drogi, żeby popatrzeć na parę zdjęć? – Używam aparatu, żeby rejestrować okazy na wyspie, ale robiłem też zdjęcia różnym typom ludzkim na ulicy. – Wstał i zaczął przeszukiwać szuflady starej komody. Joe już miał powiedzieć, żeby się nie fatygował, że to nie takie ważne, kiedy profesor wyciągnął prawie rozpadający się album. Położył go na stole, a Joe wstał, żeby lepiej się przyjrzeć. Charlie został tam, gdzie był.

I oto nagle ukazała się Harbour Street, znajoma, ale trochę inna. Pejzaże były spłowiałe. Młody Malcolm Kerr stał przy ścianie portu ze starszym mężczyzną. W tle budynek smażalni, lśniący i nowy w jaskrawym słońcu. Starszy mężczyzna uśmiechał się, młodszy patrzył wściekle. Po drugiej stronie chodnikiem obok kościoła szła jakaś kobieta i pchała wielki, staromodny wózek dziecięcy. W jednej ręce trzymała papierosa, drugą prowadziła wózek.

– Dlaczego je zrobiłem? – Craggs nachmurzył się. – Tyle czasu minęło, że nie pamiętam.

Odwrócił stronę albumu. Ukazała się grupa pozująca przed Coble. Lato. Kobiety w sukienkach bez rękawów i sandałkach, mężczyźni mrużący oczy przed słońcem. Pośrodku Billy Kerr z szerokim, pijackim uśmiechem obok wielkiej kobiety w bezkształtnej sukience w kwiaty.

– Pamiętam ten dzień – powiedział Craggs. – Pięćdziesiąte urodziny Billy'ego. – Wskazał na grubą kobietę. – To Val Butt. Była właścicielką pubu. A to jej syn, Ricky. Miejscowy macher.

Zawsze miał gotówkę i żadne z nas nie wiedziało skąd. Szpaner. Szybko się wyprowadził. Domyślam się, że Mardle było dla niego zbyt nudne.

Joe popatrzył na Ricka Butta, ciemnowłosego młodzieńca ubranego w dżinsy, ale jego uwagę przyciągnęła stojąca przed Rickiem kobieta. Margaret Krukowski. Już nie młódka z fotografii ślubnej, tutaj starsza, po trzydziestce, ale nadal śliczna. Uśmiech na jej twarzy był spięty i nienaturalny, jakby krępowało ją, że ktoś robi jej zdjęcie.

Craggs znów odwrócił stronę. Tym razem było to perspektywiczne ujęcie Harbour Street z wielkim domem na końcu ulicy. Nawet na odległość było widać, że popada w ruinę. Na tej samej stronie warsztat szkutniczy Kerra. Zamiast szopy z blachy falistej stał kontener biurowy, dość ładny, z tabliczką na drzwiach: Czartery Kerra. Joe domyślał się, że to biuro, w którym Margaret odbierała telefony i wpisywała zamówienia klientów, zanim jej praca okazała się zbyt droga.

– Czy Margaret pracowała tam, kiedy pan ją poznał? – zapytał Joe.

Craggs pokręcił głową.

– Nie, to było zanim tam nastąpiłem. Wkrótce po zrobieniu tego zdjęcia barak, używany jako biuro, spalił się. Chodziły plotki, że to jakiś przekręt ubezpieczeniowy. Powszechnie wiadano, że Kerrowie są winni pieniądze w całym mieście. Przeinwestowali, kupując nową łódź. Wkrótce potem pojawiła się szopa Malcolma.

Następna strona była pusta.

– To wszystko, co tu jest – powiedział Craggs. – Chyba, że interesują pana wodorosty...

Joe pokręcił głową i uśmiechnął się. Miał wrażenie, że lepiej poznał tło sprawy, ale jednak przyjechał, żeby sprawdzić, co działo się tu niedawno.

– George Enderby był u pana tego wieczora, kiedy zamordowano Dee Robson.

– Tak – powiedział Craggs. – To musiał być ten dzień.

– O której przyjechał?

– Było późno. Chyba ósma. Mary zostawiła nam zapiekankę, a ja byłem bardzo głodny. Zwykle jadam wcześniej i mało brakowało, a zacząłbym bez niego.

Więc Enderby nie ma alibi także na morderstwo Dee. Joe pomyślał, że już niczego tutaj nie zwojuje i ruszył w stronę drzwi.

Mary Craggs musiała ich obserwować, bo znów wyszła z kuchni.

– Panie sierżancie, znalazł pan wszystko, czego pan szukał?

– Tak, pani mąż bardzo nam pomógł. Dziękuję. – Zastanowił się. – Panie profesorze, czy mógłbym pożyczyć ten album? Oddam go, gdy tylko pokażę szefowej.

Craggs kiwnął głową i wrócił do domu, żeby przynieść album. Potem starsi państwo wyszli z Joem i Charliem do ogrodu. Stali i patrzyli zza bramy. Profesor obejmował ramieniem żonę. Patrzyli, póki policjanci nie odjechali.



**Wieczorna odprawa.** Na dworze ciemno, ulice zakorkowane. Początek długiego bożonarodzeniowego weekendu, ludzie wyjeżdżają na południe, żeby odwiedzić rodziny i przyjaciół. Vera zamknęła się w gabinecie i wynurzyła się z niego dopiero, kiedy odprawa miała się zacząć. Przejechała palcami przez włosy, aż stanęły dęba, ale nikt nie ośmielił się jej tego powiedzieć.

Stanęła z przodu pokoju, w rozkroku, z roziskrzonymi oczami.

– Kochani, wyjaśnimy to przed świętami, co wy na to? Potem wszyscy możecie iść do domu, do dzieci i zdążyć na rozpakowanie prezentów.

Kilka sceptycznych wiwatów na sali. Vera nie słynęła z postawy prorodzinnej.

– Ja zacznę, mogę? – Nie pozwoliła im zaprotestować. Wskazała na białą tablicę, na zdjęcie młodej Margaret Krukowski. – Nasza pierwsza ofiara, siedemdziesięcioletnia kobieta uczęszczająca do kościoła św. Bartłomieja, oddana pracy na rzecz Przystani, schroniska dla kobiet. Od początku zastanawialiśmy się, czy w tym można znaleźć wskazówkę. Czy żyła w związku, w którym panowała przemoc? Czy dlatego zaprzyjaźniła się z naszą drugą ofiarą, Dee Robson?

Joe Ashworth, który siedział z tyłu, pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział Very tak ożywionej. Jakby ubyło jej dziesięć lat. Zastanawiał się, czy nie pociągnęła ukradkiem whisky, którą trzymała w szufladzie w swoim gabinecie. A może miała jakieś własne informacje, które chciała im przekazać.

Vera mówiła dalej:

– Ale wczoraj pojawił się świadek, który rzucił zupełnie odmienne światło na relacje między Dee a Margaret. Jak już wszyscy wiecie, między tymi kobietami było jeszcze inne

powiązanie.

Vera przerwała, w pokoju panowała cisza. Popatrzyła na nich, a Joe rozpoznał, że Vera pławi się w ich skoncentrowanej uwadze.

– Trzydzieści lat temu Margaret Krukowski była call girl i pracowała w domu przy Harbour Street, tam gdzie mieszkała w chwili śmierci. Dyskretna i z klasą, mimo kiepskiego sąsiedztwa. Odniosła też sukces, bo wydaje mi się, że pieniądze na jej rachunku oszczędnościowym pochodziły z tamtego okresu. To chyba jest odpowiedzią na wiele naszych pytań w sprawie tej kobiety. Czasem mówiła o jakichś tajemnicach i dawała do zrozumienia, że dotyczy to jej przeszłości. To wyjaśnia, choćby częściowo, dlaczego Malcolm Kerr tak niechętnie mówił nam prawdę. Uwielbiał ją i nie chciał, żeby jej pamięć zbrukała plotka, że zarabiała własnym ciałem. To też wyjaśnia jej sympatię do Dee Robson. Zakładam, że Margaret zajęła się tą robotą, kiedy zostawił ją mąż i kiedy straciła pracę w biurze Kerrów. Smutne, że wolala się sprzedawać niż wrócić do rodziców i przyznać, że myliła się co do swojego męża. Wygląda na to, że sama kierowała swoim biznesem. Booth nie wspominał, żeby zaangażowany był w to jakiś mężczyzna. Margaret ceniła swoją niezależność.

Vera zamilkła i rozejrzała się. Joe pomyślał, czy aby nie czeka na oklaski za profesjonalne podsumowanie. Holly podniosła rękę.

– Szefowo, czy to posuwa śledztwo do przodu? To było dawno. Ilu ludzi z sąsiedztwa wie, że się tym zajmowała?

Och, Holly! pomyślał Joe. Kiedy się nauczysz? Nie stawia się pytań Verze Stanhope, kiedy jest na fali.

Ale Vera musiała poczuć przyływ łaskawości i tego dnia obyło się bez przykrych uwag ucinających dyskusję.

– Nie, to nadal jest istotne. Jesteś młoda i naiwna i nie rozumiesz, że z mrocznych głębin może się coś wynurzyć i nawiedzać człowieka. Może Margaret chciała przed śmiercią powiedzieć ludziom o swojej przeszłości. Postawić jasno sprawę. A to były szanowane osobistości – dawni klienci – którzy nie

chcieli, żeby to zrobiła. – Przerwała. – Jak ci poszło w Przystani?

– Jedna z tamtejszych rezydentek twierdzi, że mieszkała w domu przy Harbour Street w tym samym czasie, co Margaret. – Holly zajrzała do notatek. – Susan Coulson. Jest trochę rozkojarzona, mówiła, że miała dziecko, które jej zabrano. Ale powiedziała też, że знаła szefa Margaret.

– W porządku. To był Malcolm Kerr. Albo jego ojciec, Billy. Jutro weźmiemy się za Malcolma. Trudno mi uwierzyć, że nie wiedział, jak Margaret zarabiała na życie. Zawsze uważał się za swego rodzaju powiernika. Jednak nie widzę w nim alfonsa. Coś jeszcze?

Holly znów zajrzała do notatek.

– Nie z Przystani, ale rozmawiałam z żoną Enderby'ego.

– I?

– Potwierdza, że go opuściła. Wytworna Diana zakochała się w facecie, który prowadzi stajnie, gdzie ona trzyma swoje konie.

– Holly uśmiechnęła się. – Najwyraźniej jest bardzo wysportowany. Mówiła o szczegółach... Aha, zapytałam Enderby'ego, czy moglibyśmy wziąć do badania jego ubranie, które woził ze sobą w walizce na kółkach.

– Jak zareagował na to pytanie?

– Był urażony. „Jak możecie sądzić, że byłbym zdolny do czegoś takiego?” Ale i tak nie robił za dużo zamieszania.

Vera rozejrzała się po pokoju.

– Ktoś jeszcze chciałby coś dołożyć do śledztwa? Bo może to jest sprawa, którą prowadzą tylko kobiety z tego zespołu?

Joe powoli podniósł rękę.

– Tak, Joe? Razem z Charliem miło spędziliście dzień na wsi, z wizytą u profesora. – Wskazała nazwisko „Craggs” na tablicy.

– Czego się od niego dowiedziałeś? W tamtych czasach objął się po Mardle. Młody naukowiec prowadzący badania. Jak sądzisz, był jednym z klientów Margaret?

– Craggs przyznał, że ją uwielbiał – powiedział Joe. – Ale nie, chyba nie. Wtedy był już żonaty i widać, że kocha żonę na zabój.

– Joe zobaczył, że Vera ma się ochotę szyderczo uśmiechnąć.

Gdy się mówiło o romantyczności, udawała, że rzyga, więc szybko przeszedł dalej. – Ale i tak przekazał nam interesującą informację.

– Chłopie, dawaj ją tu.

– Kerrowie mieli w latach osiemdziesiątych kłopoty finansowe. Byli winni pieniądze w całym mieście i kiedy spalił im się barak biurowy, wyglądało to zbyt dogodnie. Plotka głosiła, że to był przekręt ubezpieczeniowy.

Joe zauważył, że Vera trawi to i odrzuca jako nieistotne. Podejrzał, że ułożyła już własną teorię. To tłumaczyłoby jej podniecenie. Tylko czekała na stosowną chwilę, żeby ją oznajmić. A jednak uparł się.

– Margaret musiała znać sytuację finansową Kerrów. W końcu prowadziła ich księgi. Skoro zamierzała wyjaśnić sprawy z przeszłości, może i o tym chciała powiedzieć.

– To nieistotna sprawa. Nie wydaje mi się, żeby po tylu latach ktoś się tym zainteresował.

„A więc, pomyślał Joe, to stawia mnie na właściwym miejscu. Vera mogłaby chociaż przez chwilę przemyśleć ten pomysł”.

Zrobiła krok do przodu, jak gwiazda przygotowująca się do wejścia w blask reflektorów.

– Czy profesor był w stanie coś ci powiedzieć o jej mężu, Pawle Krukowskim?

– Nic. Zniknął z pola widzenia, zanim Craggs poznał Margaret. – Joe zamierzał dać Verze album, ale pomyślał, że w nastroju, w którym teraz jest, podniecona, niesiona na skrzydłach jakiejś swojej teorii, tylko by drwiła, że dla niego ma to jakiegokolwiek znaczenie.

Zapadła cisza. Vera popatrzyła na nich i Joe stwierdził, że w końcu zebrała się w sobie, żeby oznajmić swoją wspaniałą teorię.

– Nie wierzę, żeby Paweł nagle zniknął z powierzchni ziemi – powiedziała. – Margaret mogła ukrywać coś więcej niż tylko to, że uprawiała seks za pieniądze. – Znów się rozejrzała; teraz też wyglądała, jakby czekała na oklaski.

– Myślisz, że zabiła swojego męża? – Według Joego, Vera

wkroczyła teraz do królestwa fantazji. Margaret Krukowski nie była zabójcą, ale ofiarą.

– Na tym etapie nie wiem jeszcze dokładnie, co myśleć. – Wściekle na niego spojrzała. – Opowiadamy historie. Tworzymy teorie. Ale jutro będziemy musieli sprawdzić parę faktów. – Wróciła do białej tablicy, starła kawałek i zaczęła pisać. – Paweł Krukowski. Co z nim? Idę o zakład, że nie żyje, a jeśli żyje i szczęśliwie mieszka w Warszawie, będę kupować jedzenie na wynos przez następne pięć lat. Charlie, przejmujesz wyśledzenie go. Natychmiast, od rana. Weź naszych europejskich kolegów do pomocy. Hol, sprawdzisz, czy są jakieś dane na temat pożaru w warsztacie Malcolma, ale nie trać na to zbyt wiele czasu.

Znieruchomiała, unosząc rękę z markerem.

– Ta Susan Coulson... Joe, spotkałeś ją podczas odwiedzin w Przystani?

Joe cofnął się w pamięci i zobaczył siwowłosą kobietę mieszkającą zupę. Łzy spływały jej po policzkach. Wtedy myślał, że to dziwactwo, tak reagować na śmierć nieznaną, ale jeśli przyjaźniła się z Margaret przez ponad trzydzieści lat, miałyby to więcej sensu.

– Tak – powiedział. – Spotkałem ją.

– Pogawędz z nią. Z dala od schroniska, jeśli ci się uda. Jane Cameron to maniaczka kontroli. Trzeba samemu taką być, żeby rozpoznać bratnią duszę. A nie chcę, żeby słuchała. – Vera znów przerwała. – Zawieź ją na Harbour Street. Kup jej rybę z frytkami na obiad albo porto z cytryną w Coble. Sprawdź, czy wywołasz jakieś wspomnienia.

– Szefowo, naprawdę nie wydaje mi się, żeby był z niej dobry świadek. Każdy adwokat zje ją na śniadanie. – Holly znów się wtrąciła. Joe zastanawiał się, czy nie zazdrości, że odebrano jej świadka, chociaż wiedział, że Holly nie miałaby cierpliwości do Susan, starej i zagubionej.

Vera odezwała się łagodnym tonem:

– Hol, na tym etapie nie martwi mnie sprawa przed sądem. Po prostu chcę wiedzieć, kto zabił te dwie kobiety.

**Kiedy Joe wrócił do domu**, czekały na niego dzieci. Rodzice Sal zabrali je na świąteczny spektakl do Whitley Bay Playhouse i dwoje najstarszych nie posiadało się z zachwytu. Michael był na scenie i klaun wyciągnął z jego ucha żywego królika. Byli zachwyceni cudami, nawet Jessie, która twierdziła, że już jest trochę za stara na sztuki magiczne. Joe pomyślał, jak da sobie radę z nastolatką, upartą, przekorną. Znowu przypomniał sobie uczennice, które widział w metrze tego popołudnia, kiedy zginęła Margaret Krukowski. Dokazywały, mizdrzyły się do chłopaków. Trudno było sobie wyobrazić, żeby mogły się ekscytować świątecznymi spektaklami.

W łóżku nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, jak wykonać polecenie Very i wyciągnąć Susan Coulson z Przystani. Obawiał się Jane Cameron, a przecież nie mógł porwać Susan. Łzy lejące się z jej oczu bardzo go wzruszyły. Teraz nie wiedział, czy opłakiwała Margaret Krukowski, czy dziecko, które jej odebrano. Potem odtworzył w myślach rozmowę z Michaelem Cragsem. Denerwował się, bo czuł, że pominął coś ważnego. Ostatnim obrazem, który pojawił mu się w głowie tuż przed snem, było starsze małżeństwo. Opierali się o bramę objęci czule i machali mu na pożegnanie.

Kiedy się obudził, przypomniał sobie, prawie jakby to był dalszy ciąg snu, że nie przekazał Verze albumu ze zdjęciami.

**Kolejny dzień był pogodny i mroźny**, a Vera przyjechała do Mardle, zanim wyszło słońce. Czuła się, jakby była na wagarach. Powinna siedzieć w biurze, koordynować działania, nadzorować. Rola inspektora była strategiczna. Tyle że ją zawsze pociągały szczegóły. Obiecała sobie, że wróci na komisariat przed lunchem. Czas zabrać się za Malcolma Kerra. Gadał głupoty, a ona nie znosiła, jak się z niej robi idiotkę.

Pierwszy przystanek na Percy Street. Zastłony były zaciągnięte, założyła więc, że Kerr jest u siebie, ale kiedy zapukała do drzwi, odpowiedzi nie było. Na tyłach domu przebiegała uliczka oddzielona od ogródków drewnianym płotem. W świetle latarni widać było szron na zapuszczonym trawniku, a kiedy weszła, na betonowej ścieżce był lód. Zabębniła do drzwi kuchennych i znowu nie było odpowiedzi. Nacisnęła klamkę. Zamknięte.

Z domu obok wyszedł jakiś mężczyzna. Miał na sobie skafander, narciarską czapkę Newcastle United i pasujące do niej czarno-białe prążkowane rękawice. Szedł do pracy. Podejrzliwie popatrzył na Verę.

– Czego pani chce?

– Nie wiesz, kotku, przypadkiem, gdzie jest Malcolm, co? Nie mogę się dostukać. – Jej oddech w dziwnym białym świetle wyglądał jak chmura.

Mężczyzna spieszył się, ale teraz potraktował Verę jak urzędową osobę.

– Nie widziałem go od wczoraj, od rana. – I szybko odszedł, zanim zdołała go zapytać o coś jeszcze. Kusilo ją, żeby jakoś dostać się do domu. Gdzieś pewnie leżał zapasowy klucz, pod doniczką albo wycieraczką, ale gdyby Malcolm Kerr odsypiał u siebie kaca, przyłapałby ją na włamaniu. Poza tym w domu

panowała cisza, pomyślała więc, że nikogo nie ma, a Malcolm jest pewnie w swoim warsztacie. Wyobraziła go sobie w szopie, otulonego w stary płaszcz, jak marzy o miłości swojego życia. Zrobiłby wszystko dla Margaret Krukowski. Vera myślała teraz, że mógł zabić męża Margaret, a przynajmniej pomóc w pozbyciu się ciała. To była jedna z teorii, nad którymi pracowała. Przez całą noc krążyła jej po głowie. Chciała spokojnie zamknąć Kerra w areszcie, ale tak, żeby się nie przestraszył. Pomyślała, że morderstwa, które zdarzyły się teraz, mogły być spowodowane strachem. Strachem człowieka zapędzonego w kozi róg, człowieka, który walczył, żeby się ratować.

Kiedy przyjechała do warsztatu skutniczego, na bramie zastała zamkniętą kłódkę. Ulica zaczynała wracać do życia, ale nie było śladu nikogo, kto bywał w tajnym królestwie Kerra. Szron na chodniku był nienaruszony. Teraz zaczęła się niepokoić. Widziała Malcolma Kerra jako zagubionego, samotnego człowieka, który nie ma nic do stracenia. Byłoby źle, gdyby się zabił. Ale przecież, pomyślała, był zdesperowany i może chciał walczyć. Nie potrzebowała więcej przemocy. Przemyślała warianty działania. Może dostać nakaz przeszukania jego domu i warsztatu. Wszelkie dowody były poszlakowe, oparte na tym, że ich okłamał, ale po śmierci dwóch kobiet wydobycie nakazu nie będzie trudne. Telefon do Holly uruchomiłby proces. Wahala się. Wiedziała, że to nielogiczne, ale widziała w Kerrze bratnią duszę. Znała go od dziecka. Chciała z nim porozmawiać, zanim przylepi mu się łatkę mordercy.

Pod wpływem impulsu poszła do pensjonatu. Zobaczyła, że George Enderby je śniadanie w jadalni, jak zwykle przy stole pod oknem. Zapomniała, co jej powiedział: że zostaje jeszcze na jedną noc. Podniósł wzrok, zobaczył ją i nagle zrobił się nerwowy. „Wywieram takie wrażenie na ludziach, gdziekolwiek przyjdę”. Pomachała do niego i uśmiechnęła się. Potem weszła na schodki i zapukała do drzwi. Otworzyła Kate Dewar. Wyglądało na to, że była w środku rozmowy i coś ją



rozśmieszyło. Nadal się uśmiechała, kiedy zobaczyła Verę.

– Pani inspektor? – Trochę miała się na baczności, ale nie była zmartwiona. Vera jeszcze nie widziała jej tak szczęśliwej. Potem spostrzegła Stuarda stojącego w cieniu, tuż za Kate. Kobieta rozmawiała z nim, kiedy nadeszła Vera. Inspektor domyślała się, że Booth nie powiedział jej o swoim związku z Margaret Krukowski. Rozsądnie. Vera zawsze uważała, że uczciwość to przesadnie wychwalana cnota. Nie licząc uczciwości podczas policyjnego śledztwa.

– Czy zastałam pani syna?

Teraz Kate nagle się zaniepokoiła.

– Po co pani Ryan? Co on zrobił?

– Nic! – Vera uśmiechnęła się z nadzieją, że to uśmiech niosący pociechę. – Szukam Malcolma Kerra, który chyba dał drapaka. Pomyślałam, że Ryan może wiedzieć, gdzie go szukać.

– Dzieci są na dole. Oboje. Jedzą śniadanie. Właśnie skończyliśmy.

– Mogę zejść na dół? Niech pani idzie ze mną.

Kuchnia była najcieplejszym pomieszczeniem w domu, a po mroźnej ulicy człowiek czuł się tutaj jak w cieplarni. Chloe i Ryan siedzieli przy stole. Zastawiony był na cztery osoby, bardzo poprawnie, mleko w dzbanku, marmolada w miseczce. Zapewne prowadzenie przez lata pensjonatu sprawiało, że Kate nie mogła ścierpieć kartonów z sokiem i masła w papierku. A może próbowała zrobić wrażenie na kochanku. Vera była zaskoczona, że dzieci w ogóle wstały. Nastolatki podczas ferii... czy nie powinny leżeć jeszcze w łóżkach? Ale może Ryan miał zamiar popracować dzisiaj dla Malcolma.

– Inspektor ma do ciebie kilka pytań. – Głos Kate zabrzmiał ostrzegawczo.

Ryan czytał czasopismo muzyczne, w rękę trzymał tost. Podniósł wzrok.

– O co chodzi?

– O Malcolma Kerra. – Vera usiadła. Tost pięknie pachniał i nagle znowu była dzieckiem w domu Hectora. Tosty były jedną z

tych rzeczy, które umiał dobrze przyrządzać. – Byłam u niego w domu i w warsztacie, ale nie mogę go znaleźć. Może wiesz, gdzie jest?

– Przykro mi.

– Umówiłeś się z nim dzisiaj na pracę? – Nie mogła oderwać myśli od ociekającego masłem tosta i cierpkiej słodczy grubo nałożonej marmolady.

– Tak, ale dopiero trochę później.

– Wiecie, gdzie może być? – Tym razem skierowała pytanie także do dziewczyny. Siedziała z łokciami na stole. Vera pomyślała, że wygląda bardzo młodo, ale zbyt poważnie jak na dziewczynę w tym wieku. Zmartwiona. Jeszcze jedna obarczona tajemnicami. Atrakcyjna. Gdyby Margaret była młodsza, można by pomylić Chloe z kobietą ze zdjęcia zrobionego w dzień ślubu.

Chłopiec znowu wzruszył ramionami i wrócił do czytania czasopisma. Hector dałby mu za to w twarz. „Okaż minimum szacunku, chłopcze”.

Kate Dewar odezwała się ostro:

– Ryan, odpowiedz pani inspektor. – Popatrzyła na Verę i uniosła oczy, jakby chciała powiedzieć: „Dzieci w dzisiejszych czasach. Co z nimi zrobić?”

– Nie wiem, gdzie jest Malcolm. Naprawdę. – Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami niewiniątka. Vera pomyślała, że pewnie coś ukrywa, chroni swojego pracodawcę. Nigdy nie była w stanie zgadnąć, co myślą chłopcy w tym wieku.

– Malcolm może być na plaży – powiedziała Chloe.

Po raz pierwszy się odezwała. Zwinęła serwetkę w palcach tak, że wyglądała jak gruba bożonarodzeniowa petarda.

„Cholerne święta. O tej porze roku nie uniknie się tego. Nawet w myślach”.

Wszyscy patrzyli na Chloe. Mówiła dalej obronnym tonem:

– Widywałam go tam już wcześniej. Tylko się przechadzał.

– Na której plaży? – Vera nie rezygnowała z gawędziarskiego tonu.

– W Północnym Mardle – odpowiedziała Chloe, jakby to była

oczywistość. – Parkuje przy wydmach, a potem spaceruje.

– Ryan? – Ton Very był teraz ostrzejszy. „Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego zrzuciłaś to na siostrę?”

– Chodzi przeczesywać plażę – powiedział Ryan. – Czasem zbiera się tam drewno wyrzucone na brzeg z norweskich frachtowców. Długie deski, które może wykorzystać w warsztacie. Wychodzi wcześniej, żeby znaleźć dobry materiał.

Vera spojrzała na oboje i kiwnęła głową. Coś się działo w tej rodzinie, jakieś napięcie między bratem a siostrą, którego nie rozumiała. Nie miała rodzeństwa, w każdym razie o nim nie wiedziała, a więc i doświadczenia, jak załatwia się różnice zdań. Pomyślała, że to może tylko rywalizacja, że każde z nich chce uwagi i aprobaty matki. Ale w ich wieku, czy nie mieli już tego za sobą? Potem pomyślała o Joem i Holly i uznała, że niektórzy nigdy z tego nie wyrastają. Uśmiechnęła się na myśl, że jej zespół jest jak wielka dysfunkcyjna rodzina.

Znow zwróciła się do Ryana.

– Masz klucz do warsztatu? – Być może Kerr był tam przez całą noc. Zaszły się i pił w swoim baraku. Lepiej najpierw tam sprawdzić, niż szukać wiatru w polu i biegać po plaży.

Skinął głową i wyciągnął klucz z kieszeni.

– Czy mam z panią pójść? – Nagle zapragnął wyjść z domu. Żeby znow się powłóczyć? Ponastawiać uszu na tajemnice?

– Nie, nie trzeba. – Wzięła od niego klucz i zeszła po schodach do holu. Stuart Booth nadal tam stał; zajmował dziwną pozycję, ni to gość płacący za pokój, ni to członek rodziny. Bez słowa przeszła obok niego.

**Na ulicy było już całkiem widno.** Otworzyła kłódkę i weszła na podwórze. Metal przylgnał do jej rękawicy, bo nadal było lodowato. Przez cały czas myślała o rodzinie na Harbour Street numer 1. Pewnie nadal oplakują Margaret i w dziwnym zachowaniu, które sobie wymyśliła, nie było niczego złego.

Szopa Kerra była pusta. Szybko wyszła i zamknęła za sobą

bramę. Poszła do samochodu, żeby pojechać na plażę. Stary wóz Malcolma stał pod wydymami, zostawiła swojego land rovera obok. Wokół nikogo nie było. Wspięła się na piaszczyste wzgórze, trzymając się miejscami kępek trawy, żeby sobie pomóc. W zagłębieniach leżał szron. Kolejne wspomnienia o Hectorze. Tym razem o dalszej wyprawie, o plaży w Północnej Walii w okresie lęgowym mew. Zatrzymali się w koszmarnym pensjonacie. Śliskie nylonowe prześcieradła, półki zastawione szklanymi ozdóbkami: koty i króliki, i rząd niebieskich sów z wylupiastymi oczami. Hector flirtował z właścicielką z nadzieją na zniżkę. Potem wspięli się na wydmy, Hector miał po pudełku na jajka w każdej kieszeni długiej kurtki żeglarskiej. Wypatrywali ze szczytu wydmy strażnika, który siedział tuż pod nimi. Młody człowiek, przemarznięty, bo był tam prawie całą noc, skulony w tandetnym skafandrze. Hector pociągnął ją, żeby usiadła obok niego. „Poczekamy. Całą noc pił kawę, żeby się ogrzać i nie zasnąć. Wkrótce będzie musiał się wysuszać”. Wyszeptał te słowa z tak bliska, że poczuła kłujący zarost na swoim policzku.

I wreszcie strażnik wstał. W odległej części plaży pojawili się spacerowicze z psami. Strażnik pobiegł truchtem obok kryjówki Hectora i Very do publicznej toalety na parkingu. Opuścił stanowisko ze wstydu albo poczucia przyzwoitości. Hector natychmiast znalazł się w środku kolonii mew, by rabować gniazda na kamienistej plaży. Wracając do samochodu minęli strażnika. Uśmiechnął się i powiedział: cześć. Bo kto podejrzewałby o coś męczyznę w średnim wieku i dziewczynę z nadwagą?

Vera wróciła do terażniejszości. Dotarła do szczytu piaszczystego wzgórza i stanęła, patrząc na długą plażę. Wielkie pomarańczowe słońce nad horyzontem i przestrzeń zapierały dech. Grzywacze i zapach morza. Tyle przestrzeni, że aż kręciło się w głowie. A w oddali pochylona postać ciągnąca za sobą kawałek deski. Wracał do samochodu, Vera czekała, chłonąc krajobraz. Pomyślała, że Chloe chyba miała rację: Malcolm często tutaj przychodzi. To tutaj spacerował z Margaret

Krukowski, rozmawiając z nią o jej chorobie.

Malcolm nie dostrzegł jej, póki nie znalazł się u stóp wydm. Zawsze chodził patrząc pod nogi, może chciał uniknąć kontaktu wzrokowego z obcymi. Zatrzymał się na chwilę, rozejrzał i właśnie wtedy zauważył Verę. Pomachała do niego. Nie chciała wyglądać na zagrożenie.

– Musimy pogadać – powiedziała. Kiedy znów poczuła głód i przypomniała sobie zapach tosta, dodała: – Czy możemy gdzieś pójść na śniadanie? – Teraz, kiedy już się spotkali, z niechęcią myślała o zabieraniu go na komisariat, żeby rozpocząć formalne procedury, które doprowadzą do jego zatrzymania.

Jedli kanapki z kiełbasą w kiosku przy drodze do miasta. Parujący termos barowy i paru niemieckich kierowców ciężarówek przy stole obok baru. Vera usadowiła Malcolma niedaleko okna.

– Margaret Krukowski była prostytutką – powiedziała. – Nie myślałeś, że to ważne i że trzeba mi o tym powiedzieć?

– Nie.

Vera pomyślała, że Malcolm jest jak chłopiec, który nie zdążył dorosnąć.

– Nie chciałem, żeby jej pamięć brukano takim gadaniem.

– Ale przecież była prostytutką? – Vera próbowała spojrzeć mu w oczy, ale Malcolm wyglądał przez okno na przejeżdżające samochody.

– Nie taką jak Dee Robson – odparł natychmiast. Twarz miał czerwoną z oburzenia. – Nie tanią dziwką, co szlaja się po pubach. Miała zaprzyjaźnionych mężczyzn, którzy opłacali jej wydatki. Mówiła, że musi z czegoś żyć, skoro Paweł ją opuścił, a mój tato zwolnił ją z pracy u nas. A w ogóle, to zawsze lubiła męskie towarzystwo.

„Lubiła seks, pomyślała Vera, ale nie możesz się zmusić, żeby to powiedzieć”.

– Ale i tak nie mogło ci się to podobać. – Nachyliła się nad stołem, na którym leżały resztki śniadania. – Świadomość, że puszcza się z innymi mężczyznami. Kochałeś ją.

– Ale ona nie kochała mnie. – Mówił tak cicho, że gdyby nie była blisko, nie usłyszałyby go. – Już dawno temu musiałem się z tym pogodzić.

Na chwilę zaległa cisza. Niemieccy kierowcy wyszli za drzwi, wpuszczając lodowaty podmuch.

– Margaret chciała ci zostawić trochę pieniędzy – powiedziała Vera. – Wystarczyłoby przynajmniej na przyzwoity samochód. Ale zabito ją, zanim podpisała testament.

– Nic o tym nie wiem! I nie chcę jej pieniędzy!

– Czy prosiła cię, żebyś miał oko na Dee, kiedy ona już odejdzie?

Malcolm odwrócił wzrok.

– Tak.

– A ty powiedziałeś, że będziesz? – Nie odpowiedział. Vera mówiła dalej: – Oczywiście, że tak powiedziałeś. Nie byłbyś w stanie niczego jej odmówić. A dotrzymałbyś obietnicy? Nie byłoby tak łatwo z tą Dee Robson.

Wzruszył ramionami.

– Zrobiłem, co mogłem.

– Ale teraz ona nie żyje, już nic nie musisz robić. – Vera otarła tłuszcz z warg. – To musi być ulga.

– Nie zabiłbym kobiety dlatego, że była trochę rozwydrzona! – Podniósł głos, barmanka za ladą wybałuszyła na nich oczy.

Vera zignorowała ten wybuch i mówiła dalej:

– Teraz będziemy musieli wytropić krewnych Margaret, bo nie ma ważnego testamentu. Jej męża... nazywam tak Pawła, bo szukałam i nie znalazłam śladu oficjalnego rozwodu. – Podniosła wzrok i tym razem udało się jej spojrzeć mu prosto w oczy. – Czy wiesz, gdzie on może być?

Powoli pokręcił głową.

– Szukamy innych ludzi, którzy wtedy tutaj byli – powiedziała Vera. – Tej matki z synem, którzy prowadzili wtedy Coble. Jeśli ty nie będziesz mówić, znajdą się tacy, którzy powiedzą.

Wzruszył ramionami. Nadal się nie odzywał, ale tym razem Vera wyczuła coś nieoczekiwanego w jego reakcji. Przyjemność?

Jakieś wypaczone poczucie humoru?

– Paweł wrócił do Polski – powiedział Malcolm. – Znalazł kobietę, która bardziej mu odpowiadała i pojechał do domu.

– Jeśli coś wiesz o jego zniknięciu i nie chcesz powiedzieć, to niebezpiecznie się bawisz. – Czuła się jak z Ryanem przy śniadaniu u Dewar: chciała mu wbić do głowy trochę rozsądku. Wydrzeć parę odpowiedzi. Obaj wiedzieli więcej niż udawali. – Możesz zostać oskarżony o morderstwo, człowieku. Wszystkie te tajemnice i kłamstwa... Prawda nie zaszkodzi teraz Margaret.

Znowu wzruszył ramionami, wieczny nastolatek.

– Będziesz musiał przyjechać na komisariat i złożyć zeznanie – powiedziała. Nie dlatego, żeby myślała, że wyciągną z niego więcej informacji – Malcolm był na to zbyt uparty – ale dlatego, że tylko tak mogła mu się odplacić.

Jeszcze raz wzruszył ramionami i pojechał za nią samochodem do Kimmerston. Po drodze myślała, że powinna wystarać się o nakaz przeszukania. W warsztacie Kerra, nawet po tylu latach, mogły zostać jakieś ślady po Pawle Krukowskim.

**Kiedy Joe Ashworth przyjechał do Przystani,** Susan Coulson nigdzie nie było widać. Dom wydawał się cichy i pusty. Droga przez Holypool nie była posypana piaskiem i Joe wpadł w poślizg, skręcając na podjazd. Wszystko było białe. Szron na trawie, na każdym drzewie i każdej gałęzce. Biały opar unosił się nad nisko położonym pastwiskiem. Ślady opon nie znaczyły oszronionego podjazdu. Podchodząc do drzwi wejściowych zobaczył, że w biurze nikogo nie ma, ale potem dostrzegł światło w kuchni. Jane i Laurie siedziały przy stole nachylone do siebie, wyglądały jak konspiratorki. Albo kochanki. Nie zauważyły, że jest w środku. Przez chwilę się przyglądał, potem Jane Cameron podniosła wzrok i spostrzegła go. Poczul się niezręcznie, jak podglądacz.

Otworzyła drzwi do kuchni, żeby go wpuścić.

– Cóż, panie sierżancie, jest pan naszym stałym gościem. Nasze ostatnie zakupy przez Bożym Narodzeniem.

– Które z was zostają tutaj? – Nie rozumiał, jak mogła znieść święta z tymi kobietami. Czy nie miała własnej rodziny? Kiedy stąd ucieknie?

– Laurie, Susan i ja. I zaprosiłyśmy parę przyjaciółek z miasta. Mamy mnóstwo miejsca, więc będą mogły przenocować. Nie mogę się doczekać. – Jane swobodnie się uśmiechnęła. – Mężczyźni nie wchodzą w drogę, nie domagają się niczego.

– Ojca Gruskina nie będzie?

– Dobry Boże, nie. – Ten pomysł zdawał się ją przerażać. – Starsze paniusie ze świętego Bartłomieja będą walczyły o to, która przygotuje mu lunch. My planujemy przyjęcie na całego.

– Czego pan chce? – Laurie spojrzała na niego. – Jeśli chce pan porozmawiać ze mną, to szybko, bo muszę wyprowadzić



psa na spacer, zanim pojedziemy do miasta.

– Niczego – powiedział Joe. Był zaskoczony, ale i rozbawiony, że zrobiła się taka władcza. Żaden kryminalista nigdy jeszcze tak się do niego nie odzywał. – Nie muszę z panią rozmawiać.

Laurie wstała i wyszła. Usłyszał, jak z kimś rozmawia w korytarzu, jak szczeka pies, a potem do kuchni weszła Susan Coulson. Ubrana była w bezkształtne spodnie, jakie Vera nosiła w swoje złe dni, i w workowatą bluzę opiętą na nabrzmiałym brzuchu. Siwe włosy miała ściągnięte w kucyk. Ziewała, jakby dopiero co wstała z łóżka. Nie był pewien, czy go rozpoznała, ale kiwnęła mu głową, nastawiając czajnik na herbatę. Pomyślał, że Susan wygląda stateczniej niż podczas poprzedniego spotkania.

– Śledztwo się rozwija – powiedział. – Być może morderstwo dokonane na Margaret ma związek z jej trybem życia przed wielu laty. Miałem nadzieję, że Susan mi pomoże. – Popatrzył na kobietę. – Bo pani znała wtedy Margaret, prawda? Obie miałyście kawalerki na Harbour Street?

Susan najpierw spojrzała na Jane, jakby potrzebowała jej zgody na odpowiedź, potem skinęła głową. Bez słów.

Wycisnęła saszetkę z herbatą w kubku, wyrzuciła ją do kosza i usiadła przy stole.

– Zastanawiałem się, czy nie chciałaby pani wrócić na Harbour Street – powiedział Joe. – Zobaczyć dom, jaki teraz wygląda.

Nadal milczenie. Przez okno zobaczył Laurie w wysokich butach i kurtce, jak prowadzi psa przez trawnik. Jej stopy i łapy psa zostawiały podłużne ślady na szronie. Słońce wypalało mgiełkę.

– Chciałabyś, żebym pojechała z wami? – To Jane, zwracała się bezpośrednio do starej kobiety. – Razem z Laurie możemy później pójść na zakupy.

Tym razem Susan pokręciła głową i wreszcie przemówiła.

– Chciałabym zobaczyć mieszkanie Margaret – powiedziała. – Nigdy nie zaproponowała mi, żebym tam pojechała. Może myślała, że za bardzo by mnie to wyprowadziło z równowagi. –

Przerwała na ułamek sekundy. – I jestem pewna, że ten ładny chłopak zadba o mnie. – Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się przebłysk uśmiechu. – W moim wieku nie potrzebuję przyzwoitki.

**Joe nie odzywał się do niej**, kiedy jechali z Przystani. Nie wiedział, od czego zacząć, więc uznał, że poczeka, aż znajdą się na miejscu. Susan siedziała obok niego, na przednim fotelu, rozglądała się, jakby była turystką. Wyglądało, że podoba się jej przejażdżka, nisko stojące słońce oświetlało jej twarz. Co jakiś czas opierała się mocniej o oparcie fotela i zamykała oczy, a Joe zastanawiał się: śpi czy rozmyśla o przeszłości. Kiedy zbliżali się do Mardle, usiadła prosto i zrobiła się bardziej czujna.

– Opowiedz mi o Margaret z tamtych lat. – Już zatrzymali się przed pensjonatem Harbour. Susan rozglądała się, ale nie zrobiła nic, żeby wysiąść. W samochodzie przynajmniej było ciepło i nikt ich nie podsłucha. – Jak zarabiała na życie?

Kobieta błyskawicznie odwróciła głowę i popatrzyła na niego.

– Już wiesz, bo byś nie pytał.

Joe zastanawiał się, jak mógł uznać ją za głupią albo ślamazarną.

– Była prostytutką?

– Damą – poprawiła Susan. – Wysokiej klasy. Wybredną. Mogła zrobić majątek, ale nigdy nie była chciwa. I oszczędzała. Ja nie umiałam zaoszczędzić nawet pensa.

– Pracowałyście w tym samym biznesie?

Pokręciła głową.

– Nie, brakowało mi do tego odwagi. – Kolejny uśmiech. – Albo ciała. Dawałam sobie radę na socjalnym. Miałam chłopca, ale mnie opuścił.

– Przykro mi. – Joe nie wiedział, co innego powiedzieć.

– Mnie nie było przykro. To był drań. Ale wtedy zaczęłam brać prochy. Środki uspokajające od lekarza, a potem wszystko, co mi wpadło w rękę. Właściwie to nigdy nie przestałam. Odebrali

mi dziecko.

Nie odpowiedział. Gdyby znowu mruknął, że jest mu przykro, byłby to banał.

– Ale teraz nie bierzesz? W Przystani?

– Owszem. Nadal miewam złe dni. – Krótki uśmiezek. – Ale najczęściej udaję. Nie chcę, żeby się mnie pozbyli. Jak pomyśla, że jestem zdrowa, mogą kazać mi odejść, osiedlić mnie gdzieś, gdzie będę zdana sama na siebie, tak jak zrobili z Dee. Nie mogłabym tak żyć.

– Podoba ci się w Przystani?

– Ech, kotku, uwielbiam to miejsce. Zawsze jest ktoś, z kim można pogawędzić. Trochę tak, jak przed laty na Harbour Street.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Mogę zajrzeć do środka? Tam, gdzie mieszkała Margaret?

– Nie widzę powodu, żeby nie. – Wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył przed nią drzwi. Nadal było bardzo zimno.

Wzięła go za rękę i wysiadła. Stała przez chwilę, rozglądając się po ulicy. Chodnikiem po drugiej stronie szedł do kościoła ojciec Gruskin.

– Możemy najpierw wejść tam? – skinęła głową w kierunku św. Bartłomieja. – Przez pamięć dawnych czasów.

Joe nie wiedział, co ksiądz pomyśli, że tak sobie wchodzi, ale był to dom modlitwy i należał do wspólnoty, nie do jednego człowieka. Podał Susan ramię, żeby mogła się go przytrzymać, kiedy będą przechodzili przez oblodzoną jezdnię.

– Należałaś do kongregacji? – zapytał.

– Byłam tu ochrzczona – powiedziała. – I przychodziłam rozpaczać, kiedy zabrali mi dziecko.

– To był chłopczyk czy dziewczynka?

– Mała dziewczynka – powiedziała. – Dałam jej na imię Ellen, po mojej matce. Nie wiem, jak ją nazwali jej nowi rodzice.

– Nigdy nie próbowałaś dowiedzieć się, co się z nią dzieje? – Joe próbował sobie wyobrazić, jak to musiało być. Oddać dziecko, kiedy przeszło się bóle porodu i trzymało się je w

ramionach. Wszystkie te hormony szaleją w ciele i umyśle.

– Nie – powiedziała. – To nie byłoby w porządku. Zresztą, mieli rację. Nie potrafiłabym zapewnić jej przyzwoitego poziomu życia.

Otworzyła drzwi kościoła i Joe puścił ją przodem. Trochę dlatego, że tak go wychowano i uważał przepuszczanie kobiet przodem za eleganckie, a trochę dlatego, że obawiał się ojca Gruskina. Był przyzwyczajony do pastorów, którzy ubierali się jak inni, nie licząc miękkiego białego kołnierzyka.

Gruskina nie było, musiał pójść do pokoju na tyłach. Siedzieli przez chwilę w ławce. Joe patrzył na Susan i prawie spodziewał się, że zobaczy, jak ona znowu płacze, że popłyną wielkie, nieme łzy, które roniła, kiedy usłyszała o Margaret, ale ona tylko patrzyła na ołtarz. Po paru minutach wstała, a on wyszedł za nią.

– Tu wszystko wraca – zauważyła. – Nie szczegóły – prawie cały czas miałam mętlik w głowie i niewiele pamiętam – ale nastrój.

– Mówiłaś, że znałaś szefa Margaret – powiedział Joe. Byli już na zewnątrz i słońce nagle zrobiło się bardzo jaskrawe, musieli mrużyć oczy.

– Mówiłam? – Myśli nadal miała zajęte kościołem; odwróciła się, żeby popatrzeć na budowlę.

– Billy to tata Malcolma Kerra?

– Tak – odparła. – Chyba masz rację.

– Czy Billy był jednym z klientów Margaret? – Taka możliwość właśnie mu się nasunęła.

– Nie, kotku, nie sądzę, żeby to było coś takiego.

Ale Joe zgadywał, że Susan myśli o czymś innym i nie zastanowiła się nad odpowiedzią.

**Kiedy pukał do drzwi pensjonatu**, nie bardzo wiedział, jak wytłumaczy ich wizytę. Otworzyła Chloe, córka Kate. Patrzyła na nich, ramionami oplotła chudą sylwetkę w obronie przed chłodem. Na stopach miała duże puszyste kapcie, takie same,

jak Jessie.

– Mama wyszła ze Stuartem – powiedziała. – W domu jestem tylko ja.

– Susan w przeszłości mieszkała na Harbour Street. – Joe zauważył, że mówi łagodnym tonem, jakby zwracał się do kaleki. Dziewczynka miała w sobie coś kruchego, więc czuł, że powinien postępować z nią delikatnie. – Chciałaby obejrzeć pokój Margaret. Mam klucz. Możemy do niego zajrzeć?

– Tak, czemu nie. – Zupełnie nie była ciekawa, dlaczego ta dziwna kobieta pojawiła się na progu jej domu. Joe domyślał się, że przez pensjonat stale przewijali się obcy, tak jak przez Przyszań. Dziwne życie. Pomyślał o swoim domu, wolnym od nieoczekiwanych wizyt. Nawet Vera wiedziała, że lepiej się tam nie pojawiać bez uprzedzenia.

Susan wspięła się po schodach na poddasze z pewną trudnością. Była młodsza od Margaret, ale brakowało jej kondycji i była otyła. Na górze pomimo chłodu na jej skórze pojawiła się lśniąca warstewka potu.

– Dom w tamtych czasach na pewno wyglądał inaczej – rzekł Joe. – Ale Margaret zawsze mieszkała tutaj, prawda?

– Tak. Lubiła patrzeć na morze. – Krótka pauza, potem przebłysk poczucia humoru: – I mówiła, że jeśli facet nie jest w stanie się do niej wdrapać, to co jej po nim.

– Czyli że lubiła swoje zajęcie? – Joe tego nie pojmował. Żeby kobiecie tak bystrej i dobrze wychowanej jak Margaret Krukowski podobało się życie prostytutki! Vera zawsze mówiła, że powinien się urodzić w dziewiętnastym wieku, że ma w sobie coś wiktoriańskiego. Ale w głębi duszy wiedział, że gdyby przebywał w tej okolicy w tamtych czasach, kuśliby go, by wbiec na górę i zapukać do drzwi Margaret Krukowski. Kiedy wkładał klucz w dziurkę, prawie ją sobie wyobraził, odszykowaną, czekającą na na jego wizytę.

Ponownie usunął się na bok, żeby przepuścić Susan przodem. Tym razem potrzebował chwili, żeby się skupić.

– Tak to wyglądało za twoich dni? – Zatrzymał już

prostytutki, ale one uprawiały swój proceder w zapuszczonych salonach masażu lub rozpadających się domach w zapyziałych nabrzeźnych miasteczkach. Alfonsi na chodnikach, obserwujący z oddali, nieustające ostrzeżenie dla kobiet, że mają trzymać język za zębami. Tamte dziewczyny były ćpunkami, roztrzęzionymi, bo na głodzie. Zniszczone cienkie włosy, ostre rysy twarzy. Nic ciepłego ani zachęcającego w ich ciałach czy łóżkach.

Susan weszła do środka i przysiadła na sofie.

– Kuchnia jest odnowiona – rzuciła. – Ale zawsze było miło w tym pokoju. Sypialni nie widziałam. Trzymała ją zamkniętą.

– Lubiała to? – powtórzył pytanie. Po zastanowieniu szokował go nie tyle sam seks, co fakt, że to się działo tutaj, w prywatnym mieszkaniu Margaret. Wydawało się to strasznym naruszeniem jej prywatności, kolejny przykład życia w miejscu, gdzie się pracuje. Rozumiał, dlaczego zapraszała tak niewielu gości, gdy już przeszła na emeryturę.

– Twierdziła, że to lepsze niż zwyczajna praca. A kiedy już sobie wszystko poukładała i wybrała klientów – stałych – chyba to polubiła. Nowego klienta przyjmowała tylko wówczas, jeśli ktoś go polecił. Nigdy nie musiała się reklamować.

– Nie tak jak Dee Robson?

Susan zachichotała.

– Biedna Dee. Była alkoholiczką i za bardzo lubiła sobie golnąć, żeby przestać. Liczył się każdy grosz. Poza tym lubiła szum wokół siebie. Ale nigdy nie była prawdziwą profesjonalistką. Nie to co Margaret.

Joe usiadł obok Susan.

– Czy Margaret opowiadała ci o swoich gościach?

– Klientach – poprawiła. – Nazywała ich klientami. Nie, nigdy o nich nie opowiadała. Mówiła, że jest jak lekarz albo ksiądz, i to, co się działo w sypialni, było tajemnicą.

Joe spróbował od innej strony.

– A twój pokój gdzie był?

– Na parterze. Przy wyjściu. Strasznie tam ciągnęło. I nigdy

nie udało mi się doprowadzić go do takiego wyglądu, jak ten. – Rozejrzała się zazdrośnie po sprzętach w pokoju. – Nie miałam takiego wyczucia.

– Ale za to widziałaś, kto wchodził i wychodził? – Joe uważał, że Susan musiała być wścibska. Może nawet zazdrosna. Wyobraził sobie, jak wygląda zza poplamionych zasłonek, żeby przynajmniej przelotnie popatrzeć na przybywających do Margaret mężczyzn.

– Czasami. – Susan mocno zacisnęła usta, jakby właśnie sobie przypomniała, że ten miły młody człowiek obok niej to policjant.

– Mogłoby to nam pomóc odkryć, kto ją zabił – wyjaśnił. – Myślimy, że sprawa może mieć związek z wydarzeniami sprzed lat.

– Eee tam! To jakieś bzdury. Kogo obchodzi, co się wtedy działo?

– Margaret umierała – tłumaczył. – Rak jelit. Sądzymy, że chciała opowiedzieć o swojej przeszłości. I może ktoś postanowił ją powstrzymać.

Nastąpiła pauza. Na dachu na zewnątrz zaskrzeczały mewy.

– Nie znałam ich nazwisk. I było ich tylko kilku.

– Ale ich widziałaś.

– Wszyscy byli porządni – ciągnęła. – Garnitury, no wiesz. Wypastowane buty. – Nachyliła się i ściszyła głos. – Raz nawet przyszedł pastor. Miał apaszkę na szyi, ale kiedy wychodził, była rozsunięta i zauważyłam koloratkę.

Ale to nie był Peter Gruskin, pomyślał Joe. Wtedy chyba dopiero się urodził. Przypomniała mu się Vera i jej maniackalne zachowanie na odprawie poprzedniego dnia, jej przekonanie, że Paweł Krukowski nie żyje.

– Opowiedz mi o mężu Margaret.

– A co tu jest do opowiadania?

– Jaki był?

Znowu jakby go nie usłyszała. Zastanawiał się, czy ponownie zatoneła we wspomnieniach, czy może to jej puste spojrzenie to taka technika, którą sobie wypracowała, żeby przekonać

pracowników socjalnych, że wciąż powinna pozostawać w Przystani.

– Susan – przynaglił.

Powoli odwróciła do niego głowę. Oczy miała zamglone, patrzyła na niego tak, jakby go ledwie rozpoznawała.

– Opowiedz mi o mężu Margaret. O Pawle. Tym Polaku.

– Nigdy go nie widziałam – odparła. Głowę miała przechyloną na bok, jakby się wsłuchiwała w czyjś odległy głos. – Kiedy się przeprowadziłam na Harbour Street, on już się ulotnił.



**Poszli na rybę z frytkami** do smażalni Mardle. Do świąt zostało tylko kilka dni, obsługa chodziła w czapkach św. Mikołaja, a w tle leciała puszczana na okrągło trzeszcząca wersja *All I Want for Christmas Is You*. Joe nie sądził, że wyciągnie od Susan coś więcej, ale Vera kazała mu ją zabrać na lunch, uważał zresztą, że kobieta się ucieszy. Zaczynał o niej myśleć jako o lekko szurniętej ciotce.

– Smażalnie były tu, kiedy tu mieszkałaś? – Pomyślał, że Susan łapie odbiór lub go traci niczym źle nastrojone radio. Czasami go słuchała i rozumiała, a innym razem wydawała się pogrążona we własnym świecie.

Kiwnęła głową, usta miała pełne frytek.

– Ale tylko sklep ze świeżymi rybami i smażalnia na wynos. Restauracji ze stolikami nie było.

– A pub był?

– Tak. – Podrapała się w czoło, jakby parodiując kogoś, kto się zastanawia. – Właścicielka nazywała się Val. Prowadziła go przez lata. Nie wiem, co się z nią stało. Miała syna. – Susan znowu zmarszczyła brwi, jakby przypomnienie sobie imienia chłopaka było jakimś testem. – Rick? Tak, chyba Rick. Nigdy go nie lubiłam. Był dla mnie wredny. Stroił sobie żarty. To nic mądrego takie żarty. – Zakryła usta, jakby żałowała, że tyle wyjawiała, i powróciła do posiłku.

Teraz to jego umysł zaczął wędrować. Nie umiał stwierdzić, jaki związek te rzeczy mogły mieć z morderstwem popełnionym na dwóch kobietach w dwudziestym pierwszym wieku, ale mimo to wyobraził sobie Coble w roku 1970. To musiało być przed zamknięciem wszystkich kopalń i stoczni. Chłopcy w dzwonach i dziewczyny w hipisowskich spódnicach. Dwa małe bary

wypełnione dymem i sufity brązowe od nikotyny. Wtedy pewnie więcej tu łowiono i rybacy przychodzili na piwo prosto z łodzi, rozprawiając o połowach i pogodzie. Co mogli myśleć o Margaret Krukowski? Być może nie obchodziło ich, jak zarabiała na życie, ale przynajmniej część się domyślała. Pewnie widywali jej klientów, nawet jeśli ich liczba nie była duża, jak w niepasujących do okolicy garniturach lub koloratkach pukają do drzwi domu pod numerem jeden przy Harbour Street. Pewnie budziło to ich ciekawość. Czy nabierali ochoty, żeby też odwiedzić Margaret?

– Masz ochotę wybrać się na drinka? – spytał. – Za dawne czasy?

Susan pokręciła przecząco głową. Może się obawiała, że Rick, syn właścicielki, wciąż tam jest i będzie się z niej nabijał.

Joe wyciągnął z wewnętrznej kieszeni album ze zdjęciami.

– Rozpoznasz kogoś?

Przewracała strony powoli, ale żadna fotografia nie poruszyła jej wspomnień do momentu, gdy dotarła do zdjęcia z urodzin Billy'ego Kerra.

– To Margaret! I Billy, i Malcolm.

– Rozpoznasz kogoś jeszcze?

– Val, właścicielka. – Wskazała dużą kobietę.

Joe czekał, że wskaże Ricka, syna właścicielki, ale zamknęła album, nic o nim nie wspominając. Znowu ogarnęła go ciekawość: co takiego właściwie zrobił, czym ją tak uraził?

– Wracamy do Przystani? – Nie był pewien, co dobrego mogło wyniknąć z tego spotkania. Zauważył policyjną furgonetkę zatrzymującą się przed warsztatem Kerra i zaczął się zastanawiać, co się dzieje.

– Tak – zgodziła się. – Ale fajnie było odwiedzić stare kąty.

– Nie za wiele duchów z przeszłości?

Przywołała na twarz pusty, nierozumiejący wyraz i nie odpowiedziała.

**Przyjechali do Przystani** w tym samym czasie co Laurie i Jane, i Joe pomógł im wnieść torby z jedzeniem.

– Jak było? – Jane przyłapała go, gdy już miał wracać do samochodu. Pytanie pobrzmiwało tonem porozumienia, jakby byli dwójką detektywów, porównujących zapiski ze wspólnie prowadzonego dochodzenia.

Ale my niczego wspólnie nie prowadzimy, chciał powiedzieć. Jesteś taką samą podejrzaną jak Susan.

– W porządku. – Uśmiechnął się bezbarwnie. – Chyba dobrze się bawiła. – Potem wsiadł do auta i odjechał, zanim zdążyła zadać kolejne pytanie.

**Na komisariacie poszukał Very.** Znalazł ją w bufecie z kubkiem herbaty w ręce, zapatrzoną w przestrzeń. Usiadł naprzeciwko niej.

– Co wyciągnęłaś z Kerra?

Podniosła na niego wzrok.

– Niewiele. Coś ukrywa, ale nie chce gadać. – Umilkła. – Uzyskałam nakaz przeszukania jego warsztatu. Wygląda, że Paweł Krukowski rozpułnął się w powietrzu. Ale ja nie wierzę w cuda.

– Ekipa przyjechała akurat wtedy, gdy odjeżdżałem.

Popatrzyła na niego przez szerokość stołu.

– Powiedz mi, że lepiej ci poszło z Susan Coulson.

– No, nie wiem. Mieszkała na parterze i widywała klientów Margaret, jak wchodzili i wychodzili. Nie było ich wielu. Ale wszyscy to szanowani obywatele, tak twierdziła. Nawet jakiś pastor. Zarzeka się, że nie znała ich z nazwiska.

– W takim razie nie posuwa nas to do przodu. – Vera znowu na niego spojrzała, a on zobaczył, że jest bardzo zmęczona. Wypaliła się ekscytacją z poprzedniego dnia. Możliwe, że nie była już taka przekonana do własnej teorii o tym, że Margaret zabiła męża.

– Susan wspominała właścicielkę Coble, kobietę o imieniu Val.

I jej syna, Ricka. Val pewnie już nie żyje, ale ten facet może gdzieś się tu kręcić. Wiesz, czy Charlie próbował go odszukać?

– Nie mówił. – Vera była zajęta własnymi myślami.

Joe nie odpuszczał.

– W okolicy na pewno krążyły plotki o Margaret. Nie da się czegoś takiego utrzymać w tajemnicy w takim miejscu jak Harbour Street: że pod jej drzwiami pojawiali się nieznajomi faceci. – Joe zdawał sobie sprawę, że podrzucił Verze te teorie, żeby ją rozweselić. – Tak sobie myślę, że dobrze by było pogadać z ludźmi, którzy w tamtym czasie tam mieszkali, choćby nie mieli związku z obecnym dochodzeniem.

– No tak – zgodziła się. – Pewnie masz rację. Sprawdź, czy Charliemu udało się coś znaleźć o tym Ricku. Nianczy Kerra w mieszkaniu przy Percy Street. – Ale w jej słowach nie było entuzjazmu. Poderwała się nagle od stołu, zostawiła go i ciężko stąpając poszła do swojego gabinetu. Siedziała tam za zamkniętymi drzwiami aż do popołudnia, a potem opuściła komisariat bez słowa. Joe wiedział, że pojechała na Harbour Street. Napięcie oczekiwania na wyniki przeszukania ją dobijało, nie umiała się powstrzymać, żeby się nie wtrącić.

Charlie odebrał po pierwszym dzwonku i powiedział, żeby Joe zaczekał, aż znajdzie ustronne miejsce, by mogli swobodnie porozmawiać.

– I co tam? – Fakt, że Charlie odebrał tak szybko, świadczył o tym, że nie jest w najlepszym nastroju.

– Cóż, znam lepsze sposoby na spędzanie tygodnia przed świętami.

– Wyśledziłeś matkę i syna, którzy prowadzili pub na Harbour Street?

Charlie nie musiał się zastanawiać przed odpowiedzią.

– Buttów? O synu jeszcze nic nie wiem, ale matka wciąż mieszka w Mardle. Jej adres leży na moim biurku. – I rozłączył się.

**Joe dotarł do domu**, zanim dzieci poszły spać. Rozpierała je energia, bo cały dzień spędziły w domu, poza tym zjadły zbyt wiele słodyczy, no i były podekscytowane zbliżającymi się świętami. Jessie była nadęta, bo Sal nie pozwalała jej pojechać ze znajomymi do Newcastle.

– Powiedziałam jej, że jest za młoda, żeby jechać bez kogoś dorosłego. O tej porze roku jest tam jak w domu wariatów. – Widać było, że Sal miała już dosyć całodniowej kłótni, i że jeśli Jessie nie odpuści, w końcu, dla świętego spokoju, puści córkę do miasta. Chwilami bycie rodzicem staje się najtrudniejszą rzeczą na świecie. A także bycie synową. W przypiływie szaleństwa Sal zaoferowała się, że tego roku przyszykuje świąteczny obiad dla jego rodziców, i już się tym stresowała. Lodówka była tak zapchana jedzeniem, że ledwie się zamykała.

Zapędził dzieciaki na górę i nalał dla Sal duży kieliszek pinot, kiedy zadzwonił jego telefon. Vera. Chciała poplotkować.

– Co słyhać? – Wyszedł do kuchni, żeby nie przeszkadzać Sal; w telewizji leciał serial, który lubiła. Gdy się zorientowała, że to Vera, wzniosła oczy do góry.

– Przerwali przeszkanie, bo już późno. To potrwa kilka dni, zanim zdołają wszystko przejrzeć. Ale nawet jeśli w tych rupieciach jest coś ważnego, raczej wątpliwe, że to rozpoznamy. – Po jej głosie wyczuwał, że jest wykończona i sfrustrowana. Traciła wiarę, że potrafi doprowadzić dochodzenie do końca. Kusilo go, by zaproponować spotkanie. Nie miałby nic przeciwko siedzeniu w jej zapuszczonym domu i roztrząsaniu wątków śledztwa. Ale gdy tylko przyszło mu to do głowy, od razu wiedział, że to nierealne. Sal by się wściekła. Wizja Margaret przyjmującej szacownych klientów w swojej małej oazie kultury bardzo go ekscytowała. Postanowił jednak, że tego wieczoru napije się z żoną wina i pójdą wcześniej spać. Vera Stanhope tym razem może się obyć bez niego.

**Kate Dewar próbowała** przedostać się na koniec ulicy, żeby zawrócić. Lubiła parkować samochód prawym bokiem do domu. Ale w rezultacie znowu musiała się cofnąć, bo umundurowany policjant gestem dłoni pokazał, że przejazdu nie ma. Przed podwórkiem warsztatu Malcolma stały minibus i furgonetka oraz cała chmara policjantów w ciemnogrnatowych kurtkach. Rozstawiali ekrany, żeby z ulicy nie było nic widać. Niebieskobiła taśma, jak w telewizyjnych kryminałach, ale odwrócona do góry nogami, Kate nie mogła przeczytać, co jest na niej napisane. Ale zgadła: Policja. Zakaz wstępu. Czy to oznaczało, że Malcolm został aresztowany? Zadrżała na myśl, że jej syn pracował u mordercy. Być może śledztwo zbliża się ku końcowi i wszystko znowu powróci do normalności. Ona i Stuart będą mogli dalej snuć plany o przeprowadzce i rozpoczęciu nowego życia.

W domu była Chloe – pomogła Kate znieść torby z zakupami do kuchni – ale po Ryanie nie było śladu. Gdzie on się może podziewać? Pewnie znów się gdzieś szlaja. Przydałaby mu się dziewczyna, uznała w duchu. Spokojna, bez wyobraźni. Żałowała, że syna nie było; wiedziałby, co się dzieje na Harbour Street.

W saloniku zastała George'a Enderby'ego. Pił whisky, którą sam się poczęstował.

– Pieniądze położyłem na kredensie – wyjaśnił przepaszająco.  
– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Rozmawiałem z tą inspektorką. Powiedziała, że wolno mi jutro wyjechać, więc się mnie pozbędziesz, Kate. – Uśmiechnął się do niej krzywo, a jej przyszło na myśl, że tak naprawdę wolałby zostać. A może chciał, żeby mu powiedziała, że będzie go jej brakowało.

– Będziemy za tobą tęsknili – powiedziała, zastanawiając się, czy istniała jakakolwiek różnica między uprzejmością a desperacką potrzebą przypodobania się. – Ale Diana pewnie się ucieszy, że wreszcie będzie cię miała w domu.

– Ach – rzucił. – Diana poszła swoją drogą. Ma nowego faceta. Tak jak ty. – Kate była ciekawa, czy siedział tu całe popołudnie, wypijając jej whisky, czy też był w pubie i stawiał ludziom drinki w zamian za towarzystwo. Nie wyglądał na pijanego, ale też nie zachowywał się tak jak zwykle.

– Nie wiesz, co się dzieje w warsztacie Malcolma? – Jeśli był w pubie, mógł słyszeć plotki.

– Nie. – Wyraźnie go to nie interesowało.

Wróciła do kuchni i rozpakowała całe jedzenie, jakie kupiła na święta.

Chloe siedziała na sofie w pokoju dziennym, obok niej grzbietem do góry leżała książka. Ale była przebrana w ładną bluzkę, którą zwykle zakładała na wyjścia, i miała umalowane oczy. Kate pomyślała, że pewnie gdzieś w pobliżu kręci się któryś z jej kolegów. Chloe krzyknęła do niej przez pokój:

– Hej, dzwonił Stuart. – Ton sugerował, że wszelkie telefony do matki nie mają znaczenia, i że Chloe dopiero sobie o tym przypomniała. – Mówił, że nie odbierasz swojej komórki.

Kate stanęła w drzwiach łączących oba pomieszczenia. Do brzucha przyciskała wielką torbę proszku do prania, jakby to było niemowlę.

– Czego chciał?

– Niczego. – Ten oziębły ton. – Kazał tylko przekazać, że dzwonił.

Kate zadzwoniła do Stuarta, ale nie odbierał. Zostawiła mu wiadomość, mówiąc, że już wróciła.

– Przyjdź, jeśli nie jesteś zajęty. Wspaniale byłoby cię zobaczyć. – Pomyślała, że równowaga sił między nimi uległa zmianie. Na początku to Stuart był bardziej zaangażowany; to on, podekscytowany, pojawiał się na stopniach jej domu. Ale teraz to jej bardziej zależało na kontakcie, bo była mniej pewna

jego uczuć.

Nie mogąc ukryć ciekawości, wspięła się na piętro z pokojem Margaret. Z okrągłego okna widać było stamtąd podwórze warsztatu Malcolma. Wyglądało na to, że policjanci szukają czegoś konkretnego. Działali metodycznie, widziała to: skrupulatnie przenosili rzeczy z jednego krańca podwórza na drugi. Było już prawie ciemno i nagle włączyły się uliczne latarnie. Kate dostrzegła Ryana, który wraz z innymi gapiami starał się zajrzeć za ekrany. Pewnie już porobił zdjęcia i porozsyłał je znajomym. Potem przeszedł dalej i krążył po chodniku, niespokojny jak zawsze.

Po powrocie do kuchni znowu zadzwoniła do Stuarta, ale on nadal nie odbierał.



**Vera przeszukiwałaby podwórze Malcolma** przez całą noc, choćby całkiem sama, grzebiąc w rupieciach przy świetle latarki i ulicznych latarni, gdyby nie zdawała sobie sprawy, jak głupio by to wyglądało. I tak już ściągnęli gapiów, nastolatków i dorosłych, którzy po pracy, idąc do domów, po drodze z metra chcieli wpaść na jednego do Coble. Pracowników smaźalni, którzy wyszli na przerwę na fajkę. Malcolma tam nie było. Był u siebie, siedział w ponurym pokoju w mieszkaniu przy Percy Street w towarzystwie pilnującego go Charliego. Verę ogarnęły wyrzuty sumienia w związku z Malcolmem; nadszedł moment zwątpienia. Nie posiadała wystarczających dowodów, żeby postawić Malcolmowi jakiegokolwiek zarzuty, ale miejscowi i tak okrzykną go teraz mordercą, nawet jeśli policja niczego na jego podwórzu nie znajdzie. Prasa przybyła z wielką pompą, zanim jeszcze przerwali poszukiwania na czas nocy. Nazajutrz w gazetach będzie pełno sensacyjnych zdjęć. Była żona Malcolma zdążyła już dać wywiad jednemu z tabloidów, opowiadając w nim, że Malcolm ją kiedyś bił.

Kiedy policjanci się zwinęli, na podwórzu zostawili jednego funkcjonariusza, żeby pilnował terenu, drugiego ustawili przed mieszkaniem Kerra. Potem Vera odwiozła Charliego. Gdy dojechali na miejsce, siedzieli chwilę w samochodzie. W domu Charliego się świeciło, zasłony były zaciągnięte. A więc Charlie znalazł sobie nową kobietę. Vera pomyślała, że może jednak nie jest aż tak złym detektywem.

– Kto to? – Skinęła głową w stronę domu, a gdy nie odpowiedział, rzuciła: – Ale z ciebie ścichapek. Nic nam nie powiedziałeś, że masz kogoś nowego.

– Nikogo nie mam. Przynajmniej nie w tym sensie, o jakim

myślisz.

– Więc kto to jest?

– Moja córka. W lecie skończyła studia i nie mogła znaleźć pracy. Nie mogła też dogadać się z matką i wróciła do mnie. – Uśmiechnął się mimo woli.

– I jak wam się układa? – Vera zakładała, że pewnie słyszała, że Charlie ma córkę, ale nie potrafiła sobie o niej niczego przypomnieć.

– Bardzo dobrze! – Znowu się uśmiechnął. – Odbywa praktyki w zakładzie w Blyth. Ma nadzieję, że pod koniec ją tam zatrudnią. – Nie potrafił ukryć dumy w głosie.

– No to brawo. – I naprawdę tak myślała. Tylko że Charlie był samotnikiem jak ona, odkąd żona go zostawiła, i teraz jedynym dziwadłem w zespole będzie Vera. Nie mogła się oprzeć uczuciu, że została porzucona i że Charlie ją zawiódł.

Kiedy zniknął w domu, nawet się na nią nie oglądając, zadzwoniła do Joego. Miała ochotę trochę z nim pogadać, ale domyśliła się, że nie ma szans, żeby wyszedł. Jego żonka chciała go mieć tylko dla siebie: grzane wino, kolędy i szajs w telewizji. Vera pojechała do siebie i siedziała samotnie w wyiębionym domu, popijając jak za dawnych czasów, jeszcze przed ostrzeżeniami lekarza. I zamartwiając się śledztwem, Unikała myśli, że nie znajdą niczego na podwórku Kerra; że praca ludzi i koszt przeszukania pójdą na marne, a ona stanie się pośmiewiskiem.

**Następnego dnia rano** zjawiła się w pokoju odpraw pierwsza. Z kaczem, dokuczającym jak podbite oko lub zwichnięte ramię. Zespół przybył na czas, rozochocony i oczekujący wyników, bo była taka ożywiona poprzedniego dnia.

Stała przed nimi i starała się udawać, że przepełnia ją energia.

– Hol. Charlie. Jakież wieści o naszym nieuchwytnym przyjacielu Pawle?

– Jeszcze żadnych. – Holly skrzywiła się. – Przejęłam sprawę

wczoraj po południu, kiedy Charlie pojechał do Mardle, ale urzędnicy chyba zrobili sobie wakacje na tydzień przed świętem bankowym. Dzisiaj jeszcze spróbuję dodzwonić się w kilka miejsc.

– To nasz priorytet. Ekipa wróci do warsztatu o pierwszym brzasku i jeśli coś znajdą, musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Musimy znać datę ostatniego momentu, co do którego jesteśmy w stanie udowodnić, że facet żył. – Vera powiodła wzrokiem po pokoju. – Charlie, jak się wczoraj zachowywał Malcolm? Odniosłeś wrażenie, że się denerwuje, że grzebiemy mu na podwórku?

– Eee, nie. Raczej był jakiś odrętwiały. Jakby go nie obchodziło, co się stanie.

– Joe?

– Wybieram się z wizytą do kobiety, która przez lata prowadziła Coble. Profesor Craggs miał zdjęcia, z których wynika, że oni wszyscy się znali – Kerrowie, Margaret, ta właścicielka i jej syn. Może Paweł też. Susan Coulson z Przystani twierdzi, że ich znała, chociaż nie pamięta męża Margaret. Właścicielka pubu nazywa się Valerie Butt i Charlie sprawdził, że mieszka w Mardle. – Popatrzył przepaszająco na Verę, jakby wiedział, że nie bardzo jej pomaga. Zdawał sobie sprawę, że teraz zależało jej na dowodach, że Krukowski nie żyje. Kości. Zęby. Albo świadek, który widział, jak go zabijano. – Możliwe, że kobieta słyszała plotki o nagłym zniknięciu Pawła. Wciąż mam mętlik w kwestii dat, nie wiem, kiedy dokładnie wyjechał. Może rozmowa z ludźmi coś wyjaśni.

Vera pomyślała, że to mało prawdopodobne, ale nie powiedziała tego. Nie chciała podcinać mu skrzydeł w obecności reszty. Bez względu na jego niedociągnięcia, Joe zawsze będzie jej faworytem.

– No tak – rzuciła. – Dlaczego nie? Warto spróbować.

Było już jasno, ekipa pewnie rozpoczęła pracę na Harbour Street. Ciągnęło ją tam. Tragiczna fascynacja, bo wiedziała, że jeśli niczego nie znajdą, jej teoria okaże się bezpodstawna. Jeśli

Paweł nie zginął z rąk Kerra lub przy jego pomocy, Margaret nie miała niczego do wyjawienia i Kerr nie miałby powodu jej mordować. Vera była przekonana, że Margaret ukrywała o wiele poważniejszy sekret niż jej profesja. Bez zwłok Pawła będzie musiała przemyśleć całe dochodzenie. Natychmiast po odprawie pojechała do Mardle, mówiąc tylko Joemu, dokąd się udaje.

Kiedy tam dotarła, ekipa zdążyła już przeszukać prawie całe podwórze. Musieli jeszcze tylko dostać się do rdzewiejącej łajby i szopy. Stała przy ogrodzeniu, czując napięcie płynące od stóp jak fala zimna. Nie mogła ustać w miejscu, ale wołała się nie wtrącać. Już i tak źle, że tu była i obserwowała ekipę przy pracy, zamiast pozwolić ludziom działać w spokoju. Sama też by nie chciała, żeby jakiś przełożony patrzył jej na ręce. Wiedziała, co o niej myślą: czy ta baba nie ma własnej roboty? W końcu nie mogła dłużej tego znieść i odeszła, przekonując samą siebie, że musi się napić kawy, chociaż tak naprawdę potrzebowała ruchu, żeby pozbyć się napięcia.

Po drugiej stronie ulicy przystanął na chodniku Peter Gruskin, żeby popatrzeć na zamieszanie na podwórku warsztatu. Vera pochwyliła jego wzrok i Gruskin szybko się oddalił. Pomyślała, że jest jak wrona krążąca nad kawalkiem padliny. Drapieżnik czyhający na ludzkie nieszczęście. Ale nie była obiektywna, po Hectorze odziedziczyła przecież niechęć do kleru.

W przyjemnej kawiarence naprzeciwko przychodni wypłała czarną kawę i zjadła croissanta. Miał nadzienie z kremu migdałowego, bardzo słodkie, i cały ten cukier i kawa dały jej porządnego kopa energii. Wiedziała, że powinna wracać na komisariat w Kimmerston. Tam było jej miejsce. W biurze. Szczegóły powinna zostawić innym. Ale powiedziała sobie, że nie zaszkodzi, jeśli jeszcze raz wpadnie do warsztatu. Możliwe, że przez te pół godziny ekipa coś znalazła. Byłoby szaleństwem odjechać, nie sprawdzwszy tego.

Kiedy dotarła na podwórze, nie wyczuła atmosfery pośpiechu. Większość funkcjonariuszy stała przy ogrodzeniu i popijała kawę z termosów. Szopę opróżniało ze śmieci tylko dwóch ludzi.

Początkowo ogarnął ją gniew, potem zemdliło ją uczucie zawodu. Poddali się. Przeszła pod taśmą, żeby do nich dołączyć. Szopa była już pusta, na golej betonowej posadzce stał tylko mały piecyk. Weszła do środka i zastała tam szefa ekipy.

Popatrzył na nią. Częściowo ze współczuciem, częściowo kpiąco.

– Nic. – Był Scouserem, pochodził z Liverpoolu i jego „nic” zabrzmiało, jakby je wypluł. – Żadnej odzieży z tamtych czasów. Nic, co mogłoby należeć do twojego poszukiwanego. Żadnych śladów, że coś tu zakopano, beton nigdzie nie jest naruszony.

– Oprócz szopy. – Od kawy, cukru i nowego pomysłu czuła się prawie pijana. Kac już jej nie dokuczał. – Przedtem stało tu drewniane tymczasowe biuro. Eleganckie, z podłączeniem do prądu. Spłonęło. Krążyła plotka, że był to przekręt ubezpieczeniowy. Ale może Kerr chciał ukryć ciało i dowody morderstwa, a pożar był pretekstem dla zmiany posadzki. Szopa stanęła na tym samym miejscu wkrótce potem. Nikt niczego by nie zauważył, prawda? Klienci wchodzący na podwórze pomyśleliby, że prace remontowe mają związek ze zniszczeniami po pożarze.

– Chcesz, żebyśmy zdarli posadzkę? – Popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Tak, właśnie tak. – Uśmiechnęła się, wiedząc, że właśnie wychodzi na świra. – Zrób przyjemność starej kobiecie, co? Tylu silnych facetów, nie zajmie wam to więcej niż kilka minut.

Odeszła, przecinając podwórko, poły jej płaszcz łopotąły. Kiedy się wyłoniła zza ekranu na chodniku, usłyszała pstryknięcie aparatu. Prasa już była. Kolejne drapieżniki. Poszła w górę ulicy do samochodu i wróciła do Kimmerston. Głównie dlatego, że nie mogła znieść przyglądania się temu: policjanci z kilofami i łopatami, wywożący gruz na taczkach i wyzywający ją pod nosem od najgorszych. Oczekiwanie podniosłoby jej ciśnienie na sam szczyt. Ale był też inny powód. Nie musiała tam tkwić, bo wiedziała, że ma rację. Była o tym przekonana. Czuła to w kościach, tak jak Margaret czuła wyrzuty sumienia – i dlatego, że

nic innego nie miałoby sensu. Lepiej, żeby kiedy nadejdą wieści, była w biurze, gotowa do zdania relacji zespołowi.

Zadzwonili szybciej, niż się spodziewała. Zrobiła herbatę, podeszła do biurka Holly sprawdzić, jak też ona sobie radzi, i wróciła do swojego gabinetu. Drzwi zostawiła otwarte. Czasami czuła się tu jak w celi i lubiła wpuścić do środka trochę powietrza. Zespół widział, jak wyrzuciła pięść w górę na znak tryumfu i utwierdzenia się w swojej teorii. A kiedy wyszła rozpromieniona, żeby im powiedzieć, wszyscy odwrócili się do niej.

– Ekipa poszukiwawcza właśnie znalazła ciało pod szopą na podwórku warsztatu Malcolma Kerra. – Tryskała radością, ale starała się mówić spokojnie i rzeczowo. – Beton był tam cienki jak skorupka jajka, jak się okazało, położony ponownie po pożarze w poprzednim budynku. Nie znam jeszcze szczegółów. Paul Keating i Billy Wainwright są już w drodze. Ale dowódca ekipy uważa, że to zwłoki mężczyzny. – Teraz już patrzyła na nich, pławiąc się w ich podziwie. – Młodego.

Rozległy się oklaski, kilka wiwatów.

– Pora sprowadzić Malcolma Kerra, nie sądzicie? – rzekła. – Zajmij się tym, Charlie. – Chwila ciszy. Wiedziała, że przy występach odpowiedni moment to podstawa. – A nie mówiłam, że do świąt będzie po wszystkim?

**Okazało się**, że Val Butt nie była ani stara, ani krucha, jak spodziewał się Joe. Zdjęcie profesora Craggsa było zrobione w 1975 roku; data, już wypłowiła, była zapisana na odwrocie fotografii ołówkiem. Margaret musiała mieć wtedy trzydzieści dwa lata. Val Butt, duża i niezgrabna, czterdzieści kilka lat, już wtedy wyglądała na zużytą i w średnim wieku, a jej syn, Rick, miał ponad dwadzieścia. Val sama była jeszcze prawie dzieckiem, kiedy go rodziła, a w tamtych czasach niełatwo było być nastoletnią matką. Joe spróbował przenieść się wyobraźnią na Harbour Street rok przed jego urodzeniem, ale ten wysiłek go przerastał. Lepiej odnaleźć Val i z nią porozmawiać.

Kobieta mieszkała samotnie w jednopiętrowym domku socjalnym na małej działce położonej na krańcu Mardle. Joego zdumiewało, że tak wiele osób występujących w sprawie nadal mieszka w mieście lub jest z nim w jakiś sposób powiązane. Jakby nie mieli żadnych ambicji albo brakowało im pewności siebie, żeby się stąd wyrwać i zamieszkać gdzie indziej. Zastanawiał się, czy Kate Dewer się na to zdobędzie, wyprowadzi się z Mardle, założy ze Stuartem i dziećmi nowy dom w nowym mieście, rozpocznie nowe życie. Miał nadzieję, że tak się stanie. Wolał się nie oddawać dziwacznym fantazjom, ale nagle uzmysłowił sobie, że Mardle jest toksyczne. W powietrzu unosiło się tu coś niezdrowego.

Nie zapowiedział wcześniej swojej wizyty i kobieta tak długo podchodziła do drzwi, żeby otworzyć, że już miał zamiar odejść. Ale wtedy usłyszał bolesne rżenie i drzwi otworzyły się powoli. Val Butt była olbrzymia. Wciąż miała na sobie nocną bieliznę; poły różowego ażurowego szlafroka ledwie stykały się ze sobą w pasie. Chodziła używając balkonika i nim się odezwała, oderwała

od niego jedną rękę i strzepnęła popiół z papierosa na ścieżkę za nim.

– Kim pan jest? – Zwężone oczy. Pomyślał, że pewnie takim samym spojrzeniem obdzielała niepełnoletnich klientów w Coble, których potem i tak obsługiwała.

Przedstawił się i pokazał legitymację.

– Przyszedł pan w sprawie Margaret Krukowski. – Kiedy mówiła, charczało jej w gardle. Łykała powietrze, jakby się dusiła.

– I Dee Robson.

– A, no tak. Tej nie znałam. – Ostrożnie wycofała się w głąb korytarza. – Lepiej niech pan wejdzie. Dee pojawiła się już po mnie. Odeszłam z Coble, zanim się tam rozgościła.

Przyrządził herbatę według jej instrukcji.

– Z rana nigdy nie jestem w najlepszej formie. – Rozsiadła się na sofie, zajmującej większość małego frontowego pokoju, nogi oparła ciężko na wyściełanym stołeczku przed sobą. – Opiekunki mają przyjeżdżać o ósmej, żeby mnie ubrać, ale cholery zawsze się spóźniają. Zresztą i tak większość nie mówi po angielsku.

– Znała pani Margaret w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych?

Zignorowała herbatę i ciasteczka, które przy niej postawił, i zapaliła następnego papierosa. Pokój cuchnął dymem, a sufit był upstrzony brązowymi plamami nikotyny.

Joe położył zdjęcie na oparciu sofy, tak żeby mogła mu się przyrzeć nie zmieniając miejsca. Podniosła je i wbiła w nie oczy.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty – powiedziała, nie przekręcając fotografii, żeby spojrzeć na datę. – Urodziny Billy'ego Kerra.

– Widzę, że pamięć pani dopisuje. – Był szczerze zdumiony.

– To był rok, w którym dostałam koncesję. – Na chwilę umilkła. – Mieliliśmy wcześniej pub na West Endzie w Newcastle, ale nie było łatwo. Zawsze jakieś problemy. Było trudno, zwłaszcza dla kobiety. Coble to był krok naprzód. Trochę



bardziej szanowane miejsce.

– Była pani sama z synem?

Posłała mu nagły, krótki uśmiezek i lekko mrugnęła.

– Od czasu do czasu. Okazjonalnie pojawiał się jakiś chłopina.  
– Zgasiła papierosa na spodku i siorbnęła herbaty. – Ale nad wejściem zawsze wisało moje imię. Byłam tam aż do końca. Aż przeszłam na emeryturę.

– Margaret Krukowski – rzucił. Nadeszła pora przejść do sedna sprawy.

– Tak, piękna Margaret. Ludzie miłkli, kiedy stawała w drzwiach. – W jej głosie wyczuwało się cień niechęci. Joe zrozumiał, że prawdopodobnie była to zazdrość. Większość kobiet musiała zazdrościć Margaret Krukowski w dniach jej świetności.

– Nie lubiła jej pani?

– Nie ufałam jej.

– Proszę mi o niej opowiedzieć – rzekł, pamiętając radę, jakiej pewnego dnia udzieliła mu Vera: „Naciągaj ich, żeby ci opowiadali swoje historie. Bo to głównie o nie chodzi. Możliwe, że usłyszysz stek kłamstw, ale z nich też coś użytecznego wyciągniesz”.

Val odchyliła się na oparcie sofy i przyknęła oczy, ale nie do końca.

– Maggie uważała, że jest lepsza od nas. Nienawidziła, kiedy mówiliśmy do niej Maggie, a ja tak robiłam tylko po to, żeby jej dopiec. Mówiła z eleganckim akcentem i tak się ubierała. Kiedyś jej powiedziałam: „Jesteśmy takie same, ty i ja. Obie porzucone przez naszych chłopów, obie same musimy się o siebie troszczyć”. Jak ona na mnie spojrzała! Jakbym nie była godna nawet butów jej czyścić.

– Widywała ją pani ostatnio? – Joe zastanawiał się, dokąd ta rozmowa go zaprowadzi. Wciąż nie był przekonany, że coś, co się wydarzyło prawie czterdzieści lat temu, mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie dla dochodzenia. Nie wierzył w trupa pod podwórkiem warsztatu szkutniczego.

– Nie! Po tym czasie, gdy zrobiono to zdjęcie, już rzadko ją spotykałam. Doszło do pyskówki. – Przerwała i napiła się herbaty. – Później już nigdy nie było tak samo.

– O czym pani mówi? – Na zewnątrz ulicą przechodził listonosz. Ostatnie listy przed świętami. Jego torba była opasła i ciężka. Val też go zauważyła i przyglądała się z wyrazem nadziei lub wyczekiwania. Ale listonosz minął jej drzwi, nie zatrzymując się.

Val wzruszyła ramionami.

– O niczym. Tylko o tym, że potem już więcej nie zaglądała do pubu.

– Co to była za pyskówka?

– A niby jak mam pamiętać po tylu latach? – Łypnęła na niego groźnie, tylko czekając, aż jej zarzuci, że kłamie.

A Joe faktycznie uważał, że baba doskonale pamiętała, o co poszło.

– Może coś się wydarzyło na przyjęciu urodzinowym Billy’ego Kerra?

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Zaciśnęła usta, jak małe dziecko odmawiające zjedzenia zupki, i przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Czy kiedykolwiek widziała pani męża Margaret, Pawła?

Pokręciła głową. Włosy miała tak przerzedzone, że miejscami była łysa.

– Odszedł na długo, zanim się przeprowadziliśmy na Harbour Street.

Joe pomyślał, że w takim razie Vera musi się mylić. Jeśli to Pawła zakopano pod szopą Malcolma Kerra, musiałby być na Harbour Street w noc pożaru.

– Jest pani pewna? Mamy informacje, że w tamtym czasie nadal przebywał na tym terenie.

Wzruszyła ramionami.

– Może i przebywał, ale nie mieszkał z Margaret Krukowski.

– Czy Margaret pracowała u Billy’ego i Malcolma w czasie, gdy zrobiono to zdjęcie? – Joe w duchu uznał, że wyciąganie

informacji z tej kobiety, to żmudna robota, a i tak zmierali donikąd. Zaczął powątpiewać w słuszność decyzji, żeby tu przyjść. Wolałby być na podwórku Kerra i obserwować pracę ekipy. Szkolił się z kilkoma z tamtejszych chłopaków i z chęcią by z nimi pogadał.

Val wydała z siebie dziwny, zduszony odgłos, coś jak kaszel i chichot jednocześnie.

– Kiedy ją poznałam, była już, jak to się mówi „na swoim”. Profesjonalna kobieta pracująca. – Każde słowo było wypowiedziane z wyraźnym szyderstwem.

– Co ma pani na myśli? – Joe udał, że nie wie, o czym mowa.

– Była luksusową dziwką. Ale igrała z ogniem. Nie miała chłopca, który by się nią zaopiekował. Żadnej ochrony. Gdyby to wtedy ją zabili, wcale bym nie była zaskoczona.

Zdumiała go swoją zaciekłością.

– Przecież pani też nie miała nikogo do ochrony.

– Miałam mojego Ricka. Był dobrym synem.

Ale cię zostawił, pomyślał i nagle doznał olśnienia. Nawet nie przysłał kartki na święta.

– Mniej więcej w czasie urodzin Billy’ego Kerra w jego warsztacie był pożar – powiedział. – Spłonęło biuro.

Spojrzała na zegar na parapecie.

– Te przekłete opiekunki. Każdego dnia przychodzą coraz później.

– Musi pani pamiętać ten pożar. To pewnie było wtedy duże wydarzenie. Krążyły plotki, że chodziło o oszustwo ubezpieczeniowe.

– Naprawdę? – Wyglądała na szczerze zdziwioną. – Nigdy o tym nie słyszałam. – Kolejna pauza, podczas której bawiła się paczką papierosów. – Pożar wybuchł w tę noc, gdy było przyjęcie urodzinowe. Albo wcześniej rano następnego dnia. W pubie gadali, że to było podpalenie, ale ja w to nie wierzyłam. Wiadomo, ludzie lubią dramatyczne historie.

– Czyli w żaden sposób nie potrafi nam pani pomóc w śledztwie? – Joe tracił cierpliwość i zapragnął wyjść, nim kobieta

zapali kolejnego papierosa. Nienawidził smrodu tytoniu we włosach i na ubraniu. Mdlilo go od niego.

– Nigdy specjalnie się nie rwałam, żeby pomagać policji – odparła. – Nie ufam jej, a policja nigdy nie zrobiła niczego dla takich jak ja.

Na zewnątrz zatrzymał się samochód z logo pomocy miejskiej, wysiadły z niego dwie kobiety w różowych kombinezonach.

– Lepiej niech pan już idzie – ponagliła go Val. – Chyba że ma pan ochotę pomóc im wpakować mnie do kąpieli.

Joe wyszedł, zanim opiekunki włożyły klucz do zamka.

**W samochodzie zadzwonił jego telefon.** Vera Stanhope, radosny głos.

– Co słysząc, kościsty chłoptasiu? – Nazywała go tak tylko wtedy, gdy była w wyjątkowo dobrym nastroju lub gdy chciała mu dopiec.

– Nie za wiele udało mi się wyciągnąć od tej byłej właścicielki Coble. – Zauważył, że Vera go nie słuchała. Zadzwoniła, żeby się podzielić wieściami, a nie żeby usłyszeć nowe.

– Znaleźliśmy ciało. – Z podniecenia aż piszczała. – Było pod szopą Malcolma. Myślę, że wzniecił pożar nie po to, żeby wyciągnąć kasę z ubezpieczenia, tylko żeby ukryć dowody zabójstwa Pawła.

Joe nic nie odpowiedział. Myślał o tym, że Val Butt go okłamała. Paweł był na Harbour Street w 1975 roku, kiedy spłonęło biuro Malcolma Kerra, a ona o tym wiedziała. Uważał, że wiedziała o wszystkim, co się działo na jej terenie. Była właśnie z tego rodzaju właścicieli pubów. I co takiego naprawdę wydarzyło się w noc przyjęcia urodzinowego Kerra, co mogło doprowadzić do morderstwa? Jakaś bójka, która się wymknęła spod kontroli? Dwóch młodych mężczyzn walczących o Margaret, jak psy o kość?

– No i co? – Vera była oburzona. Oczekiwała gratulacji. – Teraz mamy wszystko: motyw, sposobność i trupa w szafie. Lub

raczej pod betonem. Kazałam sprowadzić Kerra. Teraz będzie gadał. Nie będzie miał powodu, żeby milczeć, gdy zostanie zmuszony do przyznania się do popełnienia jednego morderstwa. Sprawę zamkniemy do popołudnia, a potem ją wszystkim stawiam.

– Czym mam się teraz zająć? – Joe spojrział w okno domu, zastanawiając się, czy powinien wrócić i porozmawiać z kobietą w środku. Nie lubił niekonsekwencji, zresztą dlaczego Val Butt miałaby kłamać w sprawie męża Margaret? Co miała do ukrycia? Ale opiekunki społeczne już pomogły jej się podnieść i prowadziły ją do łazienki. Szlafrok i koszula nocna zaczęły jej się o gumkę od majtek i widać było ogromne gołe udo. Uznał, że starszym ludziom często coś się miesza i że niczego nie uzyska z ponownej rozmowy.

– Wracaj tutaj – zażądała Vera. – Będziesz uczestniczył w przesłuchaniu.

Joe rozłączył się i przez chwilę stał na ulicy przed parterowymi domami emerytów. Dopadł go drugi kryzys wyrzutów sumienia. Może jednak powinien zapukać do drzwi i porozmawiać jeszcze raz z Val Butt, zapytać ją, czy wiedziała coś o zwłokach zakopanych na podwórku warsztatu Malcolma Kerra.

Ale moment wątpliwości szybko przeminął, a Joe przyłapał się na tym, że się uśmiecha. Kiedy Vera była szczęśliwa, jej dobry nastrój udzielał się wszystkim. Dlaczego nie ma być częścią tego święta? Uruchomił silnik i pojechał do Kimmerston. Po przyjeździe na komisariat spodziewał się atmosfery zabawy, śmiechu i nieuniknionego rozładowania napięcia, zamiast tego okazało się, że Vera jest w furii. Słyszał, jak wyklina ze szczytu schodów. Była tak pochłonięta tyradą o niekompetentnych szumowinach, z których w tych czasach składają się siły policyjne, że nie zauważyła, jak wszedł do pokoju. Wśliznął się i stanął obok Charliego.

– Co się dzieje? – spytał szeptem, chociaż Vera nie usłyszałaby nawet pięćciosobowej kapeli jazzowej grającej w rogu.

– Malcolm Kerr dał drapakę. Ustawili tylko jednego chłopaka

na froncie, a Kerr z samego rana wymknął się tyłem. Vera obwinia mnie, bo powiedziałem, że moim zdaniem nie chciało mu się walczyć.

– E tam – mruknął Joe. – Obwinia nie ciebie, tylko siebie.

W pokoju nagle zrobiło się cicho, a ta cisza była bardziej przerażająca niż huragan przekleństw. Vera stała na środku i patrzyła na każdego po kolei.

– No więc – zaczęła. – Gdzie waszym zdaniem ukrywa się Malcolm? Słucham pomysłów.

Joe podniósł rękę.

– Jesteśmy pewni, że się ukrywa? Wie, że w końcu go złapiemy. To nie jakiś szef gangu z willą w Marbelli. Facet jest załamany i w depresji, a cela niewiele by się różniła od jego mieszkanek przy Percy Street.

– Więc co sugerujesz, Joe? – Vera mówiła tak cicho, że w pokoju mogliby być tylko oni dwoje.

– Zastanawiam się, czy nie chodzi o jakąś niezłałatwioną sprawę.

– Wyjaśnij, jeśli łaska.

Joe nie był pewien, czy potrafi. Wiedział, że powinien poczekać z tą rozmową, aż przyłapie Verę samą. Publiczne podważanie jej teorii nigdy się dobrze nie kończyło.

– Nadal nie widzę w nim zabójcy Margaret. On ją kochał, prawda? Zastanawiam się, czy nie działa na własną rękę. Wie, kim jest morderca, i postanowił się zemścić.

– Na litość boską, człowieku, większość facetów, których przymknęłam za bicie żon, twierdziło, że je kocha.

– No tak – zgodził się. W tej chwili utracił wątek, słaby przebłysk teorii, pod której wpływem zdobył się na szaleńczą próbę przeciwstawienia się szefowej. – Prawdopodobnie masz rację.

Zapadła następna chwila ciszy, po czym Vera zaczęła wydawać polecenia.

– Chcę, żeby ten człowiek został złapany i sprowadzony w ciągu godziny, zanim obsmarują nas w prasie za

niekompetencję. Po raz kolejny. A jeśli go nie dorwiemy do końca dnia, sama o tym napiszę i sprzedam historię do gazet. Wiemy, że porusza się tym swoim zdezelowanym szajsem. Jakieś monitory na pewno go zarejestrowały. – Pauza, podczas której patrzyła kolejno na wszystkich ostrym wzrokiem. – No to już, jazda stąd! – Nastąpiło nerwowe poruszenie i zgrzyt nóg krzesel o podłogę. Wkrótce w pokoju został tylko Joe.

Vera oparła ręce na jego biurku.

– Plaża w Północnym Mardle – powiedziała. – Jedź tam. To tam Malcolm lubi myśleć. Sama bym pojechała, ale muszę tu zostać i pilnować, żeby jeszcze bardziej nie schrzanili sprawy.

Joe kiwnął głową.

**Był środek dnia.** Spokojnie. Na długiej plaży nikogo, nawet ludzi spacerujących z psami. Przed wydmnami nie stało stare auto Kerra, ale Joe i tak wszedł na plażę. Vera uważała, że Kerr tu jest, a ona zwykle się nie myliła. Ale w oddali widział tylko dzieci biegające za piłką.

Ze szczytu piaszczystego pagórka zadzwonił do Sal, nagle za nią stęskniony. Pomyślał, że w święta powinni przyjechać tu z dziećmi. Dobrze im zrobi łyk świeżego powietrza i widok na rozległe morze i objające się o brzeg fale.

– Co słychać? – Wiedział, że Sal jest zdenerwowana z powodu świąt. Miała swoje wyobrażenie, jak to powinno wyglądać w rodzinie. Wszystko powinno być idealne. Ale rzeczywistość nigdy do końca nie dorastała do jej oczekiwań. W tym roku też będzie myślała, że jego rodzice ją oceniają. – Co u dzieci?

– Jessie pojechała do miasta. – Mówiła wyzywającym tonem, wiedząc, że tego nie pochwali. Był zdania, że jego dziewczynka jest za młoda, żeby jeździć do Newcastle bez kogoś dorosłego. – Ale nie martw się. Pojechała z całą paczką. Jest kilku starszych chłopców. Matka Sarah miała ich wsadzić do metra i ona też będzie w mieście. Jakieś zakupy w ostatniej chwili, ale będzie na telefonie, gdyby dzieciaki jej potrzebowały.

– W porządku. – Bo co innego mógł powiedzieć? Decyzja zapadła bez niego. Stał chwilę, patrząc na zachodzące nad morzem słońce, potem wrócił do Kimmerston.



**Malcolm Kerr siedział** w wagonie metra obok grubokościstej kobiety, która trzymała na kolanach rozwrzeszczane małe dziecko. Metro było zatłoczone. Ostatni dzień zakupów przed Wigilią. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Był starym, nieatrakcyjnym mężczyzną. Szarak. Bezsilny. Ale on im pokaże.

Na początku nie wiedział, co robi. Wyszedł z mieszkania przy Percy Street nie z zamiarem ucieczki, ale po to, by się przewietrzyć. Kiedy zaczęło świtać, był już na plaży w Północnym Mardle, nastanie szarego brzasku oglądał ze szczytu wydm, a gdy wracał, wpadł na nedorzeczny pomysł, żeby odtworzyć ostatnie kroki Margaret. Może ją wyczuje, siedzącą w metrze. Wiedział, że to wariactwo, ale coś go cały czas dręczyło. Coś drażyło jego umysł, jak mysz podgryzająca skrawek gnijącego dywanu, i sprawiało, że jego myśli były poszarpane i postrzępione.

Ujrzał twarz, którą rozpoznał, gdy tylko wsiadł do wagonu, ale ukrył się w kącie, licząc na to, że nie został zauważony. To wyglądało na znak. Czyżby Margaret przemawiała do niego zza grobu? Czy chciała, żeby uciekł i urządził sobie nowe życie bez niej? A może potrzebowała od niego czegoś innego? Przy drzwiach stała grupka młodych ludzi. Śmiali się, a on poczuł do nich niechęć. Jak śmiać? Potem zorientował się, że rozmawiają o morderstwach. Zapalał natychmiastową antypatią do dziewczyny, która odezwała się pierwsza. Była za młoda na makijaż, a mimo to umalowana.

– Twój ojciec pracuje w policji, Jess. – Mówiła tak głośno, że słyszeć ją było w całym wagonie. – Złapali już zabójcę? – Inni pasażerowi gapili się na mówiącą, i może o to jej chodziło.

Dziewczyna o imieniu Jess wyglądała na młodszą od reszty.

Chuda i niepewna, pewnie chciała, żeby koledzy ją lubili. Malcolm znał to uczucie.

– Byłam tam – powiedziała z wyraźną dumą. – To ja odkryłam zwłoki.

Malcolm popatrzył w głąb wagonu na wścibskie, zaciekawione spojrzenia i w myślach krzyknął do dziewczyny: „Nie powinnaś tego mówić. Nie musimy tego wiedzieć”. To była komplikacja.

Przez całą drogę do miasta rozglądał się czujnie po wagonie. Jak pies gończy był świadomy każdego pasażera, zastanawiał się, jak mógłby odseparować od tłumu tego, na którym mu zależało.

Pomyślał, że zdecydowanie traci rozum. Przez brak snu albo od czterdziestoletniego stresu. Sądził, że już mu nie zależy, że jest martwy, jak okazy, które zbierał profesor w swoim laboratorium w Cullercoats. Na zewnątrz wyglądały świeżo, błyszcząły, ale w środku były stwardniałe, zastygłe. Uważał, że jest jak trup. Żadnych uczuć. Ale teraz zobaczył, że istnieje możliwość ucieczki, rozpoczęcia nowego życia, poczucia się całością, i ogarnęła go chwilowa nadzieja. To zależało od niego: rozdzielenie grupy i wybranie jednej osoby. Zalała go fala nagłego podniecenia, tej samej krótkotrwałej, destrukcyjnej ekscytacji, jaką czuł przed czterdziestu laty.

Czytał darmową gazetę, którą wziął ze stacji Partington, i co chwila znad niej zerkał. Czy jego ofiara go zobaczyła? Nie był pewien, ale nie mógł ryzykować. Skulił się w kącie i jego umysł cofnął się do przeszłości. Gazeta posłużyła mu za ekran między teraźniejszością a dawnymi czasami.

Urodzinowe przyjęcie ojca. Pięćdziesiątka. Cała ulica bawiła się w Coble od chwili, gdy on i Billy wrócili z łodzi. Głośne wiwaty, gdy tylko przekroczyli drzwi pubu. Billy Kerr zawsze był bohaterem na Harbour Street. Valerie zorganizowała tort, ale jeszcze zanim zdążyli go podzielić, większość z nich była zalana. Potem zdjęcia na chodniku. Oczywiście nie wszyscy wyszli. Niektórzy zostali w środku. Na Harbour Street zawsze spotykało się ludzi, którzy niechętnie pozowali do zdjęć.

Pamiętał ze szczegółami, co Margaret miała na sobie tamtego dnia. Spódnicę z indyjskiej bawełny i białą tetrową bluzkę. Sandały. Miękkie skórzane paski związane na kostce. To nie były ciuchy do pracy. Do pracy ubierała się elegancko, jakby szła do biura. Czarne majtki i czarny pas. Przezroczyste pończochy i pantofle ze spiczastymi czubkami, obcasy tak wysokie, że człowiek się zastanawiał, jak się utrzymywała na tych szpilach. Skóra i jedwab. Raz widział, jak się ubierała do pracy. Kiedy wypłynął łodzią, żeby zebrać kosze, zakotwiczył w zatoce i zajrzał do niej przez okno, korzystając z lornetki profesora. Myślała, że nikt na nią nie patrzy, że nikt nie może zajrzeć do jej sypialni, bo za oknami było tylko morze. Jej sylwetka była ciemna na tle słabego sztucznego światła w pokoju. Stała na jednej nodze, wygięta w łuk jak baletnica, i podciągała pończochę na drugiej nodze. Spokojna i zrelaksowana. Dla kogo się tak stroisz, Margaret? Obserwował, jak się odwraca, wyobraził sobie, że otwiera drzwi klientowi. Ale kąt widzenia był zbyt ostry, żeby mógł zobaczyć, kto wszedł, lub żeby przyglądać się temu, co działo się potem. Tylko się domyślał. Odtwarzał tę scenę w wyobraźni.

W wieczór urodzin ojca Margaret miała wolne. Dała to jasno do zrozumienia. Stąd ta chłopska spódnica, biała bluzka, płaskie sandały. I piła, a on wiedział, że kiedy pracowała, nigdy nie piła. Wymknęło jej się to któregoś wolnego dnia. Zabrał ją na Coquet Island i tam urządzili sobie piknik. Tamtego dnia była w dżinsach, bawełnianej bluzie w paski i płóciennych butach. Wypili razem butelkę białego wina, Margaret przywoziła ze sobą kanapki i domowe ciasto. Malcolm wiedział, że jego ojciec by się wściekł, gdyby się dowiedział – Billy nie akceptował Margaret – ale jakoś go to nie obchodziło. Był szczęśliwy, że może leżeć obok niej w słońcu i rozmawiać. "Dzisiaj nie będzie pracy. Kiedy pracuję, nie piję". Gdy wracali do łodzi, wzięła go za rękę.

Metra zatrzymało się na stacji. Malcolm zerknął znad gazety. To jeszcze nie Newcastle; nie sądził, żeby dzieciaki wysiadły wcześniej. Bo i po co? Z jakiego innego powodu mieliby jechać

metrem, jeśli nie po to, żeby dostać się do miasta, na zakupy w ostatniej chwili, na ostatnie chwile zabawy? Dlatego wciąż tam stali, nadal się śmiejąc i tańcząc wokół rury w środku wagonu, zachowując się jak trzylatki. Do środka wsiadło więcej ludzi, ale jego ofiara pozostała na miejscu.

Popatrzył przez okno na płaską przybrzeżną równinę, a w myślach powrócił do wieczoru urodzin ojca. Noc była pogodna, ciepła, cały upał długiego dnia skumulował się na Harbour Street. Środek lat siedemdziesiątych obfitował w upalne lata, susze, wyschnięte rzeki. Wodorosty, rozsiewając odór, gnily na kamieniach w piekącym słońcu. I tego wieczoru Margaret poprosiła go o przysługę.

– Zrób z tym porządek, Malcolm, dobrze? Porozmawiaj z nim. Zrobisz to dla mnie?

I oczywiście Malcolm spełnił jej prośbę. Tak jak mówił tej grubej detektyw, opłynąłby Coquet nago trzykrotnie, gdyby tego zażądała.

Reszty wieczoru prawie nie pamiętał. Za dużo alkoholu. Kłujące napięcie, jak wyładowania elektrostatyczne. Przez pamięć przesunęła mu się seria obrazów, niczym slajdy, z których korzystał profesor Craggs podczas wykładów, każdy wsuwając oddzielnie do starodawnego projektora. Pokaz zakończył się płomieniami ognia sunącymi po posadzce biura ojca, jaskrawopomarańczowe węzowe języki, piekielnie gorące. Stali przy płocie i patrzyli, jak lakier na drewnianych ściankach pęka od gorąca, czarny i sączący się jak osmolone mięso na ruszcie. Potem płomienie wzbity się tak wysoko, że musieli się odsunąć. Patrzyli w zdumieniu, jak iskry strzelają w czyste niebo.

Czy to była pierwsza z jego bezsennych nocy? Na pewno on i ojciec stali tam w ubraniach z poprzedniego dnia, gdy policja i straż pożarna przybyły z rana powęszyć. To był kolejny upalny dzień.

– Podpalenie – stwierdził policjant. – Bez cienia wątpliwości. – Popatrzył na nich. – Istniały przyczyny, żeby ktoś chciał wzniecić pożar? – Oskarżał ich wzrokiem, ale nie miał ochoty zgłębiać

sprawy. Więcej zachodu niż to warte, a on był zapracowany. Jeśli biznes szedł kiepsko, potrafił zrozumieć, że mogli chcieć wyciągnąć coś z ubezpieczenia.

– Nie – odparł Billy. – Chyba, że zrobił to któryś z chłopaków, którzy się bawili na urodzinach. W ramach wygłupów. – I taką wersję rozpowszechnili. Któryś z gości pod wpływem alkoholu trochę się zapędził i uznał, że będzie fajnie, jeśli puści biuro z dymem. A Kerrowie nie protestowali, bo forsa z ubezpieczenia w sam raz by się im przydała, poza tym na Harbour Street wszyscy byli kumplami, no nie? Billy zaraz poszedł do Coble, żeby puścić w obieg tę opowiadkę. A ponieważ był w mieście szanowany, stali bywalcy słuchali i kręcili głowami nad głupotą młodych. Val Butt też kręciła głową, opierając ręce na obfitych biodrach. Znała te sprawy.

– Czasami tym dzieciakom kompletnie odbija.

Tego poranka, czując w nozdrzach woń spalenizny, Malcolm przyglądał się z pewnej odległości, pozwalając ojcu przejąć dowodzenie, jak zwykle zresztą. Czy już wtedy rozumiał, że wiedza o tym, co doprowadziło do pożaru, będzie mu ciążyła jak kotwica, ściągając go pod wodę i dusząc przez resztę życia?

Pociąg zatrzymał się na stacji Haymarket. Malcolm uważnie obserwował pasażerów. Nikt nie zwracał na niego uwagi. To dlatego, że po prostu nie patrzy na starych ludzi. Zastanawiał się, czy dziewczęta wysiądą przy końcu Northumberland Street. Młode dziewczyny w grupie przy drzwiach były jak motyle, rozedrgane i niespokojne, ale pozostały na miejscach i wszyscy wysiedli dopiero na stacji Monument. Malcolm złożył gazetę, wsunął ją do kieszeni i poszedł za grupą. Ruchomymi schodami wydostali się na zatłoczoną ulicę.

**Vera winiła siebie za to, że Malcolm zniknął.** Na czas przeszukania warsztatu mogła go przetrzymać w areszcie, nieważne, czy były dowody, czy nie. Wyszło na to, że facet jest niebezpieczny i zdesperowany. W biurze w Kimmerston czuła się jak w pułapce, wołałaby być na miejscu przestępstwa, na podwórzu Kerra, wyciskać dane z Paula Keatinga i Billy'ego Wainwrighta. Albo mogłaby szukać zabójcy.

Zadzwonił Joe Ashworth.

– Powiedz, że coś dla mnie masz. – W wyobraźni widziała Malcolma, skulonego, spacerującego po plaży, a teraz pomyślała, że Joe ma go już w samochodzie, że zaraz go przywiezie i będzie go można przesłuchać.

– Nic nie mam.

Walnęła pięścią w biurko tak mocno, że aż zapiekła ją skóra. Gdy tylko odłożyła słuchawkę, telefon znowu się odezwał. Znalaziono samochód Kerra na parkingu stacji Partington. To znaczyło, że wsiadł do metra i z Dworca Centralnego w Newcastle mógł się udać gdziekolwiek. A może pojechał metrem na lotnisko i w ogóle opuścił kraj? Tylko że Vera nie widziała w Malcolmie globtrottera. Podejrzewała nawet, że nie ma paszportu. Rzuciła się do telefonu, żeby to sprawdzić, gdy do pokoju zapukała Holly. Niepewna, ale zarazem zadowolona z siebie. Vera nienawidziła, kiedy Holly była w takim nastroju.

– Szefowo...

Gestem dłoni kazała jej wejść.

– Wytropiłam Pawła Krukowskiego. – Holly usiadła na krześle po drugiej stronie biurka.

– Jak to wytropiłaś? Facet leży w dziurze w ziemi w Mardle. Chyba że Paul Keating nakazał przewiezienie zwłok do kostnicy.

– Nie, szefowo, on tam nie leży. – Holly zrobiła pauzę. – Prowadzi biuro turystyczne w Krakowie, organizuje wycieczki do Anglii dla studentów i robotników. Żyje z Polką, mają trójkę dzieci i pięcioro wnucząt.

Panika sprawiła, że w głowie Very zapanowała pustka.

– To może być jakiś inny Krukowski. – Wiedziała, że chwytą się brzytwy i że całe dochodzenie się rozpada.

Holly pokręciła głową.

– Rozmawiałam z nim. Dobrze mówi po angielsku. Wyjechał z Anglii w 1970. Ożenił się z Margaret, bo myślał, że jest bogata. Kiedy się dowiedział, że nie ma własnych pieniędzy, odczekał kilka lat, żeby się przekonać, czy rodzice jej odpuszczą i ponownie przyjmą na łono rodziny. Kiedy tak się nie stało, wyjechał wkurzony.

– Kiedy wybuchł pożar w warsztacie Kerra? – Vera usiłowała pokonać panikę, domagając się faktów.

– Piętnastego lipca 1975 roku. – Holly była biegła w faktach, jak nikt w zespole.

– W dniu urodzin Billy’ego Kerra. – To był Joe, jeszcze w kurtce. Zaglądał przez otwarte drzwi.

– A to ważne, bo...? – Teraz Vera już krzyczała. Wiedziała, że dała plamę, i musiała znaleźć ujście dla wściekłości.

– Bo oni wszyscy tam byli, w Coble na przyjęciu urodzinowym. – Joe wyciągnął z kieszeni pogniecione zdjęcie i położył je na biurku. Nachylił się nad nim i palcem wskazywał poszczególne osoby. – To Val Butt, właścicielka. Tamtego roku przejęła pub, przeprowadziła się do Mardle po jakichś problemach z gangami w West Endzie. W każdym razie coś takiego sugerowała.

– Rozmawiałeś z nią?

– Mówiłem ci przecież. Byłem u niej rano.

Vera wyczuła zniecierpliwienie w głosie Joego. Czyżby uważał, że przestała panować nad sytuacją? Może miał rację.

– Jasne, że mówiłeś, kotku. Kontynuuj.

– To Billy Kerr. – Vera dostrzegła podobieństwo do

Malcolma. Billy był bardziej przysadzisty, rubaszny i krzepki, ale rodzinne podobieństwo ujawniało się w rysach twarzy. – Mike Craggs, teraz profesor Craggs, wtedy stypendysta po studiach doktoranckich, Malcolm Kerr i oczywiście Margaret. A to syn Val, Rick.

Vera spojrzała w górę.

– Mówiłeś mi o nim wcześniej?

Joe skinął głową.

– Susan Coulson o nim wspominała. Mówiła, że lubił z niej żartować. – Umilkł. – Odniosłem wrażenie, że się go bała. Dopiero co przejrzałem jego akta. Jako chłopak miał sporo problemów, zadawał się z twardzielami z West Endu. Od 1974 nie karany.

– Ile miałby teraz lat?

– Sześćdziesiąt sześć.

– A gdzie mieszka? – Vera znowu podniosła oczy na Joego.

– Nie mamy żadnych danych o miejscu jego zamieszkania. I nie ma też żadnych informacji, gdzie mieszkał od połowy lat siedemdziesiątych.

Zapadła cisza, w której słychać było szmer rozmów dochodzący z otwartego pomieszczenia z biurkami na zewnątrz.

– I uważasz, że może to on jest stosem kości pod podwórkiem Kerra. – Vera odchyliła się od biurka i pogrążyła w rozmyślaniach. Dlaczego Malcolm Kerr miałby zabijać syna właścicielki pubu? Pijacka bójka podczas przyjęcia urodzinowego jego ojca? I jaki to może mieć związek z Margaret Krukowski czterdzieści lat później?

Joe wzruszył ramionami.

– Cóż, wiemy, że to nie Paweł Krukowski.

Nagle Vera poczuła, że dłużej nie wytrzyma w biurze. Jeśli zostanie, zacznie chodzić po ścianach albo krzyczeć jak wariatka.

– Porozmawiam z jego matką. – Włożyła kurtkę i ruszyła do drzwi. – Zostańcie i pilnujcie wszystkiego. I dajcie znać, jeśli znajdą Malcolma. – Ostatnie zdanie wykrzyczała przez ramię, zbiegając po schodach.



**Vera widziała kobietę przez okno.** Siedziała na sofie – nogi wyciągnięte, oparte na stołeczku – i oglądała telewizję. Jediną świąteczną ozdobą był kawałek łańcucha choinkowego rozwieszony na gzymsie kominka. Pomyślała, że koniecznie musi znowu zacząć chodzić na basen i stracić kilka kilogramów. Inaczej skończy jak Valerie Butt, uwięziona w monstualnym cielsku, skazana na karmienie się papką z telewizji. Zastukała w szybę, żeby przyciągnąć uwagę kobiety. Val pomachała do niej, pokazując, żeby weszła. Drzwi były już otwarte. Może kobieta na kogoś czekała.

– Następny glina? – Val przycisnęła guzik na pilocie, wyłączając głos w telewizorze. Obrazki ładnych wiejskich domów nadal przesuwały się po ekranie.

– Znaleźliśmy nowe zwłoki. – Vera wcisnęła się obok kobiety na sofę. Innego miejsca, żeby usiąść, nie było.

Kiedy Val nie odpowiedziała, dodała:

– Niech mi pani opowie o swoim synu, Ricku.

To wywołało niejaki zainteresowanie.

– Kiedy się ostatnio widzieliście? – W pokoju było bardzo gorąco, a Vera nie zdjęła kurtki. Czowała, że zaraz zemdleje.

– Całe wieki temu – odparła Val i umilkła. – Miał problemy. Musiał wyjechać – dodała.

– Jakie problemy? – Vera ściągnęła kurtkę z ramion, ale nie wstała.

– Zadał się ze złym towarzystwem – wyjaśniła Val. – Kiedy mieszkaliśmy w West Endzie. Szukał wrażeń. Takie tam zabawy zabijaków. Nie chciał się ustatkować. Dlatego się tu przeprowadziliśmy. Nie sądziłam, że jego kumple odnajdą go na wybrzeżu. – Wpatrywała się w ekran telewizora, w kobietę pokazującą kuchnię wielkości całego jej domku.

– I co, odnaleźli?

– Nie jestem pewna – mruknęła. – Coś się tam działo. Może po prostu złapał bakcyła i chciał odgrywać twardziela, zdobyć

sobie szacunek na własnym terenie. – Zrobiła krótką przerwę. – Czasami myślę, że chłopcy mają znacznie gorzej. Oczekuje się od nich, że będą twardzi. Rick zawsze chciał za takiego uchodzić.

– A więc nie był lubiany. – Verze wydawało się, że zaczyna docierać do sedna. Do głowy przyszła jej myśl, która, po konfrontacji z innymi faktami, zmieniła perspektywę. – Był okrutny i ludzie się go bali. Zawsze chciał być najlepszy.

– Popisywał się – mruknęła Val. – Był jeszcze prawie dzieciakiem, kiedy się wpakował w tarapaty.

– Co to było? – spytała Vera. – Chodzi o urodziny Billy’ego Kerry? O ten pożar?

Val ciężko oparła się o sofę, jakby nagle poczuła się bardzo zmęczona.

– Nie wiem. Rick szalał tamtej nocy. Pewnie przez narkotyki. Brał wszystko, co popadło. – Spojrzała na Verę. – Człowiek nie chce uwierzyć, że jego dziecko jest złe. Bo to jego wina, prawda? Kogo innego można obwinić?

Vera położyła dłoń na grubym ramieniu kobiety.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Postanowiliśmy urządzać małą imprezkę dla Billy’ego Kerra. Chłopcy z łodzi to zorganizowali. Zapłacili za jedzenie, namówili jedną z żon, żeby upiekła tort. Było gorąco. Tamtego lata codziennie były upały. I już od początku wieczoru wiedziałam, że coś się wydarzy. W powietrzu wisiało jakieś napięcie. Czuło się, że wystarczy jedno niewłaściwe słowo i dojdzie do wybuchu. – Kobieta odwróciła się do Very. – Ta Margaret Krukowski, ona to wszystko prowokowała. Nakręcała facetów. Wszystkich. Czytałam o niej w gazecie, kiedy ją zabili, ale jej nie rozpoznałam. Taka świętoszka. Religijna. Spędzała czas w schronisku dla kobiet z problemami. Cóż, znała się na tych sprawach.

– Pani syn, Rick, podkochiwał się w niej, tak?

– Nie! – Słowo wybuchnęło w pokoju jak pocisk, potem Val ciągnęła niemal szeptem: – Jeśli Rick się w kimś kochał, to tylko

w samym sobie. Kiedyś nawet myślałam, że bardziej pociągają go mężczyźni, ale tak też nie było. Był samotnikiem. Interesował się Margaret z czysto... – umilkła, by znaleźć odpowiednie określenie – ...zawodowych powodów.

I wtedy Vera zrozumiała.

– Chciał być jej alfonsiem.

– Uważał, że będzie dla niej lepiej, jeśli jej sprawami zajmie się mężczyzna. – Val patrzyła w okno, mówiła, jakby się broniąc. – W mieście rozbijał się z gangiem. Wiedział, jak one działają, i wymyślił sobie, że tu na wybrzeżu będzie prowadził podobne interesy.

– Sprzedawał narkotyki Susan Coulson? – Vera przywołała w pamięci twarz mężczyzny ze zdjęcia. Ciemne włosy, długie, sięgające za uszy. Twarde szare oczy. To przywołało inne, bardziej współczesne wspomnienie.

– Sprzedałby własną matkę – odparła Val. – Gdyby dostał dobrą cenę. – Jej głos nagle stał się gorzki. Vera zamrugnęła, obrazki w jej głowie znowu się zmieniły i przybrały wyraźniejszą formę.

– Ale pani go chroniła. Pozwoliła mu pani prowadzić biznes w swoim pubie?

– To mój syn! – Zabrzmiało to jak lament.

– Więc tamten wieczór, urodziny Billy'ego Kerra... kończmy już z tą historią.

– Coś się wtedy działo. Porozmawiałam z Rickiem, powiedziałam, że nie chcę żadnych zadym. Ale to się czuło. Przemoc. Był rozdrażniony, zły. Myślałam, że może ktoś mu groził, ktoś z dawnego gangu. Że przyjadą i będą się domagali zwrotu tego, co był im winien. – Tęga kobieta na chwilę przymknęła oczy. Vera domyślała się, że we wspomnieniach stoi za barem, nalewa piwo, rzuca żarty i cały czas się boi, że jej syn zniszczy wszystko, co udało się jej osiągnąć. Wymagało to pewnego rodzaju odwagi, żeby się nie rozpaść. – Wszyscy za dużo wypili i zrobiło się głośno, ludzie wyszli na ulicę. Straciłam Ricka z oczu, ale nie mogłam wyjść, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wtedy już było ciemno, ale gorąco, jak w tropikach.

Marzyliśmy o burzy, która oczyściłaby powietrze. Albo choćby o odrobinie wiatru.

Jej uwagę na moment znów przykuł telewizor. Para w średnim wieku z psem u stóp, stojąca ramię w ramię przed wymarzonym domem. Obrazki z zupełnie innej bajki.

– Potem zobaczyliśmy ogień na podwórku Kerrów. Płomienie były tak wysokie, że widzieliśmy je z wnętrza pubu. Ale było już po północy, a ja dalej handlowałam, mimo pory zamknięcia, bo wszyscy oczekują, że w czyjeś urodziny knajpa będzie czynna do oporu. Wiedziałam, że zaraz zjawi się policja, groziło mi, że stracę licencję, myślałam tylko o tym, żeby opróżnić pub.

Vera zastanawiała się, ile razy Val odtwarzała tę scenę w pamięci, przeżywając ją od nowa. Ale dotąd nigdy o tym nie mówiła. Sposób, w jaki referowała zdarzenie, świadczył o tym, że po raz pierwszy może to opowiedzieć na głos, i w pewnym sensie była w tym ulga.

– Tej nocy już więcej nie widziałam Ricka – ciągnęła. – Pomyślałam, że gdzieś się zaszył. Kiedy chciał, potrafił znikać jak duch. Policja, opieka społeczna, kurator – jakby wyczuwał, że są w drodze, i zapadał się pod ziemię.

Spojrzała na Verę wielkimi, wystraszonymi oczyma. Szykowała się do wyznania.

– Byłam zadowolona. Pomyślałam: spieprzaj z powrotem do miasta, do tych swoich gangsterów. Zostaw mnie tu, żebym mogła normalnie żyć.

– Tak pani myślała? – upewniła się Vera. – Że syn miał coś wspólnego z podłożeniem ognia i uciekł z powrotem do Newcastle?

– Tak mi powiedział Billy Kerr. Przyszedł następnego dnia. Wtedy już był spokój, tylko śmierdziało spalenizną. Spalone resztki biura były czarne, a podwórko wyglądało jak po wybuchu bomby. Powiedział, że jakiś czas nie zobaczę Ricka. „Twojemu chłopakowi odbiło, Val, i sfajczył mi biuro. Nie mogę na to przymykać oczu. Kazałem mu trzymać się z daleka od Harbour Street. Do ciebie nic nie mam, ale wiesz, jak to jest”. A ja tylko

kiwnęłam głową. Czy to znaczyło, że zdradziłam syna? W środku śpiewałam ze szczęścia, bo już nie byłam w stanie tego znieść. Przez cały czas, odkąd był mały, ciągle się zastanawiałam, co nowego zmałuje.

– A gdzie jest teraz Rick? – Vera wciąż trzymała rękę na ramieniu kobiety. Pomimo upału skóra na nim była chłodna i lepka w dotyku.

– Nie mam pojęcia. – Kolejne wyznanie. – Nie widziałam go od tamtego dnia. I z początku specjalnie nie starałam się go odszukać. Popytałam tu i ówdzie, ale nikt niczego nie wiedział. No to przestałam pytać. Skoro nie chciał mnie widzieć, nie musiałam się wysilać. Samej było mi o wiele lżej, nie musiałam się zamartwiać o tego drania. Uznałam, że jeśli wpakuje się w poważne kłopoty, na pewno o tym usłyszę.

– A teraz?

– Teraz to już starszy człowiek. Możliwe, że ma wnuki. Pewnie się ustatkował, tak sądzę. Chciałabym go zobaczyć. Odrobina towarzystwa w moim wieku by się przydała. Może wy mi pomożecie go odnaleźć.

– Odnaleźliśmy zwłoki – rzekła Vera. – Są stare. Sądzimy, że ofiara zginęła w noc pożaru na podwórku Kerra.

Val dziwnie chrząknęła.

– Myślicie, że to Rick?

– To są zwłoki młodego mężczyzny.

– A ja przez ten cały czas myślałam, że ma mnie w nosie i dlatego nie daje znaku życia. – Po jej policzkach spłynęły łzy. – W każde urodziny czekałam na kartkę. I myślałam: jak tak, to się chrzań. A on tu był, na Harbour Street, przez cały czas.

– Jeszcze na pewno nie wiemy – zastrzegła się Vera. – Trzeba przeprowadzić badania.

– Wiem. – Val odwróciła się, żeby Vera nie widziała jej twarzy.

**Vera udała się na Harbour Street.** Nie musiała tam jechać, ale nie chciała wracać na komisariat; gdyby były jakies

wieści o Malcolmie, ktoś by ją powiadomił. Poza tym coś jej zaczęło świtać. Zaczynała formować nową teorię i potrzebowała czasu na poukładanie myśli. Wszystko zaczęło się na Harbour Street, uznała, że to tam znajdzie odpowiedzi. Na ulicy panował spokój. Coble było otwarte dla przedpołudniowych pijaczków, ale smażalnia ze względu na okres świąteczny już nie działała. Na podwórku Malcolma wciąż coś się działo, ale niewiele można było zobaczyć z powodu ekranów, ustawionych, żeby powstrzymać wścibskich gapiów. Przez okno pensjonatu dostrzegła Kate Dewer i Stuarta Bootha w saloniku. On siedział przy pianinie, on nachylał się nad jej ramieniem i pokazywał jakieś nuty. Zapisał w nich coś ołówkiem, a ona odwróciła się i przeciągnęła palcem po jego policzku. Vera zaparkowała tuż przed pensjonatem, ale jej nie zauważyli.

Wciąż siedząc w samochodzie, zadzwoniła do Holly.

– Chcę, żebyś sprawdziła zeznanie jednego ze świadków w sprawie Krukowski. – A potem zadzwoniła do Joego, bo do niego też miała pytanie. Ale był okropnie zdenerwowany i nie chciał słuchać, niemal na nią nakrzyczał, żeby nie zajmowała linii, bo czeka na telefon. Jego córka, Jessie, odłączyła się od znajomych w mieście, a ponieważ komórkę zostawiła w domu, nikt nie wiedział, gdzie jest.

**Malcolm Kerr kontynuował swoją misję**, ale ponieważ nigdy nie lubił miasta, był bliski zrezygnowania. Jaki ma w tym interes? Pomyślał, że wsiądzie do metra, wróci na stację Partington i stamtąd pojedzie samochodem na komisariat w Kimmerston. Było coś przyjemnego w myśli, że ta gruba detektyw może tam na niego czekać; ucieszy się na jego widok. Wyobraził sobie, jak się uśmiecha. Zrobi mu herbatę i może nawet doda do niej kilka kropel szkockiej. A on opowie jej całą historię. Pozwoli jej przejąć odpowiedzialność. Postawił kołnierz przed zinnem i stał nieruchomo, żeby tłum go wyminął, jak fale opływające skałę. Wokół niego panował hałas. Uliczni grajkowie, rozwrzeszczane dzieci i handlarze, próbujący go namówić, żeby kupił łańcuchy choinkowe i tandetne plastikowe ozdoby.

Cichy pokój przesłuchań, tylko on i ta gruba kobieta. Puste malowane ściany. Nic, co by rozpraszało zmysły. Nagle wydało mu się to najbardziej pociągające.

Potem grupa młodzieży przed nim rozstała się, rozdzielona przez sześciu rozpychających się młodzieńców, nadchodzących z przeciwnej strony. Było wczesne popołudnie, ale oni pili tani cydr z puszek i przeklinali. Malcolm poczuł ukłucie gniewu. Miał ochotę nauczyć ich manier. Cóż, w młodości sam był arogancki. Gorzej niż arogancki. Po lekkim zamieszaniu grupa młodzieży ruszyła dalej, ale nie cała. Została jedna dziewczyna; wyglądała na niepewną i osamotnioną. Niebo pociemniało. Zaczął padać deszcz ze śniegiem, zapędzając przechodniów do sklepów. Pora na decyzję. Mógł się poddać albo wykorzystać szansę na wyprostowanie spraw.

Wahał się, ale pomyślał nagle o pastorce, ojcu Gruskinie.

Gruskin pojawił się u niego w dzień po odejściu Deborah, oferując współczucie i poradę. Malcolm pomyślał, że przysłała go Margaret, bo się bała, że Malcolm zrobi coś głupiego. Że się zabije albo zabije nowego faceta Deborah. Gruskin siedział we frontowym pokoju i nie wiedział, co ma mówić. Przyszedł tylko dlatego, że Margaret go o to poprosiła. Wymamrotał kilka zdań, potem sobie poszedł. Pastorzy to dobrze ludzie, prawda? Podejmują słuszne decyzje. Co na jego miejscu zrobiłby Gruskin?

Potem Malcolm przypomniał sobie, w jaki sposób Gruskin gapił się na Margaret. Jak odprowadzał ją pożądlivym spojrzeniem, gdy szła Harbour Street, wracając z kościoła. Miała tyle lat, że mogła być jego matką. Nawet więcej. Ale on i tak gapił się na nią. Czy w takim razie w Mardle w ogóle nie ma porządnych ludzi? Czy to miejsce zamieszkiwali sami oszuści i łajdacy?

Zaczynam wariować, pomyślał. Ojciec zawsze mi powtarzał, że powinni mnie zamknąć u czubków.

Z nieba padał teraz grad i Northumberland Street prawie opustoszała.

Co Margaret chciałaby, żebym zrobił?

Malcolm spojrział w dół ulicy i zobaczył, że na przeciwległych chodnikach zostały tylko dwie osoby. Oddały się od niego. Chwilę się wahał, potem ruszył w pościg.



**Joe Ashworth pojechał do domu.** Sal była bliska hysterii i przez telefon nie potrafił wydobyć z niej niczego sensownego. Przez całą drogę pragnął na kogoś nawrzeszczeć. Na Sal, za to, że była taka głupia i puściła córkę do miasta, i to ze starszymi od niej dzieciakami, których on nie znał. Na matkę tych dzieciaków, która obiecała, że będzie miała na nie oko. I na Jessie, która miesiącami suszyła im głowę, żeby jej kupili komórkę, a potem, gdy naprawdę jej potrzebowała, zostawiła ją w domu.

Ale przede wszystkim był wściekły na siebie. Jechał po opustoszałych wiejskich drogach i rozpatrywał różne scenariusze. Vera nazwałaby je historiami. Margaret Krukowski została zabita w metrze. Dee Robson jechała tym samym metrem i zginęła, bo widziała morderstwo lub domyśliła się, co się wydarzyło. A teraz uświadomił sobie to, o czym dotąd nie pomyślał: że Jessie też mogła być świadkiem zamordowania Margaret. Jessie, która była bardzo błyskotliwa i miała świetną pamięć. Zniknęła i zniknął ich główny podejrzany, jego samochód znaleziono przed stacją metra Partington. Może to zbieg okoliczności, ale Joe był tak przerażony, że nie potrafił dłużej wierzyć w zbiegi okoliczności. Wyobraził sobie swoją Jessie w pociągu z kolegami, rozgadaną i wesołą, bo to prawie Boże Narodzenie, a ona poznawała smak pierwszych chwil wolności. Widział, jak się rozgląda po przedziale i w tłumie dostrzega kogoś, kogo rozpoznaje. Kogoś, kto był w metrze, gdy zadżgano Margaret. Wyobraził sobie, jak na sekundę jej spojrzenie i spojrzenie tego kogoś się spotykają. Potem zabójca, czując się zagrożony, idzie za jego córką, a ponieważ desperacko pragnie uniknąć aresztowania, dochodzi do wniosku, że Jessie też musi zabić.

Ich dom stał na końcu byłej kopalnianej wioski i gdy szedł ścieżką, z sadzawki powstałej w zapadlinie ziemi poderwało się stadko gęsi. Chwilę im się przyglądał, zanim otworzył drzwi. Młodsze dzieci siedziały we frontowym pokoju i oglądały film na DVD. On i Sal rozmawiali syczącym szeptem w małej kuchni.

– Co się stało? – Starał się przekonać samego siebie, że tak naprawdę Sal nie jest niczemu winna, że pewnie czuje się jeszcze gorzej od niego, ale nie potrafił zupełnie uniknąć oskarżycielskiego tonu w głosie.

– Matka Sarah nie zdawała sobie sprawy, że Jessie się zgubiła, do chwili, kiedy się spotkali na lunchu w Blake. – Sal płakała. Trzymała się ze względu na młodsze dzieci, ale teraz zaczęła szlochać.

Objął ją i mocno przytulił.

– Nic jej się nie stanie. Znasz naszą Jessie. Ma orientację w terenie jak komar. Pamiętasz, jak się zgubiła w Boots, w Morphet? Po prostu opowiedz, jak było. Jej koledzy nie zauważyli, kiedy się odłączyła? – Mówił spokojnie i lekko; powinien zostać aktorem.

– Rozdzielili się na dwie grupy, i każda myślała, że Jessie jest z tą drugą. Dopiero kiedy się spotkali na lunchu, zorientowali się, że jej nie ma. Kilkoro starszych dzieciaków poszło jej szukać. – Sal sięgnęła za siebie po ścierkę i wytarła nią oczy. – Matka Sarah doszła do wniosku, że Jessie po prostu wróciła do domu. Zadzwoń, spodziewając się, że tu jest.

Nic nie powiedział, ale w myślach zżymał się na nieodpowiedzialność kobiety, która miała pilnować Jess, i na bez troskę jej kolegów.

– Dzwoniła twoja szefowa – oznajmiła Sal. Z jakiegoś powodu nigdy nie używała imienia Very. – Poprosiła, żebym przysłała jej mailem zdjęcie Jess. Mówiła, że i tak sprawdzają monitoring w mieście, więc uczuli ludzi, żeby wypatrywali Jess.

Joe pomyślał, że rozumowanie Very jest podobne do toku jego myśli. Już zdążyła nakazać poszukiwanie Malcolm'a przez miejski monitoring. Teraz ludzie z monitoringu będą także

szukali jego córki.

– No więc sama widzisz – rzucił. – Robią wszystko, co się da. Na pewno niedługo ją znajdą i sprowadzą do domu. – Jednocześnie, zastanawiał się, czy rzeczywiście dobrze robi, że uspokaja Sal. Może powinien ją przygotować na ewentualność, że ich córka została porwana. Sal i tak wkrótce dowie się z wiadomości, że pozwolili zbiec podejrzanemu w śledztwie o morderstwo, a wtedy będzie na niego wściekła, że ukrył to przed nią. Ale nie miał w tej chwili odwagi powiedzieć jej prawdy. – Posłuchaj, muszę wracać do pracy. Zresztą tam będę mógł więcej zdziałać. Zadzwoń, gdy tylko się czegoś dowiem. – Wiedział, że zachowuje się jak tchórz.

Otworzył drzwi do pokoju dziennego i okrzykiem „cześć” przywitał się i pożegnał z dziećmi. Uśmiechnęły się i pomachały, zanim z powrotem zwróciły się ku ekranowi. Odjechał spod domu, skręcił za róg, gdzie Sal nie mogła go widzieć, i zadzwonił do Very na komórkę.

– Gdzie jesteś? – spytała. – Twoja Sal cię potrzebuje. Rozpada się na kawałki.

– Właśnie wyszedłem z domu. – Nie mógł powiedzieć, że ma już dosyć okłamywania żony, ale także zdecydowanie nie potrafi powiedzieć jej prawdy. – Coś nowego w sprawie Malcolma Kerra?

– Postawiłam ludzi, żeby obserwowali jego samochód na Partington – odparła. Zastanawiał się, gdzie ona jest. Wydawało mu się, że w tle słyszy skrzek mew. – Chyba nie jest taki głupi, żeby po niego wracać, ale z drugiej strony, może teraz nie myśli rozsądnie.

– Potrzebujesz mnie w komisariacie? Mam wracać? – Nie usłyszawszy natychmiastowej odpowiedzi, dodał: – Mógłbym pojechać do miasta, poszukałbym Jessie. – Zdawał sobie sprawę, że to brzmi żałośnie, ale nie chciał tkwić w biurze. Nie potrafiłby się skupić, podrywałby się na dźwięk każdego telefonu, wyobrażnia podsuwałaby mu krwawe obrazy.

– No tak, w zasadzie czemu nie? – zgodziła się, a on pomyślał,

że pewnie chce się go pozbyć. Prawdopodobnie uważa, że przejęty strachem o córkę nie pracowałby normalnie.

– Nie przejmujesz się jej losem? – Prychnięcie. – Prawdopodobny świadek morderstwa i podejrzany na wolności, tak? – Gdy umilkł, zrozumiał, że zrobił coś niewybaczalnego. Jedno, co wiedzieli o Verze Stanhope na pewno, było to, że się przejmowała. I prawdopodobnie jej myśli nawiedzały takie same obrazy, jakie widział on.

Spodziewał się, że zareaguje furją, że rozniesie go na strzępy, ale po drugiej stronie zaległa długa cisza. Pomyślał, że znieśmaczona jego wybuchem, Vera się rozłączyła.

– Rób, co uważasz za najlepsze, kotku. Powiadomię cię, jeśli się czegoś dowiem. – Mówiła cicho, współczująco. Słychać było, że czuje się winna.

Wrócił do Mardle, jakby przyciągany przez pole magnetyczne. Miał niejasny plan, że wsiądzie do metra na końcowej stacji, bo może Kerr robi głupka z nich wszystkich i po prostu jeździ pociągami. Tłum pasażerów to dobre miejsce, żeby się ukryć. Poza tym metro dowiezie go do miasta, a to tam ostatnio widziano Jessie.

Zadzwoiła jego komórka. Sal. Puls mu przyspieszył. Może Jess jest w domu, cała i bezpieczna. Ale Sal zadzwoniła tylko po to, by zadać pytanie.

– Wiesz coś nowego? – Jej głos był ochrypły, zdesperowany.

– Jestem w drodze do miasta – odparł. – Znajdę ją. Nie martw się. – Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, rozłączył się, bo nie potrzebował jej rozpaczy dodanej do jego własnej. I nie wiedział, czy zdoła dalej udawać, że wszystko jest w porządku.

Parking przed metrem był zapełniony, musiał się więc zatrzymać na Harbour Street, naprzeciwko kościoła.

Mijając go, sprawdził, czy jest otwarty; okazało się, że tak. Został wychowany w wierze w metodystycznego Boga społecznej sprawiedliwości i szacunku dla ciężkiej pracy. Jego ojciec był katechetą, który powodów zła upatrywał w wyzysku i w biedzie oraz w ekstrawaganckiej dekadencji ludzi z południa.

Teraz Joe nie potrafiłby stanowczo twierdzić, że zło to nieunikniony wynik nędznych warunków mieszkaniowych i rozpadu rodziny. Nie istnieje żadne wytłumaczenie dla człowieka, który zamierzał skrzywdzić jego córkę. Wśliznął się do rzędu ławek z tyłu i zaczął się modlić.

Sprowadź naszą Jessie bezpiecznie, a zrobię wszystko, co zechcesz, błagał. Próbował wymyślić, jaki pakt mógłby zawrzeć ze Stwórcą, ale nic nie wydawało się wystarczająco istotne, by zrównoważyć życie Jessie. W kościele panowała głęboka cisza. Siedział pochylony, z czołem opartym na rękach, i dopiero kiedy się wyprostował, zobaczył, że nie jest sam. Przed ołtarzem stał Peter Gruskin i przyglądał mu się. Joe nie zniósłby wyjaśnień dotyczących jego obecności w tym miejscu, wstał więc i szybko wyszedł z kościoła.

**Od morza zaczynało deszczem.** Kłującym, mroźnym. W głębi lądu pewnie padał śnieg. Na ulicy było prawie ciemno, choć było wczesne popołudnie. Ale w pensjonacie światła się nie paliły. Wydawało się, że minęły miesiące od chwili, gdy on i Vera odwiedzili pensjonat po raz pierwszy. Przypomniawszy sobie, jak schodził do suterenu, przypomniał sobie spotkanie z kobietą, której piosenki stanowiły muzyczne tło jego romansu z Sal. *White Moon Summer* znowu zagrało mu w głowie. I nagle go olśniło. Pojął, że jest durniem, a jego tępota uczyniła go odpowiedzialnym za morderstwo. Zastanawiał się, czy całe życie wyrzutów sumienia to wystarczająca zapłata za bezpieczny powrót jego córki.

**Kiedy Joe zadzwonił** – niby chcąc zapytać o wieści o Malcolmie, choć w rzeczywistości miał nadzieję, że usłyszy, iż jego córka została znaleziona cała i zdrowa – Vera stała przed Przystanią. Stado ciemnogłowych mew krążyło nad świeżo zaoranym polem za żywopłotem z głogu. Vera miała własne wyobrażenie o tym, dokąd to śledztwo powinno ją zaprowadzić.

Zapukała do drzwi dużego domu i zaraz weszła do środka, zbyt zniecierpliwiona, by czekać, aż ktoś jej otworzy. Laurie i Susan były w kuchni, jak zwykle; pies drzemał przy piecyku.

– Gdzie jest Jane? – Vera chciała, żeby to się skończyło; za bardzo jej się spieszyło, by pamiętać o uprzejmościach. Koniec z zabójstwami, myślała. W jej mniemaniu ostatnie zgony były bezsensownym marnotrawstwem. Nie istniały realne powody, by do nich doszło. Nie znajdowała dla nich odpowiedniego uzasadnienia. Ale teraz już wiedziała, kto zamordował Margaret i Dee, i kto przed czterdziestu laty zabił młodego mężczyznę na podwórku Kerra. Joe mógłby to potwierdzić, ale był w szponach własnego strachu i nie potrafił jasno myśleć. Koniec z zabójstwami.

– Pojechała do miasta, spotkać się ze znajomymi. – Laurie mówiła to zwykłym „nie współpracuję ze świniami” głosem.

Vera przez chwilę się zastanawiała. Może nie musi rozmawiać z Jane.

– Zimowy jarmark – rzuciła. – Opowiedzcie mi o nim.

– To była zbiórka pieniędzy, ale też w pewnym sensie impreza towarzyska. Jane zaprosiła wiele dawnych mieszkanki. Były dzieci. Znajomy Margaret przebrał się za Mikołaja. – Laurie wyraźnie dawała do zrozumienia, że jej zdaniem tracą czas.

– George Enderby?

– Tak, on. Musiał wydać majątek na stoiska. Nie licząc książek, które przekazał. Każdą opakował w świąteczny papier, a my znalazłyśmy jakiś worek, żeby wyglądało jak trzeba.

Vera skinęła głową. Potrafiła sobie wyobrazić jowialnego, hojnego Enderby'ego w roli Mikołaja.

Laurie mówiła dalej:

– Było pogodnie. Stoiska rozstawiłyśmy w stodole i w domu. Zaprosiłyśmy ludzi z Holypool. Przyjechali, żeby się na nas pogapić. Mieliśmy grill, zrobiliśmy też grzane wino. Susan miesiącami dziergała na drutach dziecięce ubranka. Wszystkie sprzedałyśmy. Było miło do momentu, kiedy Em dostała ataku paniki.

– A co się stało? – Vera nie była pewna, czy ma na to czas, ale uważała, że to może być ważne.

– Zaczęła szaleć. Mówiła, że dłużej nie da rady, że musi wrócić do szpitala. Jane w końcu ją jakoś uspokoiła i przekonała, żeby została.

– Macie jej adres? – Głównie po to tu przyjechała. – Emily pojechała do matki na święta, prawda?

Laurie znów zerknęła na nią niechętnie.

– A czego chcecie od Em? Ona nie jest w najlepszej formie.

– Chcę powstrzymać kolejne morderstwa! – Vera wykrzyzczała te słowa tak głośno, że poczuła drapanie w gardle. – Więc jeśli to szanownym paniom nie przeszkadza, zadam jej kilka pytań. Spokojnie i uprzejmie, muszę jednak uzyskać odpowiedzi.

Laurie nadal się gapiła, jednak teraz już z pewnym szacunkiem.

– Mieszka gdzieś w Tynemouth. Adres mamy w biurze – powiedziała. – W komputerze Jane. Ale jest zablokowany hasłem.

– Cholera! – Popatrzyły na siebie w przeblysku porozumienia. Jeśli Susan śledziła rozmowę, to nie dawała tego po sobie poznać. Siedziała blisko kuchni na niskim krześle i robiła na drutach coś małego i różowego. Kłębek wełny leżał w koszyku u jej stóp.

– Chyba umiałabym go odnaleźć – rzuciła Laurie. – Tylko nie jestem pewna, czy takie szperanie w systemie jest legalne. Musiałabym się włamać do danych pomocy społecznej.

– Chrzanić prawo! – Vera widziała, że Laurie się to spodobało.  
– W razie czego biorę odpowiedzialność na siebie. Proszę znaleźć ten adres.

Laurie zadowolona zniknęła. W kącie Susan uśmiechnęła się pod nosem i dalej robiła na drutach. Nie dawała znaku, że widzi Verę. Miała jeden ze swoich mniej przytomnych dni? Czy może udawała otępiałą i wycofaną, żeby nie musieć opuszczać Przystani?

– Opowiedz mi o Rickym Butcie, Susan – poprosiła Vera. – Znałaś go, prawda? Był synem Val i mieszkał z nią w Coble.

Susan spojrzała znad swojej robótki. Wzrok miała mętny. Vera pomyślała, że musi być na lekach. Czytała o ludziach, którzy się uzależniali od lekarstw, a Susan brała je od dziesiątków lat.

– Ricky Butt – powtórzyła ponagląjąco.

– Szef Margaret – mruknęła Susan.

– Naprawdę? Był jej alfonsem? Czy chciał nim być?

– Nienawidziła go – stwierdziła Susan. – I ja też.

Verze nagle przyszło coś do głowy.

– Byłaś w Coble w wieczór urodzin Billy'ego Kerra? – spytała.

– W noc pożaru w warsztacie?

Susan na chwilę zamknęła oczy, jakby usiłowała sobie przypomnieć. Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, do kuchni wtoczyła się Laurie, trzymając kawałek kartki.

– Proszę, tu jest adres – rzekła. – To łatwizna. Trzeba im powiedzieć, że muszą się lepiej zabezpieczać.

Na zewnątrz było chłodniej. Wiatr wiał ze wschodu i miał metaliczny posmak, jak lód. Odezwiała się komórka Very. To był Joe.

– Jak tam? – Prawie mdląła z niepokoju. Jeśli coś się stało jego córce, Joe odejdzie z policji i już nigdy się do niej nie odezwie. Czy to nie dowodziło, że jest najbardziej samolubną babą na świecie? Dziecku groziło niebezpieczeństwo, a ona



myślała tylko o tym, że może stracić jedyną osobę, którą prawie mogła nazywać przyjacielem. – Pojawiło się coś nowego?

– Jeszcze nie.

Nic nie powiedziała. Każdy komentarz sprowokowałby go do nowego wybuchu wściekłości.

– Ale chyba już wiem, kogo szukamy.

Podał nazwisko i powód. Potwierdzające fakty.

– Ach, Joe, mój drogi... genialne umysły myślą podobnie.

– Też do tego doszłaś? – Nawet pomimo rozpaczy wyczuła, że doznał lekkiego zawodu.

– Wynioskowałam z tego, co ktoś gdzieś powiedział. A ty?

– Tak samo. Potem przyszła pamięć. Czuję się jak idiota.

Kolejny podmuch mroźnego wiatru załomotał okiennicami. Było tak głośno, że musiała poprosić Joego, żeby powtórzył ostatnie zdanie.

– I co teraz? – spytał.

– Działamy po cichu – odrzekła. – Tym razem potrzebujemy dowodów. Bez presji, bez hałasu. Ty tylko znajdź Jessie.

**Emily mieszkała** w dużym domu na peryferiach Tynemouth. Dom był nowy i okazały, zbudowany z surowej czerwonej cegły, z portykiem na froncie. Przez wielkie okno salonu Vera zobaczyła białą skórzaną sofę i płaskoekranowy telewizor. Sztuczna choinka, wyglądająca prawie jak prawdziwa, i stos opakowanych prezentów pod nią. Vera nagle uzmysłowiła sobie, że miejsce takie jak to dla Margaret Krukowski byłoby piekłem. O wiele lepiej jej się żyło w roli dziewczyny na telefon, działającej w skromnym mieszkanku w Mardle. Uświadomiła sobie także, że wciąż jeszcze nie kupiła prezentu dla Holly. Zadzwoiła do drzwi.

Otworzył jej mężczyzna w koszulce polo i bawełnianych spodniach. Z holu wylewało się gorąco. W środku ciepła odzież nie była potrzebna.

– Tak? – Mówił wyniosłe, dialektem *geordie*. Biznesmen w luzackich ciuchach, pomyślała Vera.

– Chciałabym porozmawiać z Emily, jeśli można. – Wiedziała, że wygląda jeszcze bardziej niechlujnie niż zwykle. Zarwane noce, kac i brak czasu na pranie, nie wspominając o prasowaniu. Przywołała na twarz uśmiech, który, miała nadzieję, wyglądał na ujmujący.

Mężczyzna obrzucił ją takim spojrzeniem, jakby była jakimś brudnym domokrążcą, i uważając chyba, że nie ma co marnować na nią oddechu, krzyknął w głąb domu:

– Jackie, ktoś do twojej córki.

Twojej córki. Więc to ojczym. A dziewczyna mu zawadzała.

Nie zaprosił jej, żeby weszła. Vera stała na progu i czekała. W końcu pojawiła się duża kobieta o nienaturalnej o tej porze roku opaleniznie, obwieszona mnóstwem złotej biżuterii. Jej blond włosy wyglądały sztucznie, ale opalenizna wydawała się prawdziwa. Vera zastanawiała się, czy Emily została wysłana do Przystani, żeby dorośli mogli wyjechać na wakacje do ciepłych krajów.

– Tak? – Matka Emily nie była tak twarda, na jaką na pierwszy rzut oka wyglądała. Zatrokana kobieta z tikiem nerwowym i spiętym uśmiechem. Kobieta, która czuła się zobligowana pośredniczyć między dwiema najważniejszymi osobami w jej życiu.

Po prostu go rzuć, chciała powiedzieć Vera. Są gorsze rzeczy od życia samotnie. Uznała, że istnieją różne formy prostytutki i że być może forma uprawiana przez Margaret nie była tą najbardziej poniżającą.

– Sądzę, że Emily mogłaby mi pomóc – powiedziała. – Nic jej nie grozi, nie jest podejrzana, chciałabym z nią tylko porozmawiać.

– Pani jest z opieki społecznej?

Dobry Boży, aż tak wyglądam?

– Nie, jestem z policji. Ale, jak powiedziałam, Emily nic nie grozi. Myślę tylko, że może mieć użyteczne informacje. – Wzięła głęboki oddech. Nie chciała straszyć tej kobiety, popędzając ją. To był moment na zwyczajową uprzejmość. – Jak ona się czuje

po powrocie do domu?

– No, wie pani... Powolutku dochodzi do siebie. – Kobieta wydawała się wdzięczna, że ktoś się zainteresował.

– Dość dobrze, żeby ze mną pogawędzić?

Jackie nie odpowiedziała, odsunęła się jednak na bok, żeby wpuścić Verę.

– Nie wiem, jak do tego doszło – rzekła. – W szkole była taką grzeczną dziewczynką. Spokojną. Układną, wie pani. Nie mieliśmy pojęcia, że ma problemy. – Chwila milczenia i moment szczerości: – Powinnam jej poświęcać więcej czasu. Ale byłam w trakcie rozwodu i tylko praca pozwalała mi nie zwariować. Emily się nie skarżyła, zawsze była spokojna, cicha. A to dobrze, kiedy ktoś jest spokojny, prawda? To znaczy, że jest dobrze wychowany.

Vera czuła, że czas ucieka. Nie była księdzem, któremu się płaci za udzielanie rozgrzeszenia.

– Gdybym mogła tylko zamienić słówko z Emily, pani James...

– Oczywiście. – Tik powrócił. Czy ta kobieta myślała, że Vera ją osądzi, kierując się stanem, w jakim znajdowała się jej córka? Może uważała, że Vera oskarży ją o to, że jest złą matką, bo Emily się cięła. I być może Joe i Sal uważają, że świat ich znienawidzi, bo pozwolili swojej Jessie zaznać trochę wolności.

Emily wyglądała dobrze, była mniej roztrzęsiona niż gdy Vera widziała ją ostatnio. Dziewczyna była bardzo ładna. Jej długie kręcone włosy kojarzyły się Verze z obrazem prerafaelitów, który widziała w galerii sztuki Laing, kiedy sama jeszcze chodziła do szkoły.

– Mam zostać? – spytała Jackie. Była coraz bardziej zdenerwowana i koniecznie chciała się zachować odpowiednio. Wydawała się bardziej spięta od córki. Vera pomyślała, że to się jej może przydać.

– A czemu nie? – rzuciła swobodnie. – W końcu to będzie tylko pogawędka.

**Później, na zewnątrz,** w szarości wieczoru, sprawdziła telefon. Wchodząc do domu, wyłączyła dźwięk. Miała nieodebraną rozmowę od Holly. Holly zostawiła wiadomość, w której informowała, że kamery monitoringu w metrze zarejestrowały Malcolma Kerra wcześniej w ciągu dnia, ale potem znów stracili go z oczu. Pociągi były teraz tak zatłoczone, że niemożliwością było wyłuskać poszczególne osoby. Po Jessie nie było śladu.

– Proszę o kontakt, szefowo. Nie bardzo wiemy, co mamy teraz robić.

Vera zostawiła land rovera na Harbour Street i na plażę w Północnym Mardle załatwiła sobie podwózkę nieoznakowanym samochodem. Miała przeczucie. To tutaj Malcolm składał obietnice Margaret Krukowski, i to tutaj przychodził, żeby pomyśleć. Musiała z nim porozmawiać, zanim zrobi coś głupiego. Słońce już prawie zaszło, a niebo się oczyściło. Temperatura spadła i na szczycie wydm w zagłębieniach w piasku utworzyły się dziwne białe jeziora – miejsca, w których kulki gradu zebrały się i zamarzyły. Księżyc był duży i biały. Może Kate Dewar napisze nową piosenkę, taką tylko o tej porze roku.

Vera znalazła punkt obserwacyjny na wydmach. Widziała z niego parking za jej plecami i plażę przed sobą. Dalej na południe były światła centrum Mardle i mury portu. W zatoce stała zacumowana łódź, na horyzoncie majaczył zdążający ku Tyne kontenerowiec. Żadnych odgłosów. Nawet szumu fal, bo nie było wiatru i fale wślizgiwały się na brzeg jak olej. Nazajutrz była Wigilia i wydawało się, że cały świat wstrzymał oddech i czekał.

Odezwała się komórka Very. Wiadomość od Holly: *Kerr zabrał samochód z parkingu przy Partington. Jeden pasażer. I nazwisko.* A to znaczy, myślała Vera, że Malcolm nie rozumuje jasno, skoro ma nadzieję, że uniknie aresztowania. Bardziej prawdopodobne było jednak, że już mu nie zależało, co się z nim stanie. Odpowiedziała na wiadomość: *Jestem na miejscu. Trzymajcie się na dystans.*

Pewnie, że wiele ryzykowała. Być może powinna go zgarnąć natychmiast, wezwać pomoc, wozy policyjne na sygnale. Prasie i jej przełożonym by się to podobało. Ale ona nadal uważała, że Malcolm czuje się jak schwyty w pułapkę, że jest zdesperowany i nie obchodzi go własne bezpieczeństwo. Ponownie, niczym mantra lub refren popularnej piosenki, zabrzmiało w jej głowie: koniec z zabijaniem.

Czekała. Nic. Żadnego odgłosu samochodu w oddali, a z pewnością powinni już tu być, jeśli Malcolm jechał prosto z Partington. Do stacji było tylko kilka kilometrów. Chwilami wydawało jej się, że coś słyszy – kroki na zamrożonym piasku, warkot silnika – ale to była tylko wyobraźnia. Zmarzła, mimo grubego płaszcza, rękawiczek i botków. Gdyby Malcolm pojawił się teraz, nie była pewna, czy zdołałaby się poruszyć.

Pierwsze pokazały się światła przednich lamp, jak światła reflektorów przeczesujące płaską nabrzeżną równinę za wydmiami i powierzchnię stawów utworzonych w lejach po byłych kopalnianych wykopach. Vera przykucnęła, bo jej sylwetka mogła być widoczna na horyzoncie na tle księżyca. Samochód zaparkował pod wydumą, na której szczycie stała. Usłyszała, że drzwiczki się otwierają, potem zamykają. Po obu stronach, w samochodzie były więc dwie osoby, tak jak mówiła Holly. Ale nawet w świetle księżyca nie mogła wyraźnie dojrzeć ich sylwetek. Widziała tylko ciemne zarysy. I nie mogła też stwierdzić, czy obie osoby były tam z własnej woli, czy może jedna była zakładnikiem drugiej. Na wąskiej drodze prowadzącej na wybrzeże nic się nie działo. Vera wydała rozkaz, żeby policjanci z ekipy interwencyjnej zostawili wozy na głównej szosie i na miejsce dotarli ostrożnie piechotą. Nie chciała wystraszyć tych ludzi. Koniec z zabijaniem. Miała nadzieję, że będzie po wszystkim, nim policjanci nadejdą.

Teraz już nie widziała postaci. Przyjezdni zaczęli się wspinać na wydmy, żeby wyjść na plażę, ich sylwetki rozmyły się w mroku. Vera wytężyła słuch. W oddali, w zatoce mignęło jej światło boi zaznaczającej Coquet Island; jej myśli powędrowały

do Hectora i jego wypadów po jaja rybitw. Dobrze ją wyszkolił. Jaki inny trening byłby lepszy do tego rodzaju roboty?

Potem usłyszała skrzypienie osuwającego się piasku, tak blisko, że miała wrażenie, iż wystarczyłoby wyciągnąć rękę i mogłaby dotknąć nadchodzących. Pochrząkiwanie i ciężki oddech: Malcolm był bez kondycji, zdyszany, mroźne powietrze zmuszało go do rżenia. Jego towarzysz wydawał się sprawniejszy. Vera czekała. Czasami myślała, że całe swoje dzieciństwo spędziła na oczekiwaniu z bijącym sercem. Czekala na Hectora albo na policję, na odgłos nagłego trzepotania skrzydeł albo ciężkich kroków.

Teraz rozległ się dźwięk, którego się spodziewała: jej ofiary ostatnie kilka metrów ześliznęły się po piasku na plażę. I wreszcie mogła ich zobaczyć dwie ciemne postaci idące ku wodzie, cienie oblane blaskiem księżyca. Vera rozruszała zeszywniałe, zmarznięte kończyny i zaczęła iść. Jak na tak ciężką kobietę poruszała się bardzo cicho. Jako dziecko też była gruba i docinki Hectora nauczyły ją być świadomą każdego kroku. „Na litość boską, dziewczyno, chcesz, żebyśmy oboje skończyli w więzieniu?”

U podnóża wydmy przystanęła. Teraz słyszała ich głosy. Jeden głos. To był Malcolm, wydawało się, że ma słowotok, mówił nie robiąc przerw nawet na nabranie oddechu. To był powolny, nieustęplicy strumień gorzkich oskarżeń, chrapliwy szept, brzmiały prawie jak głos zdradzonego kochanka. Pomyślała, że Malcolm zamilknie dopiero wtedy, gdy obiekt jego nienawiści będzie martwy.

I wówczas się odezwała. Krzyknęła, świecąc ku nim latarką, każde słowo wypowiadając wolno, z takim samym naciskiem:

– Koniec z zabijaniem!

**Joe zakończył rozmowę z Sal** i ruszył do Mardle, jadąc zbyt szybko po oblodzonych drogach. Był przeddzień Wigilii i służbom drogowym za rozsypanie piasku trzeba by było zapłacić podwójnie, zatem władze miejskie ich nie wezwały. Joe czuł się odpowiedzialny za Verę, która uważała, że jest niezwyciężona, że potrafi zapanować nad każdą sytuacją siłą swojej osobowości. Ot, aroganckie babsko, bez cienia wyczucia zagrożenia. Nie mógł pozwolić, żeby coś strasznego spotkało jego szefową.

Zjechał do zatoczki naprzeciwko stacji benzynowej, na której pracownicy postawili znak „Zamknięte”. Drogi były już prawie puste. Kiedy wysiadł z samochodu, uderzyła w niego niespodziewana fala chłodu, który na chwilę zaparł mu dech w piersiach. Blask księżyca sprawiał, że wszystko wydawało się monochromatyczne, jak ze snu, a cienie były bardzo wyraźne. Ruszył przed siebie w kierunku plaży, oddalając się od szosy. Po kilku minutach usłyszał odgłos silnika; samochód jechał w stronę parkingu. Joe był na tyle blisko, że rozpoznał auto Malcolma, jego grzechotanie i plucie z rury wydechowej, kształt karoserii. Było tam pobocze z krzewami jeżyn. Ukrył się za nimi i obserwował, jak dwie postaci zmiernają w kierunku plaży. Czekał, aż wejdą na wydmy tak wysoko, że nie będą mogli usłyszeć jego kroków, i wtedy za nimi poszedł. Ale chyba musiał się pogubić w tym dziwacznym wydnowym krajobrazie, bo nagle się przekonał, że stoi zwrócony w złym kierunku. Poniżej rozciągała się szosa, a w oddali migotały światła miasta. Być może to po nim Jessie odziedziczyła zmysł orientacji. Potem doznał kolejnego ataku paniki, gdy sobie uzmysłowił, że Vera wciąż jest sama i musi sobie radzić z sytuacją. Chciałby wiedzieć, gdzie ona jest.

W końcu udało mu się dotrzeć na najwyższe z piaskowych wzniesień, skąd miał widok na plażę. W białych zakolach miękko rozbijających się o brzeg fal odbijał się blask księżyca. Te same dwie postaci, trzymając się blisko siebie, szły w stronę wody. Zamierzali tak iść przed siebie ku Skandynawii, aż utoną lub zamarzną na śmierć? W jakiejś dziwacznej próbie samobójczej?

Widok przed nim przypominał scenerię z czarno-białego niemego filmu. Nie było żadnych odgłosów, nie licząc łoskotu przejeżdżającej od czasu do czasu po głównej szosie ciężarówka. Było tak cicho, że kiedy usłyszał wypowiedziane zdanie, doznał szoku.

– Koniec z zabijaniem! – Zabrzmiało to niczym trąbienie wielkiego słonia.

Teraz zobaczył Verę, łatwą do rozpoznania z powodu tuszy, jak biegnie po piasku z prędkością, która wydawała się fizycznie niemożliwa u kogoś o takich rozmiarach. Gigantyczny poduszkowiec, prawie niedotykający ziemi. Para spacerowiczów chyba też była zaskoczona, bo się zatrzymali i spojrzeli w stronę nadciągającej Very.

Potem Joe też się zerwał do biegu. Raniąc dłonie i kostki u nóg o ostre, zmarznięte drobiny piasku, ześliznął się z wydmy, starając się jednak trzymać poniżej linii horyzontu i nie robić zbyt wiele hałasu, bo może tym razem sama Vera będzie potrzebowała ratunku. Nawet dla niej dwóch zabójców to mogło być zbyt wiele.

Na płaskim, twardym piasku zatrzymał się i rozejrzał. Księżyc utworzył migoczącą ścieżkę na wodzie i na mokrym, prążkowanym brzegu. Trzy postaci były pogrążone w rozmowie. Malcolm Kerr, skulony i załamany. Vera Stanhope tryumfująca i Ryan Dewar, nastolatek, który zabił dwie kobiety i zagrażał bezpieczeństwu córki Joego. Kerr trzymał chłopaka za szyję. Na oczach Joego pchnął Ryana ku Verze i uniósł ramiona na znak ostatecznego poddania się.



**Poranek wigilijny** spędzali w komisariacie w Kimmerston. Vera i Joe przygotowywali się do przesłuchania Malcolma Kerra. Ryana zostawili sobie na później, kiedy już przybędzie jego matka i adwokat. Rozmyślając o tym, co musi przeżywać Kate Dewar, Joe odczuwał mdłości i przygnębienie. Malcolm Kerr uratował jego córkę. Kate była kolejną rozpaczającą matką, ale dla niej nie istniało pomyslnie zakończenie, nie będzie szczęśliwej rodziny.

Vera była w swoim żywiole, odgrywając częściowo rolę matki przełożonej, częściowo rolę Mistycznej Meg odgadującej przeszłość, jakby potrafiła czytać ludziom w myślach. Między nimi stał półmisek kanapek z boczkiem. Bóg wie, skąd je Vera wytrzasnęła o tak wczesnej porze. Joe czuł woń boczku i kawy, i kiedy później odtwarzał tę scenę w pamięci, żeby ją opisać kolegom jako przykład cudów czynionych przez Verę, towarzyszyły mu właśnie te zapachy. Zaproponowali Malcolmowi adwokata, ale on tylko potrząsnął głową.

– Nie ma takiej potrzeby.

Zdaniem Joego, Malcolm był zadowolony, że tak się to zakończyło. Więzienie nie wydawało się takie złe w porównaniu z mieszkaniem przy Percy Street.

– Ricky Butt – rzuciła Vera. – Paskudny młody zabijaka.

– Ricky był psychopata – stwierdził Malcolm. Joego również dobrze mogło nie być w pokoju. Wszystkie odpowiedzi areштanta były kierowane do pani inspektor. Joe powrócił do swojej roli obserwatora – zapasowej pary oczu Very. – Lubił krzywdzić ludzi. Handlował heroiną i kobietami. Nie byliśmy aniołami na Harbour Street, ale też nie byliśmy przyzwyczajeni do czegoś takiego. To nie wina jego matki. Val była nieco szorstka, ale serce miała po właściwej stronie.

– Rick uprzykrzał życie Margaret, tak?

– Mieszkał w Mardle dopiero od kilku miesięcy, a już się wszędzie panoszył. Był arogancki, taki kogucik. Ale przy tym był okrutny. Zawsze nosił przy sobie nóż, żeby było wiadomo, że z nim nie ma żartów. Mówił, że nie może pozwolić, żeby Margaret

pracowała samodzielnie na jego terenie. Chciał, żeby pracowała dla niego albo się wyniosła. Groził, że w przeciwnym razie tak jej zdefasonuje urodę, że już nigdy nie będzie mogła pracować. Można było sobie wyobrazić jego nóż na jej twarzy. Aż się do tego palił. Tylko czekał, żeby mieć jakiś pretekst. – Malcolm mówił głosem płaskim i twardym. Joe wierzył w każde jego słowo.

– Więc postanowiłeś się z nim rozprawić. – Vera nie pytała, tylko odgrywała rolę słuchaczki, która chce, by ciągnął dalej swoją opowieść.

– Postanowiłem się z nim rozmówić – sprostował.

– W wieczór przyjęcia z okazji pięćdziesiątych urodzin twojego ojca. Wtedy, kiedy zrobiono to zdjęcie. – Vera pochyliła się nad stołem i oczy jej rozbłyły. Nikt by nie pomyślał, że nie spała od czterdziestu ośmiu godzin.

– Poprosiłem, żebyśmy się spotkali na podwórzu warsztatu – wyjaśnił Malcolm. – Powiedziałem, że może będziemy mogli wspólnie ubić jakiś interes. Tylko taki język rozumiał. Biznesowy. – Wykaszał ostatnie słowo niczym przekleństwo. Na chwilę umilkł, potem mówił dalej: – Było gorąco. Tak gorąco za dnia, że na drogach topił się asfalt. Wszyscy od tego upału wariowali. Butt był jeszcze dzieciakiem, ale nikogo nie szanował. Nie rozumiał, co wolno na Harbour Street.

– Twój ojciec był tu poważany, miał pozycję – wtrąciła się Vera. – Sternik łodzi ratunkowej. Stanowisko przekazywane w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Ty też miałaś pozycję na Harbour Street.

Malcolm krótko kiwnął głową na znak, że tę część dobrze rozumiała.

– Ricky Butt zaproponował mi udziały – wyjaśnił. – Siedział i bujał się na krześle w biurze, zadowolony z siebie. Mówił o Margaret, jakby była śmieciem, niczym. „Ma klasę. Jest warta fortunę. Przekonaj ją do współpracy, a dostaniesz swoją działkę”. Ale Margaret nie była tego typu kobietą.

Na dworze wciąż było ciemno, mimo to Malcolm wpatrywał

się w okno.

– Więc puścili ci nerwy – dopowiedziała Vera, mówiąc prawie szeptem.

Kolejna pauza, potem skinienie. Szybki uśmiezek tryumfu.

– Uderzyłem go. Nie spodziewał się tego. Nie miał czasu wyciągnąć noża. Przewrócił się z krzesłem do tyłu i uderzył głową w posadzkę. Chyba to go właśnie zabiło. Był cholernie głośny huk, a krew i mózg rozprysły się wszędzie...

Joe sądził, że Malcolm będzie chciał kontynuować, przyznać się, że zadał kolejny cios tylko po to, żeby się upewnić, że Ricky naprawdę nie żyje, albo dlatego, że był nakręcony z powodu upału i furii, ale Vera mu przerwała. Podniosła rękę, zatrzymując go w pół zdania.

– W takim razie to nie było morderstwo – oznajmiła. – Nieumyślne zabójstwo, jeśli nie miałeś zamiaru go zabić.

Malcolm lekko wzruszył ramionami, pokazując, że nic go to już nie obchodzi.

– Sprowadzili twojego ojca i on się wszystkim zajął. Całym tym bałaganem. Bo tak postępują rodzice.

– Zawinął ciało w kawałek brezentu i ukrył je w rdzewiejącym starym trawlerze na naszym podwórku. – Było jasne, że Malcolm wciąż jest dumny z ojca i nadal pozostaje trochę w jego cieniu. – Potem podłożył ogień pod biuro. Następnego dnia, kiedy przyjechali strażacy i policja, interesowało ich tylko biuro. Nikt nie zaglądał do starej łodzi, która czekała na pocięcie na kawałki.

Vera kiwnęła głową.

– A potem mogliście zakopać zwłoki. Zabetonowaliście je i postawiliście na nich szopę. Codziennie, siedząc w niej, musieliście myśleć o Rickym Butcie.

Malcolm chwilę się nad tym zastanowił, po czym pokręcił głową.

– Nie – odrzekł. – Tamta noc była jak sen. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało.

– Powiedziałaś Margaret, że zabiłeś chłopaka?

Tym razem zaprzeczenie padło od razu.

– Nie. Powiedziałem jej, że go wypłoszyliśmy.

– Ale ona się domyśliła? – naciskała Vera.

Malcolm skinął głową.

– Margaret nie dawalo się okłamać. Zapewniałem ją, że to nie jej wina, ale czuła się odpowiedzialna, obwiniła się.

To jasne, że się obwiniła, pomyślał Joe. I właśnie poczucie winy stworzyło z niej osobę, jaką była. To nie prostytutka zwróciła ją ku kościołowi i pomocy innym kobietom. Nie wstydziła się swojej profesji, usług, które świadczyła mężczyznom. Sprawila to świadomość, że doprowadziła do zabicia człowieka.

Vera kontynuowała przesłuchanie, przeskakując czterdzieści lat do przodu.

– Ryan Dewar musiał ci przypominać Ricky'ego Butta – rzekła.

Malcolm Kerr przez moment zdawał się jej nie słuchać. Przeniesienie się do terażniejszości zajmowało mu więcej czasu niż Verze. Nadal rozpamiętywał tamtą upalną letnią noc. Uniósł głowę, żeby spojrzeć na Verę, a ona powtórzyła pytanie.

– Nie chciałem w ten sposób myśleć – wyjaśnił. – Staralem się widziec w nim to, co najlepsze. Ale tak, on też jest psychopata. Sprytniejszym od Butta i bardziej przekonującym. Nie ma ani sumienia, ani wstydu.

– Od kiedy wiedziałeś, że zabił Margaret?

– Nie wiedziałem. Zgadłem. Domyśliłem się. Pewność uzyskałem, gdy wczoraj zobaczyłem go w metrze, jak się przyglądał tym dzieciakom, rozmawiającym o mordercy. Wyglądał na zachwyconego sobą. Jakby był jakąś gwiazdą rocka lub kimś podobnym. Celebrytą. Podczas naszego ostatniego spaceru na plaży Margaret powiedziała mi, że Ryan jest... – próbował przypomnieć sobie słowo – ...niereformowalny, i że być może będzie musiała iść na policję. Jakimś sposobem dowiedział się o jej przeszłości i próbował wyciągnąć od niej pieniądze. – Malcolm podniósł wzrok. – Wcześniej Margaret myślała, że zdoła go uratować. Naprawić. Albo że razem go

uratujemy.

– Domyślałeś się, że to łobuz, i mimo to najmowałeś go do pracy w warsztacie. – Vera odchyliła się na oparcie krzesła. Po raz pierwszy w trakcie trwania przesłuchania Joe pomyślał, że jest zmęczona.

Malcolm wzruszył ramionami.

– Margaret mnie o to prosiła – rzekł.

– Wiem. – Vera posłała mu ciepły uśmiech. – Gdyby cię poprosiła, przepłynąłbyś trzykrotnie wokół Coquet Island.

Skinął głową i też się uśmiechnął.

– Nago – dodał.

– O, kotku, naprawdę mam nadzieję, że była tego warta.

**Wychodząc z pokoju przesłuchań, Joe zatrzymał się i odwrócił.**

– Uratowałeś moją córkę – powiedział. – Dziękuję. Możesz opowiedzieć, co się wydarzyło? Była trochę skołowana, kiedy ją odwieźli do domu, do matki.

Malcolm spojrzał w górę.

– To była twoja córka? Uprzejma, mała dziewczuszka. Jechała metrem, opowiadała kolegom, że znalazła zwłoki Margaret. Ale Ryan Dewar też tam był. Spostrzegłem go zaraz po wejściu do wagonu. Przeznaczenie, pomyślałem. Albo przesłanie od Margaret. Po wyjściu z metra twoja córka oddzieliła się od kolegów, a on ją śledził. Może myślał, że będzie potrafiła go rozpoznać. – Mężczyzna umilkł. Patrząc w okno, odtwarzał w pamięci całą scenę. – Kiedy ich znalazłem, rozmawiał z nią. Próbował zauroczyć. Zaproponował, że odstawi ją bezpiecznie do domu. Ale ona go poznała i widać było, że zaczęła się bać. Mijała nas strażniczka miejska, poprosiłem ją, żeby pomogła twojej córce wrócić. Przydybałem Ryana – wiedziałem, że nie będzie się stawiał na ulicy, pod okiem władzy – i zabrałem go ze sobą. On się ma za twardziela, ale to jeszcze dzieciak. Nie miał ze mną szans.

– Zabiłbyś go na tej plaży, gdyby inspektor się nie pojawiła?  
Malcolm spojrzał na niego ostro, ale nic nie odpowiedział.

**Kate Dewar była sama w domu**, kiedy usłyszała pukanie do drzwi, znajome jak spersonalizowany dźwięk dzwonka w telefonie. Chloe powiedziała, że wychodzi ze znajomymi; Kate podejrzewała, że z chłopakiem, ale nie dociekała. Ryan też jak zwykle gdzieś się szwendał. Mówił, że wybiera się z kolegami do miasta, i nie widziała go cały dzień. Stuart miał przyjść później. Kate otworzyła drzwi; rozpoznała pukanie i wiedziała, że na progu zostanie inspektor Verę Stanhope.

Kobieta sprawiała wrażenie wykończonej i nie było z nią jej sierżanta.

– Proszę wejść! – Kate zaprosiła ją do salonu. – Napije się pani czegoś? Może whisky? – Zaproponowała alkohol, bo to wyglądało na nieoficjalną wizytę. Tak przynajmniej sugerował wyraz twarzy policjantki. Wydawał się łagodniejszy, bardziej ludzki.

– Lepiej nie, kotku. Wciąż jestem w pracy. Ale ty może powinnaś.

I wtedy po raz pierwszy Kate zaświtało, że zaraz wydarzy się coś strasznego i że potem jej świat już nigdy nie będzie taki sam.

– Co się stało? Czy ktoś zmarł? – Policjant, który przyszedł ją poinformować o wypadku Robbiego, miał dokładnie taką samą minę.

Vera pokręciła głową.

– Aresztowaliśmy Ryana. Jest oskarżony o morderstwo.

– Nie! – krzyknęła. – Nie mógłby! Nie Margaret... on ją kochał. – Ale nawet gdy wypowiadała te słowa, zastanawiała się, czy kiedykolwiek były prawdziwe. Czy jej syn był zdolny kochać kogokolwiek.

Vera przez chwilę nic nie mówiła. Tylko patrzyła. Potem

znowu pokręciła głową.

– Chciał na niej zarobić. Ten pani Ryan jest łasy na pieniądze. Pieniądze i dziewczyny. I na niezależność. – Za tymi słowami nie kryła się żadna ocena. Po prostu referowała fakty. I Kate wiedziała, że Vera mówiła prawdę. Być może już od chwili śmierci Margaret obawiała się, że usłyszy pukanie do drzwi i dowie się, że jej dziwny, wścibski i zły syn jest mordercą.

– Co się stało? – Kate wpatrywała się w twarz drugiej kobiety. Vera nałała jej drinka i Kate ujęła szklaneczkę w obie dłonie.

Detektyw usiadła naprzeciwko niej.

– Ryan był złodziejem – zaczęła. – Kradł, kiedy wychodził na te swoje nocne wędrówki. Podkradał też pieniądze z puszek dobroczynnych Margaret. Sprawdziłam to z pastorem. Przez ostatnie pół roku datki, które przynosiła, były mniejsze. Jakoś tam się tłumaczyła, ale musiała się domyślać. Czy panią Ryan też okradł? I Stuarta, i Chloe?

– Czasami mi się wydawało, że coś podbierał z portmonetki – przyznała. – Ale był sprytny. Nigdy nie brał dużo, nie miałam więc pewności. – Pomyślała, że nie potrafiłaby się do tego przyznać przed nikim innym.

– Okradł też Stuarta – rzekła Vera. – Może nie z pieniędzy, ale zabrał zdjęcie. Kompromitujące. Wykorzystał je, żeby szantażować Margaret.

– Nie rozumiem. – Kate upiła łyk whisky, która paliła jej przelyk. – Co Stuart miał wspólnego z Margaret? – Kolejny łyk i poczuła, że jest pijana, pokój wokół niej zaczął wirować.

– Nie musi pani teraz poznawać wszystkich szczegółów – rzuciła szybko Vera. – Będzie na to czas później. Ryan okradł też Przyszań. Ten zimowy jarmark, który zorganizowali dla dzieci. George Enderby tam był, szastał pieniędzmi jak papierkami od cukierków, a pod koniec dnia Jane Cameron nie potrafiła pojąć, dlaczego tak mało miały w kasie. Ryan nieźle się obłowił. Dee Robson też tam była. Może miała problemy w przyswajaniu wiedzy, ale jeśli chodzi o pieniądze, była ostra jak brzytwa.

– I dlatego je zabił? Dla pieniędzy? – Taki motyw wydawał się



Kate straszliwie miałki, żaloszny.

– Dla wszystkiego, co można za nie kupić – odparła Vera. – Władzę, kontrolę, wpływy. Sądzimy też, że handlował narkotykami. Trochę jest jak terrorysta, ten pani chłopak. Lubi, żeby rzeczy działały się po jego myśli. – Przerwała. – Margaret myślała, że zdoła go uratować. Dręczyło ją poczucie winy za coś, co się wydarzyło dawno temu, i sądziła, że jeśli uda jej się namówić pani syna do dobrego zachowania, w jakiś sposób zazna spokoju. Ale się oszukiwała. Myślę, że pod koniec to rozumiała.

Kate gapiała się na policjantkę. To były tylko słowa. Dźwięki, jak nucenie piosenki w myślach. Nie mogła pojąć, co oznaczają.

Rozległ się odgłos klucza przekręcanego w zamku. Obie się obejrzały i przez otwarte drzwi ujrzały wchodzącego do holu Stuarta.

– Właśnie słuchałem lokalnych wiadomości w radiu – rzekł. – Policja dokonała zatrzymania. Jakiś nastolatek. – Podszedł do Kate i wziął ją w objęcia. Pewnie już się domyślił, że chodzi o Ryana. Nikt nie był zaskoczony, a jednak nikt nic nie zrobił.

Vera Stanhope wstała i poszła do drzwi.

– Nie wolno się pani obwiniać – rzekła. – To nie pani zabiła te kobiety.

Ale Kate wiedziała, że w pewnym sensie była za to odpowiedzialna. I uważała, że inspektor też o tym wie.

**Z przesłuchaniem Ryana Dewara trochę odczekali.**

– Niech się chłopak wyśpi – stwierdziła Vera. – To tylko nastolatek. Nie chcemy, żeby jakiś przemądrzały adwokacina nam zarzucił, że nie trzymamy się procedur. – Joe nie zaproponował, że pójdzie z nią do Kate Dewar, a ona go o to nie poprosiła.

Po powrocie z Harbour Street ucięła sobie półgodzinną drzemkę i wzięła prysznic. W biurze miała ciuchy na zmianę, w razie gdyby nagle wezwano ją do sądu, i wyglądała niezwykle jak na nią elegancko, kiedy dołączyła do Joego w pokoju przesłuchań. Widziała, że zrobiła na nim wrażenie swoją przemianą. Dzień był znowu zimny, ale słoneczny, dachy okolicznych domów pokrywał siwy szron.

W pierwszej chwili z trudem rozpoznała Kate, tak zmęczoną miała twarz. Kobieta postarzała się przez noc. Ryan był spokojny, siedział za stołem rozparty i napawał się poświęcaną mu uwagą. Rozprawa sądowa będzie spełnieniem jego marzeń. Tyle lat w cieniu siostry, a teraz mógł liczyć na główne miejsce na scenie. Dlaczego taki się stałeś? Z powodu utraty ojca, gdy byłeś mały? Bo patrzyłeś, jak bije matkę? A może urodziłeś się zły? Psycholodzy będą mieli z tobą używanie.

Vera nie zwróciła się bezpośrednio do chłopaka, tylko do jego adwokata. Chciała pokazać Ryanowi, że nie jest taki ważny, jak sobie wyobrażał.

– Mam nadzieję, że pański klient jest gotowy do współpracy, panie Watson.

Adwokat skinął głową. Wiedziała, że sam ma nastoletnich synów. Czy się zastanawiał, co robią, kiedy nie ma ich w domu?

Teraz zwróciła się do Ryana.

– Pozwól, że ci opowiem o tym dniu w metrze, tym, kiedy zabiłeś Margaret Krukowski. Kolejny raz podczas przerwy obiadowej zerwałeś się ze szkoły i pojechałeś do miasta, spotkać się z kumplami i kilkoma dziewczynami z bogatej prywatnej szkoły. Pewnie myśleli, że są strasznie dorośli, bo zadają się z takim groźnym kretynem jak ty. Złodziej, drobny handlarz prochami i pełnowymiarowy męt. Rozmawiałam z Emily Robertson, która też chodziła do St. Anne i wszystko o tobie wiedziała. Byłeś jednym z powodów, przez które wylądowała w Przystani. Widziała cię na zimowym jarmarku i nieźle się przestraszyła, wołała, żeby ją zabrali do szpitala, niż żeby miała tam z tobą przebywać i znosić twoje kpiny.

Vera zrobiła przerwę, nim powróciła do głównego wątku opowieści.

– No więc byłeś tam, włóczyłeś się arogancko, i kogóż spotkałeś, jeśli nie Margaret Krukowski. – Znów westchnęła. Spojrzała w okno, na promienie słońca odbijające się od dachu budynku naprzeciwko, i nagle poczuła, że jej myśli odpływają. Bardzo jej się chciało wrócić do domu. Zaprosiłaby sąsiadów na drinka. Porządnego drinka. Zostaliby u niej i razem spędziliby pierwszy dzień świąt. Nie uśmiechało jej się zostać na noc samej, śnić o bezbronnych kobietach i brutalnych facetach. A może Joe Ashworth na godzinkę urwałby się ze smyczy i do niej wpadł?

Skupiła uwagę na chłopaku, o którym myślała, że jest kolejnym wcieleniem Ricky’ego Butta.

– I ona cię zobaczyła na wagarach, znowu okłamującego matkę. Może wtedy postanowiła, że dłużej nie może na to pozwalać, że nie zdoła cię uratować. Ostatecznie nie stałbyś się jej drogą wybawienia.

Vera spostrzegła, że wszyscy dziwnie na nią patrzą, dalej mówiła więc już ostro i rzeczowo:

– Margaret oczywiście już wcześniej widywała cię w mieście. Któregoś dnia zabrała ze sobą Dee Robson do Newcastle, żeby jej kupić zimowe palto. Powiedziała Dee, że Przystań za nie zapłaci, ale oczywiście nie była to prawda. Sama za nie

zapłaciła. Margaret była miłą kobietą. Dobrą. Widziała cię, jak szwendales się po mieście, na wagarach, jak sobie organizowales pieniądze. Wiedziała, że twoja matka się o ciebie martwi, i poszła za tobą, chciała ci przemówić do rozsądku. A ty co zrobiłeś? Uciekłeś.

Po raz pierwszy odkąd zaczęła mówić, Vera spojrzała na Kate Dewar. Ona też była dobrą kobietą. Chciała myśleć dobrze o swoim synu. Liczyła na trochę radości i ekscytacji w życiu, gdy osiągnęła wiek średni.

– Dee Robson cię widziała – ciągnęła Vera. – Widziała, jak uciekasz w tłum. I była w metrze tego dnia, gdy zabiłeś Margaret. Pijana i ledwie świadoma czegokolwiek, ale ją znałeś, prawda? Wszyscy na Harbour Street znali tę grubą dziwkę Dee Robson.

Chłopak podniósł wzrok, jakby miał zamiar coś powiedzieć. Zapadła chwila ciszy. Vera niespodziewanie zmieniła temat.

– Opowiedz mi o zdjęciu, Ryan. O fotografii, którą wykradłeś z portfela pana Bootha. – Vera zdawała sobie sprawę, że będzie to przykre dla Kate, ale na tym etapie przeszłość kochanka Kate mniej się liczyła niż to, żeby zmusić chłopaka do mówienia.

– Było ohydne. – Ryan poczerwieniał, na twarz wypłynął mu wyraz świątobliwego oburzenia. – Margaret była na nim prawie goła. W samych pończochach. Pozowała. Jak na tych ulotkach, które Dee Robson wtykała wszędzie na stacji metra.

Vera zerknęła na Kate, ale jej mina niczego nie wyrażała. Pomyślała, że kobieta nie jest w stanie przetrwać aż takiej dawki szokujących informacji.

– Szperałeś w portfelu pana Bootha, bo szukałeś pieniędzy?

– Miał ich całą kupę. – Ryan podniósł oczy i uśmiechnął się, nieznacznie, chytrze. – Dałby mi trochę, gdybym poprosił, ale nie chciałem słuchać jego kretyńskich wykładów.

– I uznałeś, że zdjęcie będzie o wiele wartościowsze?

– Byłem w szoku – odparł. – Nie myślałem o tym. Po prostu je wzięłem.

I zacząłeś się zastanawiać. Rozmyślałeś, jaki mógłbyś z niego

zrobić użytek.

– Pokazałeś je Margaret. – To nie było pytanie. Vera wciąż nie była pewna, jak to wszystko przebiegło, ale nie zamierzała się z tym zdradzać przed chłopakiem.

– Dałem jej szansę, żeby się wytłumaczyła – rzekł. – Chyba słusznie, prawda?

– Kiedy to było, Ryan? – Jakby tylko chciała, żeby jej pomógł odświeżyć pamięć.

– Kilka dni przed... – zaczął i nie skończył.

– ... przed tym, jak ją zabiłeś?

– Poszedłem do niej do pokoju – powiedział. – Zapukałem.

Vera wyobraziła go sobie, opartego o framugę. Pewnego siebie, bo miał zdjęcie. Informacja to siła. Ale mimo wszystko się denerwował. Mimo wszystko wciąż był dzieckiem, które miewało koszmary i uciekło przed Margaret w mieście.

– Wpuściła cię? – Vera pozwoliła, by w jej głosie pojawiła się nuta zdziwienia. – Lubiła prywatność.

– Powiedziała, że chce porozmawiać. – Teraz był już mniej pewny siebie. – Poczęstowała mnie herbatą.

– A ty pokazałeś jej zdjęcie.

– Położyłem je na stole. – Umiłkł i uciekł wzrokiem.

– A ona się zdenerwowała – dopowiedziała Vera. – Pewnie była bardzo zła.

– Nie miała prawa. – Jego twarz znowu poczerwieniała. – To ona na tym zdjęciu była ubrana jak dziwka. To jej zdjęcie było w portfelu Stuarta.

– Co dokładnie mówiła, Ryan? To bardzo ważne. Musimy usłyszeć słowo w słowo, jeśli potrafisz powtórzyć.

– Powiedziała, że jeśli oczekuję, że mi zapłaci za zwrot zdjęcia, to jestem w wielkim błędzie. – Chłopak miał naturalny talent do naśladowania i po raz pierwszy Vera pomyślała, że wręcz słyszy głos Margaret. Czysty, zdecydowany. – Mówiła, że wybaczyła mi moje zachowanie, bo miałem za sobą trudny okres. Że prosiła Malcolma, żeby dał mi pracę, i że była zadowolona z moich postępów. Ale teraz to jest moja ostatnia szansa. Jeśli znowu

przyłapie mnie na kradzieży albo na wagarach, pójdzie na policję. Zgłosi, że okradałem Stuarta, że okradłem Przyszań i że próbowałem ją szantażować. – Przerwał na chwilę, potem już mówił swoim zwykłym tonem: – Jakby mnie to obchodziło. Była zarozumiałą krową. I kurwą.

– Co zrobiła ze zdjęciem? Powiedz, proszę. – Bo nie znaleziono go w pokoju Margaret, a przecież odebrała je Ryanowi.

– Zabrała je i spaliła. – Mówił jak małe nadąsane dziecko. – Nad płomieniem świecy.

– No to teraz przejdźmy do popołudnia, gdy została zamordowana, Ryanie. Twoi kumple wysiedli z metra i wsiadła Margaret Krukowski. Kobieta, która mogła cię udupić na całego. Dała ci ostatnią szansę, a ty znowu zerwałeś się ze szkoły. Co ci powiedziała? Musiało to być coś mocnego, bo poszedłeś za nią do miejsca, w którym siedziała, wyciągnąłeś nóż, który zawsze ze sobą nosisz... – Zupełnie jak Ricky Butt. – ...i kiedy się odwróciła... kiedy się odważyła odwrócić do ciebie plecami... ugodziłeś ją. – Vera pozwoliła, by jej głos zabarwił się tonem obrzydzenia. Kate Dewar płakała. Tak jak prawdopodobnie przez całą noc.

– No więc, Ryanie? – ponagliła Vera. Podniosła wzrok i zobaczyła, że chłopak się wyprostował. Był bardzo spięty. Ponownie przeżywał upokorzenie przez starszą kobietę. Aż pobladł, taki był wściekły.

– Nic nie powiedziała. Nie musiała. Popatrzyła na mnie. Takim wzrokiem, jakbym był jakimś pieprzonym, niegrzecznym bachorem. Ona była prostytutką. Nie miała prawa tak na mnie patrzeć!

– Więc ją zabiłeś.

– Tak! – Wściekłość zatykała mu gardło, aż głos był zduszony. Poderwał się na nogi i kiedy znowu się odezwał, trysnął śliną na stół. – Zabiłem ją!

W pokoju zapadła cisza, zakłócana jedynie cichym szlochem Kate.

Vera skinęła na Joego Ashwortha, żeby kontynuował opowieść.

– Byłem w tym metrze – rzekł. – Widziałem cię z koleżankami i bardzo mi się nie podobało, jak je traktowałeś. Jednak przez myśl mi nie przeszło, że mógłbyś być zabójcą. Arogancki, chamski gnojek, pomyślałem. Bezcelny pętał, oto kim byłeś. Któremu się wydawało, że jest bardzo sprytny, bo sprzedaje narkotyki bezbronnym dzieciakom i potrafi zadźgać na śmierć staruszkę.

– Wysiadłeś z metra na Partington z resztą pasażerów – wtrąciła Vera. – Padał śnieg. Autobus zorganizowany przez metro czekał, wróciłeś nim do Mardle. Do domu dotarłeś późno. – Vera zrobiła pauzę. – Ale twoja matka o niczym nie miała pojęcia. Sądziła, że wróciłeś do domu po szkole, z Chloe.

Kate podniosła wzrok.

– Słyszałam, jak wchodził – powiedziała. Była przerażona, jakby ten drobny przykład niewiedzy czynił z niej współwinną czynu syna. – Usłyszałam trzaśnięcie drzwi i pomyślałam, że to tylko wiatr potrząsa skrzynką na listy. Ona zawsze grzechocze, gdy wieje z północy.

– Czy Chloe wiedziała? – Vera uważała, że to mogło być jeszcze gorszym grzechem niż morderstwo: wciągnięcie siostry intelektualistki, zmuszenie jej, żeby wybierała między siostrzaną lojalnością a sprawiedliwością dla Margaret. Bo dziewczyna i tak miała wyrzuty sumienia – faworyzowane dziecko, oczko w głowie matki. Naszła ją krótka fala wspomnień: spotkanie z sąsiadami, kiedy w rzadkim odruchu szczerości po zbyt dużej ilości alkoholu opowiada o sprawie, w której zawiodła; i Jack, mądry i delikatny, który mówi: „Hej, Vera, odpuść sobie to poczucie winy”.

Ryan spojrział na nią, nagle niepewny; wściekłość już się w nim wypaliła, ale wciąż był spięty.

– Nie powiedziałem Chloe.

– Ale ona się domyśliła?

Odwrócił się i nie odpowiedział.

Vera kiwnęła na Joego. Następna część historii należała do niego.

– Kiedy pierwszy raz wszedłem do kuchni przy Harbour Street, coś wydało mi się tam znajome – zaczął. – Miałem wrażenie *déjà vu*. Byłeś tam, siedziałeś rozwalony na sofie, zwykły dzieciak w wieku szkolnym, w mundurku. Nie skojarzyłem cię z chłopakami, których widziałem w metrze. Potem rozpoznałem twoją matkę – byłem jej fanem w młodości – i pomyślałem, że to tłumaczy wrażenie, że coś jest znajome. Gdybym lepiej wyteżył pamięć, wezwalibyśmy cię na przesłuchanie i sprawa by się skończyła. A Dee Robson nadal by żyła.

Vera pomyślała, że Joe będzie musiał żyć z tą świadomością do końca swoich dni. Z myślą, że dał się zwieść rzewnym słowom popularnej piosenki. „Odpuść sobie to poczucie winy”. Ostatecznie to Val Butt i jej opowieść o brutalnym synu nakierowała ich na właściwy trop. Gdyby aresztowali Ryana pierwszego dnia, nigdy nie znaleźliby zwłok Ricky’ego Butta pod szopą na podwórku Kerra. Wciąż nie była pewna, co ma o tym myśleć i jakie konsekwencje poniesie Malcolm. Czasami lepiej nie budzić zmarłych ze snu. Potem pomyślała, że to byłby bardzo zły świat, w którym człowiek mógłby zabijać i uchodziłoby mu to na sucho, nawet jeśli ofiarą był taki śmieć jak Butt. Taki obrót wydarzeń mógł paradoksalnie zapewnić Malcolmowi odrobinę spokoju na koniec jego żywota. Wyobraziła go sobie w roli dyżurnego w więziennej bibliotece. Nadrabiałby zaległości w lekturach, których nie przeczytał w młodości. Pomyślała, że mogłaby nawet go tam odwiedzać.

W pokoju przesłuchań czyste zimowe światło słoneczne wlewało się do środka przez wąskie zakratowane okno, a Joe kontynuował przesłuchanie.

– Dlaczego Dee też musiała zginąć?

Ryan nie odpowiedział. Gapił się w porysowany blat stołu przed nim.

– Bo tamtego wieczoru widziała cię w metrze? Mogła cię



skojarzyć z dzieciakiem, który uciekł przed Margaret w mieście? No i widziała cię na zimowym jarmarku w Przystani – może nawet się domyśliła, że tam kradłeś. – Vera mówiła teraz głośniej na znak, że domaga się odpowiedzi.

– Była w autobusie, który nas odwoził z Partington do Mardle. Przecież nie mogłem ryzykować, że komuś coś wygada, prawda? – Ryan podniósł oczy. Znow był agresywny, dumny, bo miał odwagę zabić dwie kobiety, pysznił się tym. Adwokat dotknął jego ramienia gestem przestrogi, ale Ryan na to nie zważał, a Vera pomyślała, że prawnik jest tak samo zniesmaczony, jak cała reszta. Więcej nie próbował powstrzymywać chłopaka przed mówieniem.

– Opowiedz o tym, Ryanie, prosimy – zachęcił Joe. – Wyjaśnij, jak się dostałeś do jej mieszkania. – Bezbarwny ton, głos dyrektora szkoły. Mógłby zastąpić Stuarta Bootha. Wyjaśnij nam, proszę, jak rozwiązałeś to równanie, dobrze, Ryanie?

– Zaprosiła mnie do siebie. – Chłopak wyszczerzył się w nagłym, chytrym uśmiešku. – Była pijana i wpadła na mnie, kiedy wracała z Percy Street. Zapropowała mi seks. Głupia krowa! Jakbym kiedykolwiek musiał za to płacić.

– Mów dalej. – Żadnej oceny w głosie Joego. Vera przeżyła chwilę dumy. Joe był jej faworytem i nauczył się panować nad emocjami. A przecież kiedy zaczynał pracę, był miękki jak dziecko.

– Jej mieszkanie to była nora – rzucił Ryan, jakby to mogło uzasadnić wszystko, co nastąpiło później. – Zapuszczona, brudna nora. Poszła do łazienki się przebrać. Słowo daję, już od samego patrzenia na nią chciało mi się rzygać.

– I co dalej?

– Na stole we frontowym pokoju leżał nóż. Kuchenny. Nie byłem pewny, czy się nada, ale uznałem, że tak będzie bezpieczniej. Że nie użyję swojego.

Zerknął w stronę Very. Mój Boże, on chce dostać medal za swoją przebiegłość. Vera zacisnęła usta. Lepiej nie reagować. Chłopak wolał każdą odpowiedź niż brak zainteresowania.

– A więc nóż się nadał? – Joe zadał pytanie takim tonem, jakby naprawdę był ciekawy.

Ryan z początku nie odpowiedział.

– Włączyłem telewizor – powiedział. – W razie gdyby zaczęła się drzeć. Potem poszedłem do sypialni. – Popatrzył na Joego. – Ostrze było trochę za giętkie. Trzeba było siły, żeby weszło. Ale tak, nóż się sprawdził.

– Co zrobiłeś potem, Ryane?

– Poszedłem do łazienki i się umyłem. Wytarłem odciski palców z klamek i trzonka noża. Potem wróciłem do szkoły. Miałem lekcję muzyki i nie chciałem, żeby Stuart powiedział matce, że znowu się zerwałem.

**Był środek dnia** i zakończyli służbę na czas świąt. Stuart Booth przyjechał po Kate Dewar. Vera zastanawiała się, jak będą wyglądały ich święta i czy ten związek przetrwa. Stuart współdziałał z Kate w tym sensie, że mówił jej to, co chciała usłyszeć: że Ryan nie jest taki zły; chłopak się pogubił, zadał ze złym towarzystwem, ale tak naprawdę jest dobrym dzieciakiem. Czy w szkole nikt nie widział, że jest brutalny, że handluje narkotykami, że dokucza kolegom? Może nikt nie chciał widzieć. Ryan pochodził z szanowanej rodziny, jego matka to Katie Guthrie, niegdyś sławna, było pewne, że na letnie jarmarki ściągnie tłumy. Tylko Margaret Krukowski się martwiła, mając w pamięci innego młodego chojraka, któremu się wydawało, że stoi ponad prawem. I ostatecznie to właśnie podobieństwo do Ricky'ego Butta pomogło Verze i Joemu wykryć mordercę.

Stali na parkingu przed komisariatem, Vera, Joe i Holly.

– Zapraszam was na drinka – zaproponowała Vera. – Żeby uczcić zakończenie śledztwa. Albo jedźmy do mnie. Zamówię wam potem taksówki, żebyście mogli wrócić.

Holly była zdumiona. Szefowa nigdy nie zapraszała jej do siebie.

– Przykro mi – powiedziała. – Spędzam święta z rodzicami. Mam przed sobą długą drogę, a oni spodziewali się mnie już wczoraj.

– Ach! – Vera w zasadzie była zadowolona. Podejrzewała, że Holly skrytykowałaby stan jej domu. – A ty, Joe?

– Też mi przykro, ale Sal ma jakieś plany. – Uniósł ręce w geście przeprosin i żeby pokazać, że chętnie by do niej pojechał i pogadał o śledztwie, ale Sal dostałaby szału, gdyby w taki dzień jak ten wrócił zawiany.

– No tak, jasne, że ma – przytaknęła Vera. – Przekaż jej ode mnie życzenia świąteczne.

Dopiero gdy Holly wsiadła do samochodu, coś się jej przypomniało. Pobieгла za nią, machając. Holly przycisnęła guzik i szyba od strony kierowcy zjechała w dół.

– Cholera, Hol, zupełnie zapomnieliśmy o mikołajkach.

– E, co tam – mruknęła Holly. – Nic się nie stało. Zresztą było wiadomo, że ten pomysł nie wypali.

Vera wróciła do landrovera Hectora i do domu na wzgórzach pojechała sama.

W małym nadmorskim miasteczku w Northumbrii inspektor Vera Stanhope prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa dwóch kobiet: eleganckiej starszej damy i prostytutki. Co je łączyło? Wydaje się, że mieszkańcy spokojnej ulicy, przy której mieszkały zamordowane, znają odpowiedź - na to i na inne pytania, których jest coraz więcej. Pojawiają się kolejni świadkowie... i kolejni podejrzani, a Vera jest coraz bardziej przekonana, że wszyscy, których przesłuchuje, kłamią. Nie tylko zamordowane miały swoje tajemnice...

„Przejmujący kryminał Ann Cleeves pokazuje, co się dzieje, kiedy społeczność ukrywa prawdę, żeby chronić swoich, i w którym momencie milczący świadek staje się współnikiem zbrodni.” „The Times”

Tom 1



ANN CLEEVES to jedna z najwyżej cenionych brytyjskich autorek literackich kryminałów.

Jej powieści wydawane są w 23 krajach. Kryminały z serii VERA (*Przynęta*, *Ukryta głębia*, *Droga przez kłamstwa*, *Słumione głosy*, *Szklany pokój*) stały się podstawą najpopularniejszego serialu detektywistycznego telewizji ITV.

W Wielkiej Brytanii obejrzało go 7 milionów widzów!



AMBER

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

978-83-241-5425-8



9 788324 154258

Cena det. zł 27,80